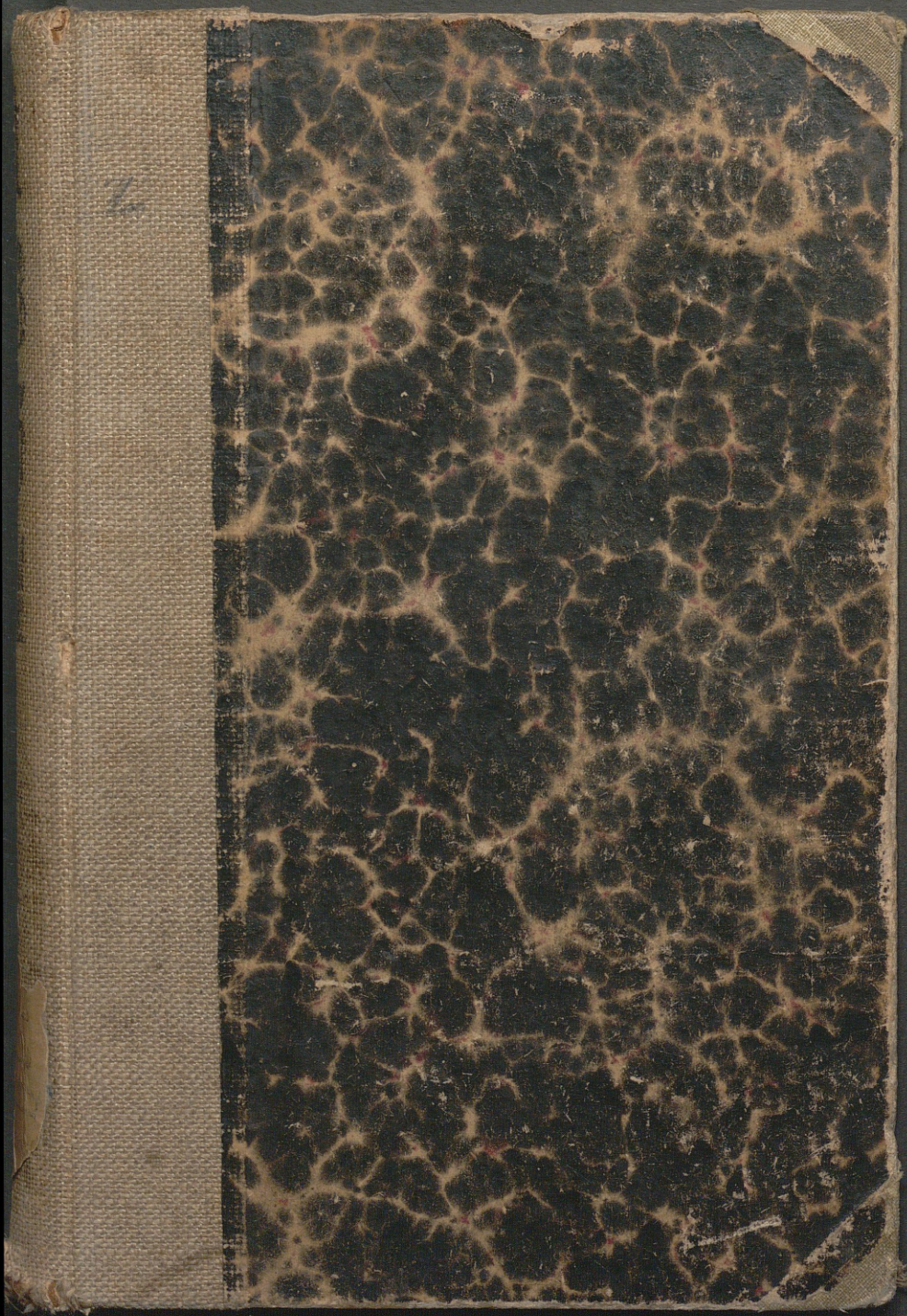
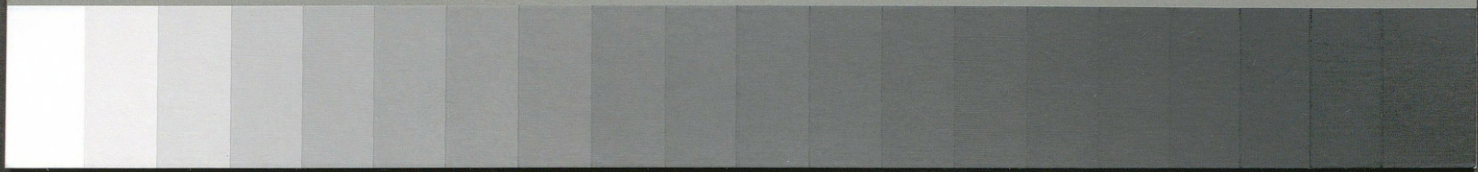


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

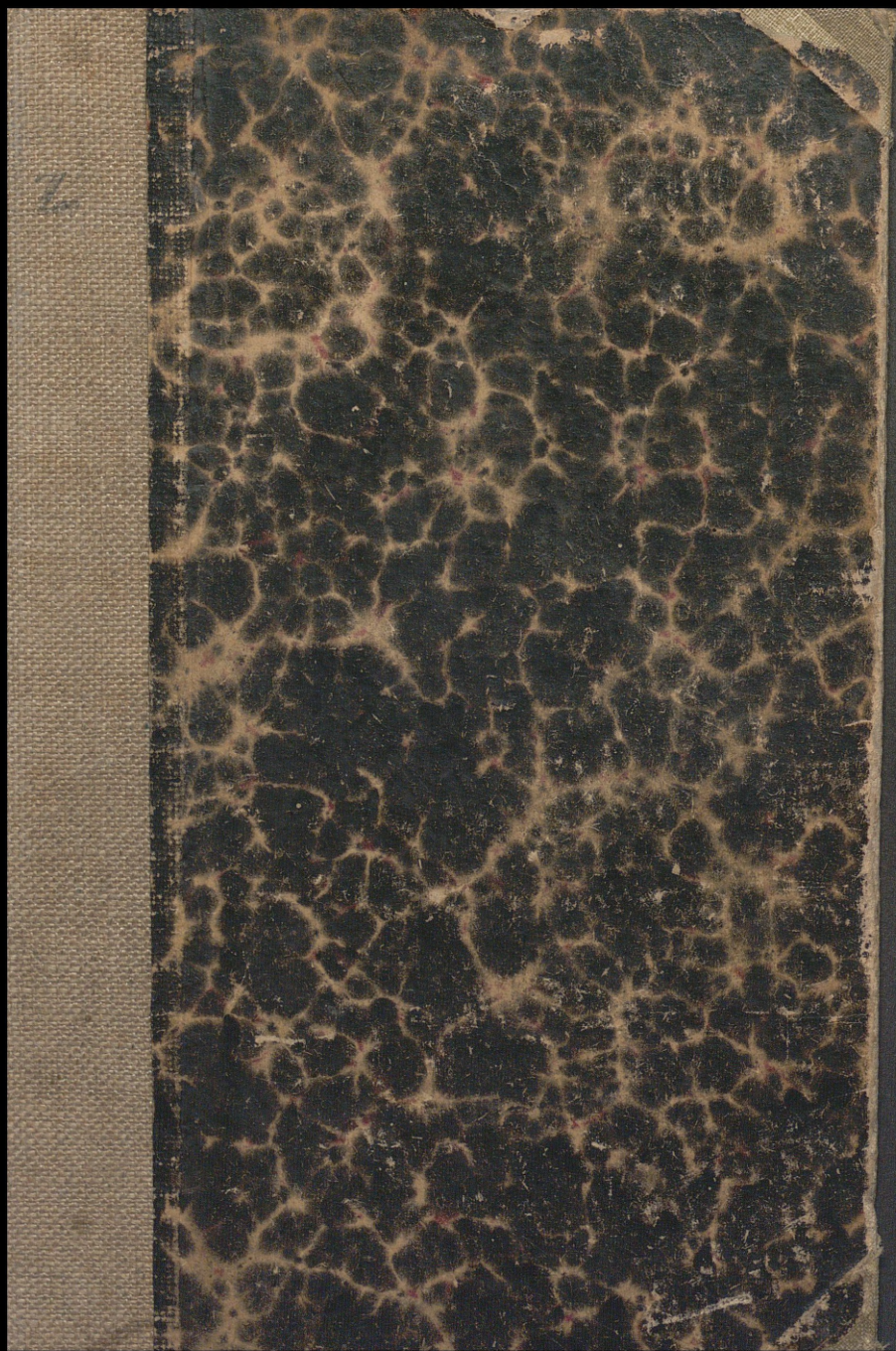


Colour Chart #13

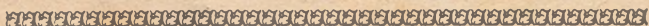
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Książki Biblioteki Rady Związków Zawodowych, znajdujące się w rękach obcych, należy odebrać i oddać Bibliotece.



Regulamin Biblioteki

Rady Związków Zawodowych w Krakowie.



1. Prawo korzystania z Biblioteki mają członkowie Związków Zawodowych oraz członkowie politycznej Partji P. P. S., którzy opłacają wkładki.
2. Wypożyczający powinien mieć pisemne polecenie swej organizacji i nie zalegać więcej, niż z 6 wkładkami tygodniowymi.
3. Wypożyczający powinien książki szanować, zwracać po 2 tygodniach, wynagradzać za zniszczenie lub zgubienie i zawiadamiać o zmianie adresu.
4. Książki wymieniać można każdego czwartku od godz. 6—8 wieczorem i każdej niedzieli od 10—1 przedpołudniem.
5. Na raz wypożyczyć wolno tylko 2 powieściowe książki, które można trzymać najdłużej 2 tygodnie, oraz 1 naukową książkę, którą można trzymać w domu 4 tygodnie. Przedłużenie można uzyskać, jeżeli czytelnik zwróci się do Biblioteki.
6. Czytelnik, który po dwóch tygodniach nie zwrócił książki, otrzymuje wezwanie: 1) Kartkę korespondencyjną (koszta 30 gr.), 2) Kartkę poleconą (koszta 50 gr.). W razie potrzeby Zarząd pošle osobnego pełnomocnika i ogłosi wezwanie w piśmiech w celu ściągnięcia książek na koszt czytelnika, względnie użyje jeszcze dalej idących środków.
7. Każde Stowarzyszenie odpowiada za swych członków i ściągaa dla Biblioteki we własnym zakresie zaległe należitości.
8. Czytelnik, wykraczający przeciw regulaminowi, może utracić prawo korzystania z Biblioteki.

881.89.881.

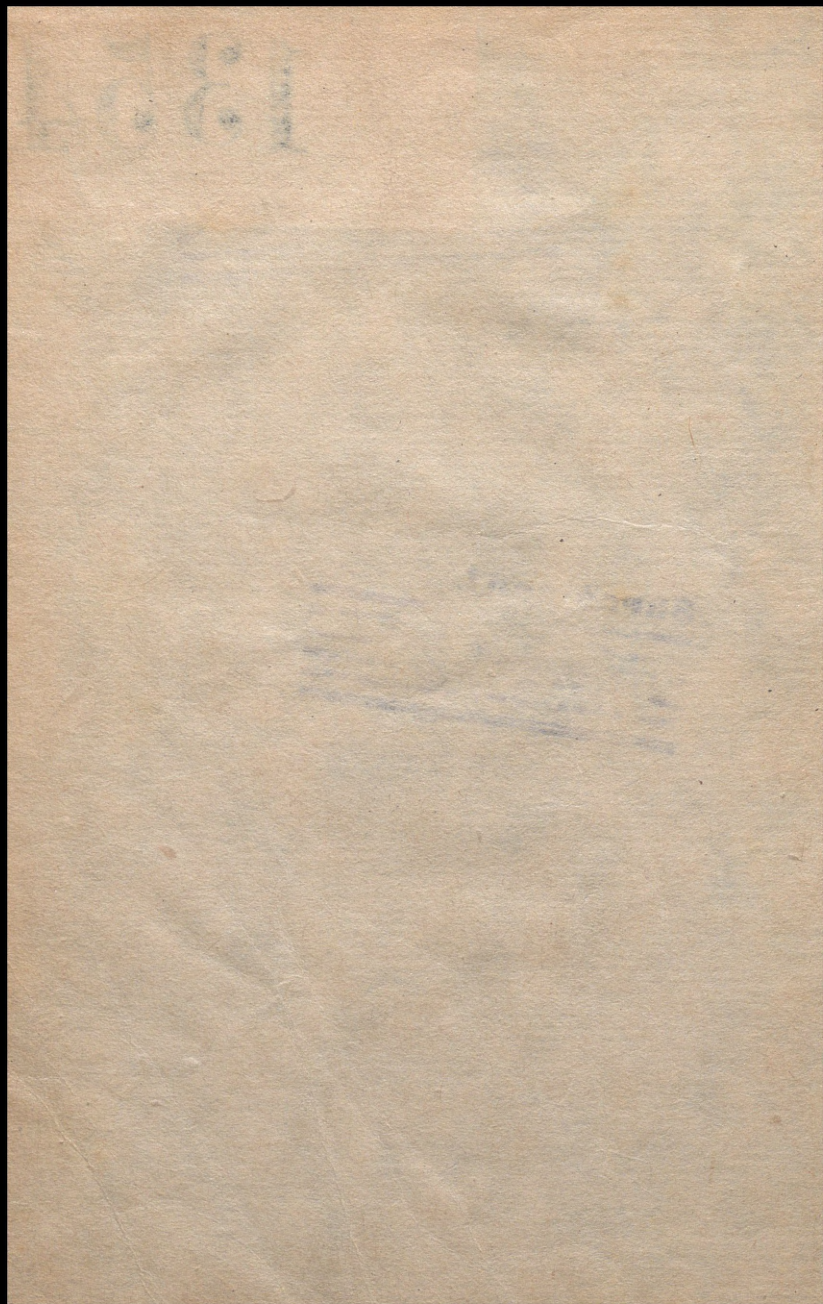
Skreślono

23170

/z.

VI

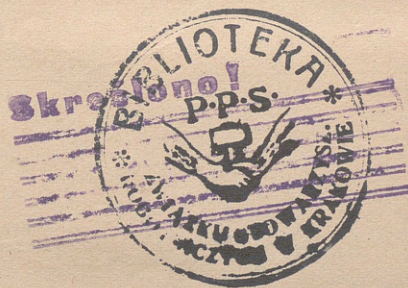




Skreślono!
23170

PREZYDENT GABRIEL NARUTOWICZ

(Życie i działalność)



TEGOŻ AUTORA:

Oficer Polski. Warszawa 1921

Kwestja narodowościowa w Polsce. Warszawa 1922

WYDAWNICTWO
PIERWSZEGO PRZY
GABRIELA

TADEUSZ HOŁÓWKO

dep/1

Prezydent
Gabriel Narutowicz

(ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ)

Z PRZEDMOWĄ
ARTURA ŚLIWIŃSKIEGO



SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA E. WENDE I S-KA
(TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”) SPÓŁKA AKC.

Odbito 3200 egzemplarzy
w Drukarni i Litografji
p. f. „Jan Cotty”
w Warszawie
1924

3243

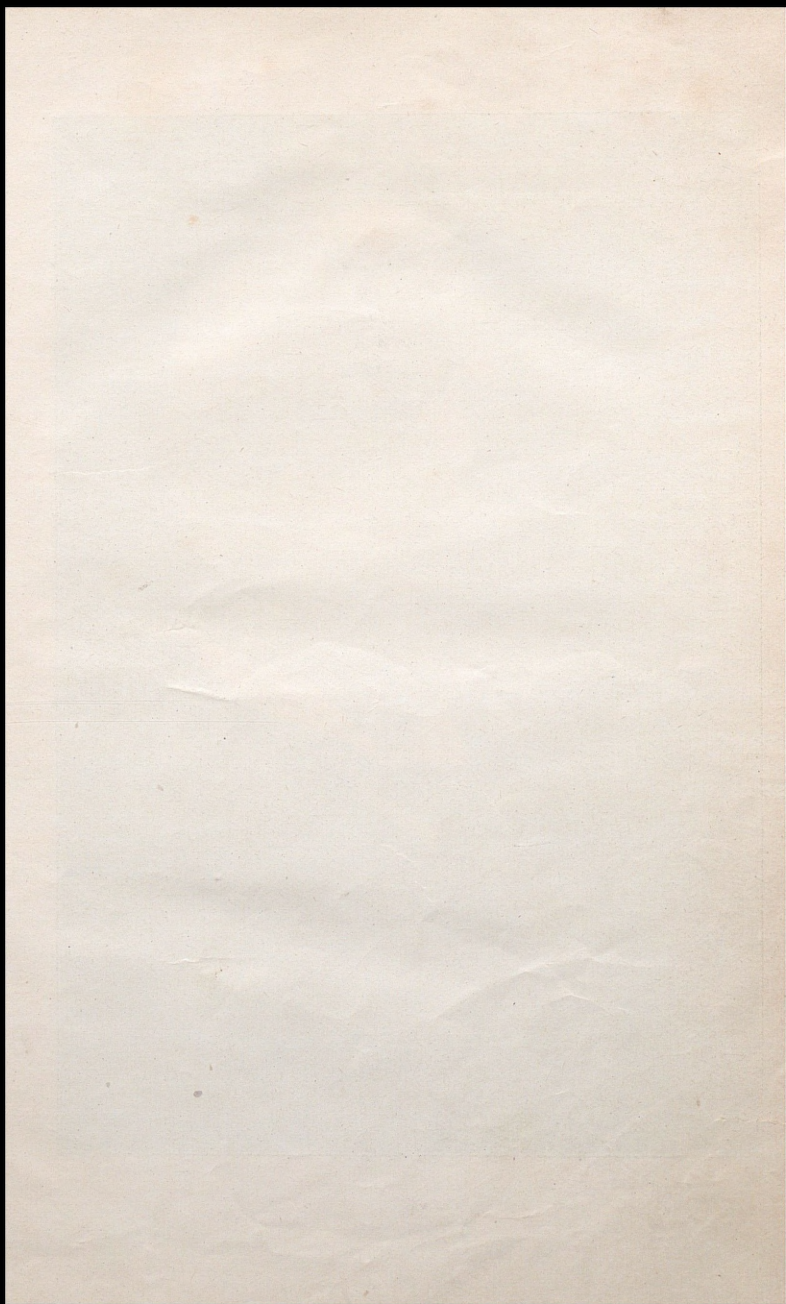


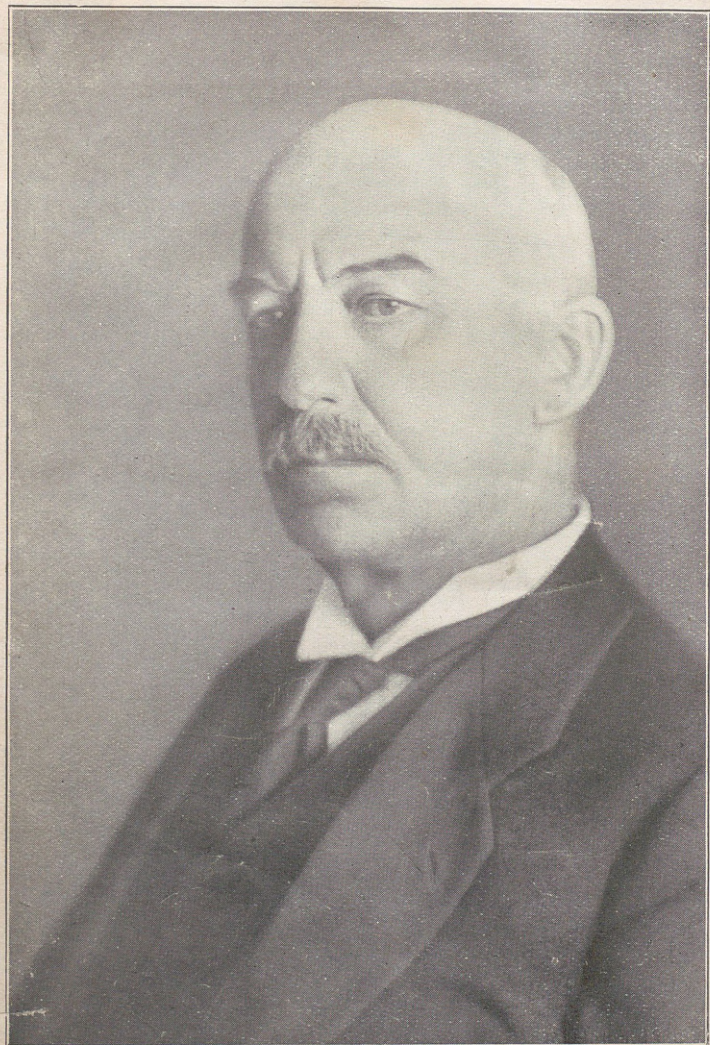
10187/1



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

1952 D 668/100





PRZEDMOWA



Dnia 11 grudnia 1922 roku ulice Warszawy przedstawiały niezwykle widowisko. Dnia tego od rana po całym mieście snuty się podniecone tłumy, wszędzie padały słowa gwałtowne, ostre, namiętne, a fala wzburzenia przelewała się z krańców w krańce stolicy. Przez Nowy Świat co chwila przeciągały szeregi zmobilizowanej młodzieży i z okrzykami: „niech żyje faszyzm!” w wojskowym ordynku maszerowały na wyznaczone im stanowiska. Około godziny 11-tej olbrzymie mrowie ludzkie zalało plac Trzech Krzyży oraz przyległe ulice i ze wszystkich stron zagrodziło dostęp do siedziby władz ustawodawczych przy ulicy Wiejskiej. Podniecenie rosnęło. Bo zgromadzonym tłumom chodziło o to, by przemocą zatrzymać idących spełnić swój obowiązek członków Zgromadzenia Narodowego i Gabryelowi Narutowiczowi, powołanemu wolą przedstawicieli narodu na najwyższe w państwie stanowisko, nie pozwolić na złożenie przepisanej prawem przysięgi.

O godzinie 11-ej w Alejach Ujazdowskich ukazał się w otoczeniu szwadronu szwoleżerów powóz Prezydenta Rzeczypospolitej. Gdy orszak zbliżył się do ulicy Pięknej, tłum, zgromadzony w tem miejscu, zakołysał się niespokojnie i, wydając dyszące nienawiścią okrzyki, rzucił się ku pojazdowi. Rozpierzchły się spłoszone konie szwoleżerów—i Gabrjel Narutowicz pozostał bez asysty w obliczu rozjuszonego motłochu. W jednej chwili wzniosły się w górę laski, kije, drągi, a grad pocisków, ulepionych ze śniegu i błota, posypał się na Dostojnika, uosabiającego Majestat odrodzonej Polski. Na szczęście powóz ruszył,—i Prezydent Narutowicz, zbryzgany ulicznym błotem, zdążył w porę stanąć przed Zgromadzeniem Narodowem.

A tymczasem na placu Trzech Krzyży przyszło do formalnej walki, padły strzały i krew zboczyła bruk wzburzonego miasta.

Tegoż dnia i dni następnych podniecenie w Warszawie rosnęło. Wprawdzie stan wojenny trzymał w karbach ulicę, ale głosy wrogiej Prezydentowi prasy i potworne plotki, szerzone przez ludzi złej woli, nie przestawały rozplamić szalejących w mieście namiętności.

W takiej atmosferze dnia 16 grudnia 1922 roku Gabrjel Narutowicz, zaproszony na otwarcie wystawy, przybył samochodem przed gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Przy wejściu czekali na niego

członkowie Komitetu, przedstawiciele władz rządowych, dygnitarze cudzoziemscy i grono artystów, wśród których był już morderca. Zaledwie zgromadzeni dostali się na piętro i weszli do sali, huknęły skrytobójcze strzały — i Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej padł martwy na ziemię.

Wiść o dokonanej zbrodni lotem błyskawicy rozeszła się po mieście, a nazajutrz wstrząsnęła całą Polską i przejęła grozą świat cywilizowany.

Tak w najpobieżniejszym zarysie przedstawia się obraz kilku tragicznych dni w dziejach naszego narodu, a w dziejach odrodzonej Polski dni wieczystego wstydu i wieczystej hańby. Ten obraz trzeba głęboko wyryć w pamięci i sercu współczesnych, aby w całej grozie przekazali go potomności, jako wstrząsającą na przyszłość przestrożę.

Kto był ten Obywatel, którego Zgromadzenie Narodowe zaszczyciło największem w państwie dostojenstwem, a przeciw któremu wystąpił wielki obóz polityczny i, rzuciwszy na ulicę rozjątrzone demagogją tłumy, stworzył atmosferę nienawiści i gwałtu?

Kto był Gabryel Narutowicz?

Pytanie to przez całe stulecia stawiać sobie będą pokolenia za pokoleniami i szukać odpowiedzi w księdze dziejów naszego narodu.

Nim z perspektywy dziejowej ocenią Narutowicza

historycy, jako pierwsza obszerniejsza na to pytanie odpowiedź zjawia się książka niniejsza. Ale na wstępie zaznaczyć trzeba, że jest to odpowiedź autora, który tragiczne wypadki grudniowe 1922-go roku przeżył i odczuł głęboko. Przystępując na zaproszenie Komitetu Uczczenia Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej do pisania swej pracy, autor sięgnął przedewszystkiem do zebranych przez Komitet materiałów i głównie na ich podstawie opracował zarys życia i działalności zamordowanego Prezydenta. Przebiegając krok za krokiem Jego dzieje, wnikać w Jego życie prywatne, przekonywał się na zasadzie posiadanych dokumentów, że opinja, jaką się cieszył Narutowicz w przychylnych Mu sferach, najzupetniej była zasłużona. Był to człowiek bez skazy. Z rodzinnego domu na Żmudzi wyniósł piękne tradycje polskiego patriotyzmu i tradycjom tym pozostał wierny przez długie lata pobytu swego na obczyźnie. Złe języki utrzymywały, że mógł wrócić do kraju, a jednak nie uczynił tego. I ta pogłoska okazała się fałszywą: jak wielu najdzielniejszym w przeszłości patriotom, tak i młodemu studentowi politechniki zuryskiej zagroziła drogę powrotu mściwa ręka „sprawiedliwości“ carskiej. Pod przymusem tedy został emigrantem. Wyteżona praca i potężna wiedza przyniosły mu z biegiem lat dobrobyt, zaszczyty i głośną w Europie sławę. Ale powodzenie wśród obcych nie oderwało Jego uczuć i myśli od pogrążonej w niewoli Ojczyzny. To też

gdy pękły dźwigane przez naród okowy, wskrzeszona Polska odzyskała w wygnańcu gorącego patriotę, uczonego wielkiej miary, Europejczyka o szerokich widnokręgach myślowych, charakter prawy, umysł niepospolity, serce wrażliwe i wielkie. Pobyt na wolnej ziemi szwajcarskiej uchronił Narutowicza od zatrutych wpływów niewoli i uczynił z Niego prawdziwego Człowieka Wolności. Twardy w pełnieniu swego obowiązku, surowy i poważny w pracy, przejęty odpowiedzialnością za swe czyny i słowa, nie miał przecież w sobie nic z goryczy emigranta i nic ze sztywności wielkiego profesora. Narutowicz kochał życie, znał jego powaby i umiał niemi się cieszyć. Wielbiciel przyrody, miłośnik muzyki, zapalony sportowiec i myśliwy, miał w sobie dużo słonecznej pogody i wdzięku, który rozbrajał niechętnych a podbijał serca swoich i obcych.

— „Wielki człowiek—powiada Carlyle—jest zawsze żywym źródłem światła, obok którego dobrze i miło się znajdować“. To złote światło wzniosłej duszy biło od promiennej postaci Narutowicza i zniewalało każdego, kto do Niego się zbliżył.

Taki wizerunek Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej kreśli Tadeusz Hołówko.

Ten wizerunek świadczy, że Gabryel Narutowicz posiadał wszystkie zalety umysłu i duszy, by wobec świata godnie reprezentować zmartwychwstałą Polskę. Nic dziwnego, że autor umiłował sobie piękną Jego postać i oto-

czył ją ciepłem swego uwielbienia. I nic dziwnego, że, przechodząc do omawiania wypadków, które położyły kres Jego życiu, nie wstrzymał się od gorzkich i piekących uwag, świadczących, że o tych wypadkach myślał ze wzburzoną krwią, że zadawał sobie gwałt, by nie wybuchnąć gromami oburzenia i nie wykroczyć poza ramy tematu. Ale też najspokojniejszy czytelnik nie zdoła chyba zachować obojętności, gdy za przewodem autora śledzić będzie rozwój poprzedzających morderstwo wydarzeń, uprzątnąć sobie towarzyszące zbrodni okoliczności, czytać wołające o pomstę do nieba głosy oszalałych z nienawiści publicystów, przechodzić obok pomników wstydu i hańby, które żyjącemu pokoleniu wystawili nieprzyjaciele Konstytucji i praworządności.

Przyszłość niejednokrotnie powracać będzie do omawianych w książce niniejszej tematów. Najpotworniejsze w dziejach narodu, a obce charakterowi polskiemu morderstwo domaga się analizy, która dopiero w perspektywie dziejowej rzuci swe straszne a właściwe światło na wydarzenia, co wytworzyły atmosferę owej nienawiści, rzuciły na bruk uliczny znieważone prawo, popchnęły tłumy do rebelji i włożyły rewolwer w ręce opętanego szaleńcem mordercy.

Ale praca niniejsza ułatwi zadanie przyszłym dziejopisom. Jest bowiem nie tylko pierwszym życiorysem zamordowanego Prezydenta: jest jeszcze żywym świadec-

twem tego, jak w pamiętnych na zawsze dniach czuł, myślał i reagował ten wielki odłam opinii polskiej, do którego należy autor, ten odłam, dla którego morderstwo było wyzwaniem do walki na śmierć i życie, a który przecież zachował spokój i postawą swoją zmusił przeciwników do uchylenia czoła przed prawem i wolą Zgromadzenia Narodowego. To prawo i ta wola w tych samych identycznie okolicznościach powołując nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, tylko dzięki naciskowi zdrowej opinii narodu zatriumfowały wreszcie nad gwałtem i bezprawiem.

Ten triumf prowadził, niestety, przez niewinną krew Gabrjela Narutowicza. Aby przejrzały wyrosłe w okowach, a demagogją zbatamucone tłumy, trzeba znać było, aby przedtem CZŁOWIEK WOLNY zginął z ręki niewolnika. Straszny los sprawił, iż ofiarą padł znakomity Obywatel, który wierzył głęboko, że krwawe pręgi niewoli, przecinające wzdłuż i wszerz życie nasze i umysłowość naszą, znikną wkrótce bez śladu pod dobroczynnem działaniem odzyskanej wolności. W ten sposób Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej, pragnący budować Polskę na wzór europejski, Polskę wielkich ideałów, Polskę ładu, prawa i pracy, trupem swoim zawałił drogę fali niewolniczych instynktów i własną krwią wstrzymał pochód samobójczego szaleństwa narodu.

Narutowicz, przeczuwając, co Go czeka, a bohatersko

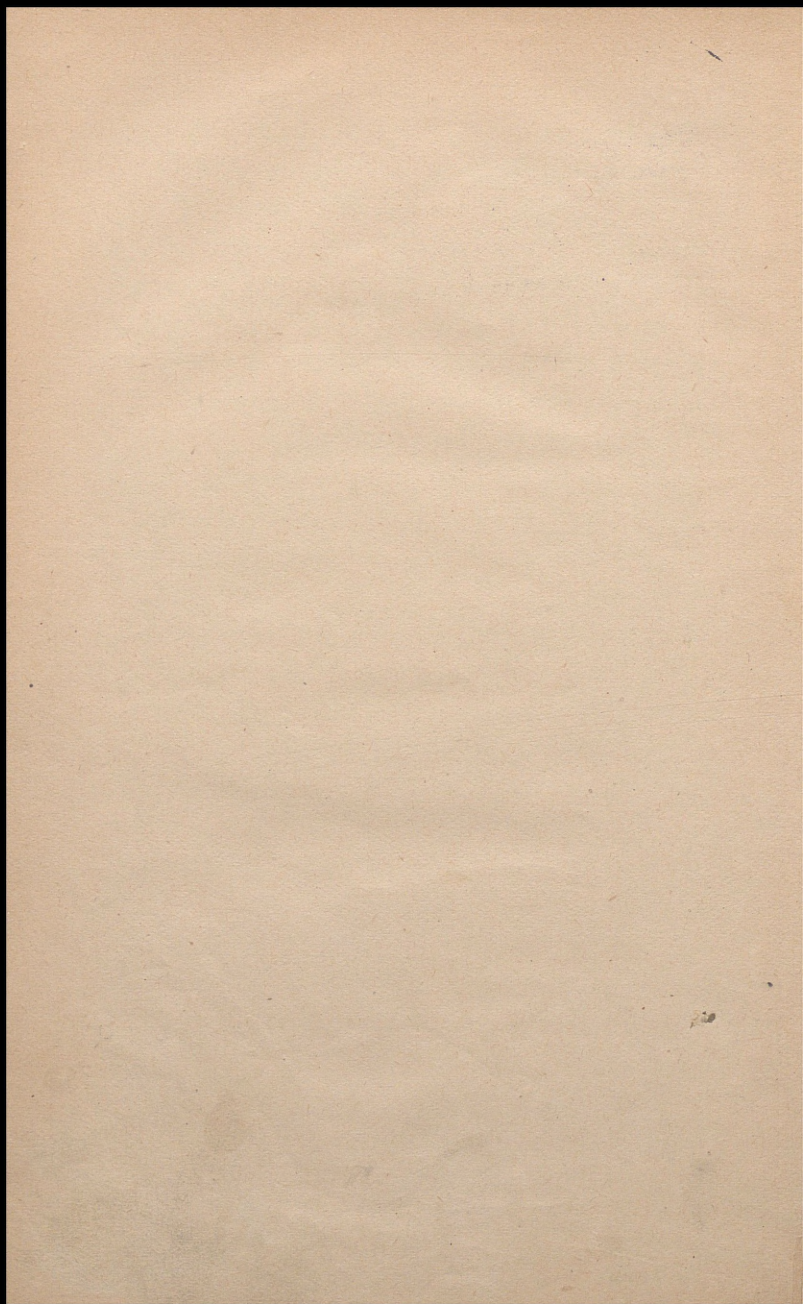
spełniając swój obowiązek, śmiercią swą uratował prawo, a więc główną podwalinę istnienia państw nowoczesnych. Jemu to, jak słusznie powiada autor, zawdzięczać będą następcy swe bezpieczeństwo. Jego cienie w chwilach wzburzonych namiętności wzywać będą walczące obozy do zawieszenia broni dla dobra Ojczyzny. Miną wieki, a męczeńska postać Narutowicza, niby słup ognisty przyświecać będzie pokoleniom i wskazywać im drogę zapomnienia krzywd, uraz i zniewag, drogę wzajemnego przebaczenia i braterskiej miłości.

Komitet uczczenia Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, oddając niniejszą książkę społeczeństwu, czyni to w przeświadczeniu, że spełnia tylko część swego długu, zaciągniętego względem pamięci wielkiego Obywatela i Patrjoty.

Niechże ta książka idzie w świat, jako wyraz hołdu, żalu i przestrogi, niech przypomina, wstrząsa i uczy!

ARTUR ŚLIWIŃSKI

OD AUTORA





„Nikt z tych, którzy głosowali na mnie, nie ma wobec mnie żadnych szczególnych praw, ani z mej strony żadnych szczególnych zobowiązań. Z obowiązku mego urzędu i z głębokiego wewnętrznego przekonania będę zachowywał bezstronność w stosunku do wszystkich bez wyjątku obywateli. Równymi więc będą dla mnie i równą miarą traktować będę tych, co głosowali na mnie, jak i tych, co głosowali inaczej. Nie chcę pierwszych uważać za wyłącznych moich przyjaciół, a drugich za moich przeciwników”.

Gabrjel Narutowicz

„Zygmunt Stary, kiedy posłowie zagraniczni dziwili się, widząc go chodzącego bez straży wśród tłumów pospółstwa, mawiał, że niemasz w całej Rzeczypospolitej człowieka, na którego piersiach nie zasnąłby spokojnie“.

Były to dawne słoneczne czasy w życiu narodu naszego, które przeszły do historii w aureoli pięknej nazwy Złotego Wieku.

Ale i później, gdy wybujały indywidualizm szlachecki zaczął brać górę nad poczuciem interesu państwa, gdy szlachta zaczynała coraz bardziej zatruwać życie swym królom, gdy coraz częściej zbrojny tumult przeciwko nim wszczyniała, to i wtedy „w wojnach nawet domowych sami polityczni przeciwnicy króla wspominali o nim z uszanowaniem, przyklękując na kolano, albo przynajmniej zdejmując czapkę“.

Szlachta polska, zdobywając się na jawne rokosze i bunt przeciwko królom, nigdy nie odważyła się podnieść na nich ręki, tem bardziej zaś uciekać się do skrytobójstwa.

Byłoby to sprzeczne z rycerską naturą narodu polskiego, byłoby traktowane jako zniewaga Majestatu Rzeczypospolitej.

I dlatego, gdy Piekarski rzucił się z czekaniem na Zygmunta III, znenawidzonego przez ogół szlachty, został skazany na śmierć, pomimo że jednocześnie ogólne było mniemanie, iż miał pomieszanie zmysłów. W tradycji ludu Piekarski stał się synonimem pogardy dla głupoty tego, który „plecie, jak Piekarski na mękach“.

Powstańcy barscy utracili w kraju całą sympatię po porwaniu Stanisława Augusta.

Ten wstręt do skrytobójstwa, bezwiedny szacunek dla Majestatu Rzeczypospolitej, szacunek, którego wyrazem zewnętrznym były słowa „Król Polski“, tak głęboko wrosły w psychikę narodu, że nie mogli przewyciężyć tej tradycji i tego wstrętu do skrytobójstwa spiskowcy, którzy mieli zamiar zamordować Mikołaja I, będącego już tylko rabusiem korony Królów Polskich; walkę duchową tych spiskowców genialnie odmalował Słowacki w swym „Kordjanie“.

I oto znów jesteście wolnym narodem w państwie, którego prawa zasadnicze przyrzekają tak wielkie i różne swobody wszystkim jego obywatelom.

A jakże jednak dalecy jesteście duszą i myślą od Złotego Wieku Jagiellonów.

Dziś bowiem, w Polsce, Reprezentant Majestatu Rzeczypospolitej nie może już, niestety, powtórzyć z dumnym uśmiechem za Zygmuntem Starym, że „nie-masz w całej Rzeczypospolitej ani jednego człowieka, na którego piersiach nie zasnąłby spokojnie“. Długa, niestety, będzie musiał odbyć naród pokutę, nim te słowa przestaną być fałszem, nim przestaną wywoływać wspomnienie krwi Niewinnego Człowieka, która zalała pewne karty Konstytucji 17 marca, mającej, здаwałoby się, nawiązać nieśmiertelną nić tradycji ze Złotym Wiekiem Unji Jagiellońskiej.

I tej krzywdy, którą narodowi wyrządziliśmy, nie zapomną i nie wybaczą nam nigdy przyszłe pokolenia polskie. Nie zapomną, że nietylko sprzeniewierzyliśmy się pięknej tradycji nietykalności Przedstawiciela Majestatu Rzeczypospolitej i znieważyliśmy ten Majestat bezmyślną zbrodnią, ale nie wybaczą nam przede-wszystkiem tego, że z Niewiadomskiego próbowano uczynić „bohatera i męczennika narodowego“, usiłując jednocześnie zelżyć pamięć człowieka, który przestał już być sobą, a stał się wyobrazicielem godności i hono-ru narodu.

I tego właśnie przyszłe pokolenia nam nie wybaczą, gdyż będą, jak i my, spadkobiercami złych i do-brych czynów minionych pokoleń. I tak, jak my dziś płoniemy ze wstydu i nie możemy pozbyć się głębo-kiego żalu do tego pokolenia, które, upojone triumfem wschodzącej jutrzeńki swobody, zapomniało o jej zwiastunie Łukasińskim i pozwoliło go, przykutego do ar-maty, zabrać najeźdźcy ze sobą i katować przez nie-

skończenie długi szereg lat w kazamatach straszego więzienia — tak i nam przyszłe pokolenia nie wybaczą, że nie potrafiliśmy wytworzyć takiej moralnej atmosfery, w której czyn Niewiadomskiego byłby poprostu nie do pomyślenia.

Z myślą o tych przyszłych pokoleniach pisałem niniejszą książkę.

Świetlana bowiem pamięć Prezydenta Gabrjela Narutowicza ani jako człowieka, ani jako działacza politycznego i wyobraziciela Majestatu Rzeczypospolitej nie wymaga obrony.

Piękna ta postać należy do przyszłych pokoleń Polski — one dopiero nałożycie ocenią, kogo Polska straciła w tym człowieku, który dziś już stał na tym poziomie kultury duchowej, na którym dopiero one stać będą.

Nasze pokolenie jest jeszcze zbyt przesiąknięte miazmatami niewoli, zbyt spaczone naleciałościami Wschodu z jego fanatyzmem, nieszanowaniem godności i życia człowieka. Wierzę głęboko, że te przyszłe pokolenia wystawią Gabrjelowi Narutowiczowi przed Zachętą pomnik, jako ekspiację za grzechy swych ojców i dziadów, i wryją na nim, być może, słowa Narutowicza, które wziąłem za motto do tej książki, słowa pełne głębokiej dobroci i rozumu.

A wtedy niech u stóp pomnika spocznie jako wieniec i ta książka, wydana zbiorowym wysiłkiem znacznej części dzisiejszego społeczeństwa, niech będzie wyrazem tego, że i wśród obecnego pokolenia było wielu, bardzo wielu, którzy rozumieli, jaką

krzywdę wyrządziło ono dobremu imieniu Polski, jaką ranę wstydu i żalu pozostawiło przyszłym pokoleniom.

Niechże ta skromna praca, pisana z głębokim pietyzmem — nasz hołd Prezydentowi Jutrzejszej Polski — ułatwi przyszłym pokoleniom należyłą ocenę i poznanie Tego, Kogo nie umiało odpowiednio ocenić lub obronić obecne.

T. H.

I

DZIECIŃSTWO. LATA SZKOLNE. STUDJA AKADEMICKIE

Pierwszy Prezydent odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej — Gabrjel Narutowicz — urodził się na Żmudzi i pochodził z rodziny ziemiańskiej, od niepamiętnych czasów tu osiadłej.

Ojciec Gabrjela Narutowicza — Jan Narutowicz — był właścicielem niedużego majątku Brewiki w powiecie telszewskim. Jan Narutowicz należał do tych świątłych i rozumnych obywateli, których patriotyzm, wysokie poczucie odpowiedzialności wobec narodu i szczerzy demokratyzm stworzyły tragiczną, lecz piękną epokę powstania 1863 roku.

Ojciec Gabrjela Narutowicza jeszcze przed urzędowaniem uwłaszczeniem uczynił to w stosunku do swych włościan w Brewikach. Będąc już w podeszłym wieku, nie brał czynnego udziału w powstaniu, lecz należał do organizacji cywilnej, dając wielką i wydatną pomoc okolicznym oddziałom powstańczym. Podejrzewany o to przez rząd carski, został aresztowany i przetrzymany

w ciągu kilku miesięcy w więzieniu w Telszach, w którym pobyt, aczkolwiek krótki, zrujnował jego nadwątlone wiekiem zdrowie.

Jan Narutowicz był żonaty trzy razy. Z pierwszego małżeństwa miał syna Kazimierza i córkę Annę, drugie było bezdzietne, z trzeciego zaś — z Wiktorją ze Szczepkowskich — miał dwóch synów — Stanisława i Gabrjela.

Gabrjel urodził się 17 marca st. st., 1865 roku w Telszach, gdzie ojciec jego spędzał dużo czasu, jako wybrany przez ogół na sędziego powiatowego.

W ten sposób między Stanisławem i Gabrjelem z jednej strony, a ich rodzeństwem przyrodniem: Kazimierzem i Anną z drugiej — zachodziła różnica blisko 20 lat, wskutek czego należeli do dwóch odmiennych epok w życiu narodu.

Kazimierz, brat przyrodni Gabrjela, miał w swem życiu krótką wiosnę, którą opromieniła wiara w zwycięstwo i otwarty bunt przeciwko upadającej niewoli, bowiem jako 16-letni chłopak, uczeń 6 klasy gimnazjum w Szawlach, wracając z wakacyj, zamiast udać się do szkoły, uciekł razem ze swymi kolegami, braćmi Pieczkiewiczami, do partji Staniewicza. Oddział ten jednak wkrótce został rozbity, zaś Kazimierz, lekko ranny w nogę, po szybkiej kuracji zdążył jeszcze wrócić z niewielkiem opóźnieniem do szkoły.

Gabrjel urodził się już w roku, gdy zdeptane zostały ostatnie iskry pożaru powstania, zwątpili najsilniejsi duchem, gdy opuścili ręce i rzucili oręż najwytrwalsi.

Młody Gabrjel rósł wśród zgliszcz popowstaniowych, w atmosferze powszechnego smutku i przygnębienia. Dzieciństwo jego upływało w latach, gdy nie było domu wśród sąsiadów, przyjaciół i krewnych; gdzieby nie opłakiwano najbliższych, nie wybiegano myślą i troską ku dalekim, ponurym tundrom Sybiru.

Żałobą był okryty i skromny dwór Narutowiczów w Brewikach, gdyż ojciec Gabrjela w rok po jego urodzeniu, bo w 1866 roku umarł, złamany na duchu i ciele klęską powstania, któremu, jak to już widzieliśmy, sprzyjał całą duszą.

Młodsze więc dzieci, Stanisław i Gabrjel, nie pamiętały ojca — ale żył on w ich duszach i wyobraźni, jako dobry i rozumny człowiek i prawy Polak, który dobrowolnie uwłaszczył swych włościan, którego ogół obywateli przez tyle lat wybierał na swego sędziego i rozjemcę; otoczony był w ich oczach aureolą męczennika za sprawę, w imię której na schyłku lat swych zaznał więzienia.

A jednocześnie tak świeży jeszcze udział w powstaniu przyrodniego brata Kazimierza i tylu znajomych, opowiadania ich o przebytych walkach i potyczkach, wspomnienia matki o tem, jak ojciec dowoził żywność i broń partjom powstańczym, jak przechowywano po dworach rannych i chorych powstańców — wszystko to stanowiło główny temat rozmów codziennych, które słyszał mały Gabrjel i które chciwie chłonał, aby o tych czasach, tak smutnych i tragicznych, ale jednocześnie tak wzniosłych, czasach odwagi, bezgranicznego poświęcenia i ofiarności nigdy już, nigdy nie za-

pomnieć. Budziły one bowiem w młodej duszy chłopca uczucie zazdrości, że nie było mu danem na własne oczy widzieć powstańców, że nie miał szczęścia, jak brat jego przyrodni, wzięcia udziału w otwartej, rycerskiej walce z odwiecznym wrogiem ojczyzny.

Ta zazdrość i ten żal, że nie brał udziału w powstaniu, głęboko zapadły w duszę Gabrjela Narutowicza — i tych uczuć nietylko czasem się nie wyzbył, lecz przeciwnie, przez całe swe tak pracowite i spokojne życie pielęgnował w głębi serca tęsknotę za otwartą, żołnierską walką z wrogiem ojczyzny.

Takie smutne i w tak smutnych czasach miał dzieciństwo Gabrjel Narutowicz. Jedyłą radością była miłość Matki, kobiety rozumnej i światłej, całą duszą oddanej swym dzieciom, pragnącej dać im staranne wykształcenie i wychować je na dobrych obywateli i Polaków. Synowie odpłacali Matce gorącą miłością.

Matka pragnęła dać dzieciom nietylko staranne wykształcenie, ale i uchronić je od tortur moralnych, które zadawano młodzieży polskiej po powstaniu w szkołach na Litwie; stosownie więc do wskazówek i rad opiekunów dzieci — Błażeja Nowickiego, ojca chrzestnego Gabrjela, i Bolesława Gadona, sąsiadów i przyjaciół męża — gdy zbliżał się czas oddania chłopców do szkoły wypuściła Brewiki w dzierżawę, sama zaś z dziećmi osiadła w Libawie.

Po stłumieniu powstania 63 r., gdy rozpoczął się, zwłaszcza na Litwie, okres brutalnej rusyfikacji całego życia publicznego, przedewszystkiem zaś szkolnictwa, wiele rodzin polskich, o ile tylko pozwalały im na to

środku, wysyłało dzieci do szkół niemieckich Libawy i Rygi. W ten sposób dzieci te unikały rusyfikacji i prześladowań, gdyż spędzały młodość w kraju, który, dzięki wpływowi baronów bałtyckich, posiadał wówczas dość dużą samodzielność w wielu dziedzinach, między innymi w szkolnictwie, gdyż dopuszczano tam szkoły średnie z niemieckim językiem wykładowym, stojące na wysokim poziomie.

Dlatego też na początku ósmego dziesięciolecia Wiktorja Narutowiczowa zamieszkała w Libawie, aby mieć nadzór nad swymi chłopcami i samej kierować ich wychowaniem.

Zpoczątku Stanisław, a w rok później, w 1873 roku, Gabryel—zostali przyjęci do niemieckiego gimnazjum klasycznego w Libawie.

Wiele rodzin polskich, również jak i p. Narutowiczowa, nie chcąc rozłączać się z dziećmi, osiadło na stałe w Libawie— jak naprz. Skirmuntowie, Rechniewscy, Narbutowie; pozatem osiadła tam pewna liczba byłych powstańców, którym rząd pozwolił zamieszkać w Libawie. W ten sposób w mieście tem powstała duża kolonja polska, skupiająca się przedewszystkiem w gościnnym domu Rechniewskich, którzy prawie jednocześnie z p. Narutowiczową tu się przenieśli.

Juljan Rechniewski— z zawodu adwokat, mieszkał przedtem w Petersburgu, gdzie miał rozległą praktykę. Gdy jednak dzieci zaczęły podrastać, nie chcąc oddawać ich do szkół rosyjskich, przeniósł się do Libawy, gdzie prowadził kancelarję adwokacką, jednocześnie zaś szeroko otworzył podwoje swego domu

dla rodaków. „Soboty“ u Rechniewskich skupiały całą kolonję polską, w ich domu odbywały się przedstawienia amatorskie i mieściła się biblijoteka polska. Gdy dzieci Rechniewskich podrosły, cała młodzież polska zaczęła również skupiać się pod ich gościnnym dachem, napełniając dom i przyległy wielki ogród śmiechem i weselem młodości.

Synowie Rechniewskich — Tadeusz i Stanisław — byli mniej więcej w tym samym wieku, co Stanisław i Gabrjel Narutowicze. Szybko więc między chłopcami, uczęszczającymi do tego samego gimnazjum, powstała serdeczna przyjaźń.

Gabrjel Narutowicz zaprzyjaźnił się ze starszym o rok Stanisławem Rechniewskim, zaś Stanisław — z Tadeuszem Rechniewskim. Obaj chłopcy dużo czasu spędzali w domu Rechniewskich, korzystali z biblijoteki, przysłuchiwali się rozmowom i dysputom starszych, wśród których było wielu uczestników powstania.

W owych tak ciężkich dla Polski czasach, jedynem miejscem, gdzie płonęły ogniska kultury polskiej, było prywatne, wewnętrzne życie rodzin polskich. Dom Rechniewskich właśnie był jednym z takich większych ognisk, którego oddziaływanie chroniło młodego Gabrjela od wpływów niemieckich i utrzymywało łączność duchową z krajem, jego sprawami i troskami

Zresztą i faktyczna łączność z krajem rodzinnym nie została zerwana całkowicie. W lecie bowiem chłopcy wyjeżdżali do swych rodzinnych Brewików. Pozatem Gabrjel często spędzał część lata u swego ojca chrzestnego Błażeja Nowickiego — zapalonego

myśliwego, który tej swojej namiętności udzielił na całe życie Gabrjelowi Narutowiczowi. Wakacje spędzane w Brewikach lub w majątku ojca chrzestnego — włączenie się z fuzją myśliwską, konna jazda, roboty w polu — wszystko to zrodziło w Gabrjelu gorące przywiązanie do natury, pragnienie badania jej praw i tajemnic.

Będąc jeszcze chłopcem 13—14-letnim, Gabrjel Narutowicz zaczął wykazywać w szkole, pomimo jej charakteru klasycznego, specjalne zamiłowanie do nauk przyrodniczych. Wspólnie z przyjacielem swym Stanisławem Rechniewskim urządzili sobie w domu małe laboratorium, gdzie robili doświadczenia z fizyki i chemii. Gabrjel Narutowicz, lubiany przez kolegów gimnazjalnych za swoją prawość, dobroć i koleżeństwo, uważany był pozatem za bardzo zdolnego i energicznego młodzieńca. Z jego świadectw szkolnych widać jednak, że należał do kategorii uczeni zdolnych, ale nie celujących, bowiem stopnie obracały się około czwórki.

Gdy już Gabrjel dorastał i był w klasach wyższych, Matka przekazała mu faktyczną opiekę nad Brewikami, tak przez niego ukochanymi. Mając więc 16—17 lat, młody Gabrjel nietylko zarządzał majątkiem rodzinnym, lecz sam kierował wznoszeniem lub naprawą zabudowań gospodarczych, doskonale dając sobie radę, energią i zaradnością wzbudzając podziw i sympatię sąsiadów, nietylko ziemian, lecz i włościan. Młody Gabrjel bowiem już wtedy starał się zbliżyć do prostego ludu; byli to Litwini — a ponieważ Gabrjel doskonale mówił po litewsku, ułatwiało mu to niezmiernie

obcowanie z ludem i potęgowało jego popularność wśród włościan.

Ten demokratyzm, to szczere przywiązanie do ludu i chętnie z nim przebywanie przejął Gabrjel Narutowicz w tradycji po ojcu swoim — szczerym demokracji i powstańcu; ale jednocześnie jeszcze bardziej ugruntował się w nim ten demokratyzm pod wpływem o kilka lat starszego Tadeusza Rechniewskiego. Jaka rolę w dziejach polskiej myśli politycznej i kulturalnej odegrał Tadeusz Rechniewski, jaki ogromny wpływ wywarł ten człowiek wielkiego serca i umysłu na tych wszystkich, którzy go znali, zbytecznym byłoby mówić.

Ten sam urok, którym Tadeusz Rechniewski oddziaływał na ludzi jako człowiek dojrzały, zdobywał mu w latach młodości wpływ na kolegów gimnazjalnych. Już na ławie szkolnej Tadeusz Rechniewski, organizator kółek samokształceniowych, płonął ogniem idealizmu i wrażliwością na krzywdę ludzką. Było to pod koniec ósmego dziesięciolecia, gdy cała Rosja znajdowała się pod wrażeniem walki terrorystycznej „Narodnoj Woli“ z caratem, gdy hasła socjalizmu przenikały do serc i umysłów młodzieży. Tadeusz Rechniewski, wchłaniający głęboko te hasła, wywierał wielki wpływ na kolegów; wpływowi temu podlegali także i bracia Narutowicze.

Gabrjel Narutowicz — z natury skoncentrowany w sobie, obdarzony zamiłowaniem do badań naukowych — nie miał skłonności do czynnej walki politycznej, i na tę drogę Tadeusz Rechniewski pociągnął za sobą tylko starszego jego brata. Ale zapatrywania Ta-



deusza Rechniewskiego, jego płomienna, czysta dusza—wywarły, jak to zobaczymy następnie, duży wpływ na tworzenie się światopoglądu Gabrjela Narutowicza.

Przebywanie w mieście nadmorskiem, a więc ciągłe obcowanie z tak tajemniczym i pociągającym żywiołem, jakim jest wiecznie ruchliwe morze, musiało w Narutowiczu pogłębić umiłowanie przyrody. Otóż, jeśli pobyt w rodzinnych Brewikach rozwinął w nim zamiłowanie do myślistwa i konnej jazdy, to pobyt w Libawie obudził w nim upodobanie do sportów — pływania i wiosłarstwa. Zamiłowanie do tego ostatniego sportu zaważyło pośrednio na całym życiu Gabrjela Narutowicza. Mianowicie, jeszcze jako uczeń VI klasy gimnazjum późną jesienią pojechał z kolegami łódką na otwarte morze. Tymczasem rozszalała burza, która przewróciła łódkę, i chłopcy, nim zostali uratowani przez rybaka, spędzili w wodzie blisko godzinę, czepiając się przewróconej łódki.

Gabrjel, nie chcąc martwić Matki, ukrył przed nią ten wypadek, który jednak spowodował smutne następstwa, gdyż na tle przeziębienia po tej tak długiej kąpieli rozwinęły się stopniowo suchoty, na które ani sam Narutowicz, ani nikt z jego otoczenia nie zwracał początkowo uwagi.

W VII-jej klasie Narutowicz miał zatarg ze szkołą na tle jakiejś swawoli, wobec czego został chwilowo nawet wydalony, ale pomimo szybkiego przyjęcia zwrottem musiał wskutek tego zajścia pozostać w tej klasie na rok drugi.

Im bliżej było do ukończenia gimnazjum, tem

bardziej gruntowało się w Narutowiczu zamiłowanie do nauk ścisłych. Jednocześnie wszakże jego czynna natura domagała się praktycznego zastosowania wiedzy. Zdecydował więc poświęcić się pracy technicznej. Pragnąc jednak mieć przedtem gruntowne przygotowanie teoretyczne, postanowił naprzód odbyć specjalne studja na Uniwersytecie Petersburskim.

W 1883 roku Narutowicz skończył gimnazjum. Maturę miał przeciętnie dobrą, gdyż tylko z matematyki i rosyjskiego miał piątki, z pozostałych zaś przedmiotów czwórki. Wskutek wypadku na morzu zdrowie jego pogorszyło się w tym czasie o tyle, że musiał dla wzmocnienia rok spędzić w Brewikach. Dopiero na jesieni 1884 roku wstąpił na wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu w Petersburgu.

Tu jednak, w „zgniłym Petersburgu“, mieście nieustannych deszczy, mgieł i wilgoci, utajone suchoty ujawniły się w pełni i, po roku spędzonym przez Narutowicza w tem mieście, przybrały groźny charakter, robiąc tak szybkie postępy, że na początku 1886 roku Narutowicz musiał położyć się do łóżka. Lekarze uznali stan zdrowia za beznadziejny i wezwali Matkę, która nawpół żywego syna, osłabionego ciągłemi krwotokami, niezwłocznie wywiozła do Wilna. Tu lekarze zdecydowali, że jedynym ratunkiem dla młodego Narutowicza może być wyjazd do sanatorium w Davos, w Szwajcarii.

Na wiosnę 1886 roku Gabriel wyjechał do Davos. Aby uzyskać paszport zagraniczny, przed wyjazdem stanął jako poborowy przed komisją wojskową, która

uznała go za całkowicie niezdolnego do służby wojskowej ze względu na stan zdrowia.

Górski klimat i zasadniczo mocny organizm bardzo szybko przezwyciężyły straszną chorobę, po kilku bowiem miesiącach pobytu w Davos Narutowicz był już o tyle zdrowszy, że lekarze pozwolili mu wrócić do studjów.)

O powrocie jednak do Petersburga, rzecz naturalna, nie mogło być mowy. Wobec tego, aby nie wyjeżdżać z Szwajcarii, której górski klimat wrócił mu zdrowie, Narutowicz postanowił wstąpić na Politechnikę Zuryską, słynną w Europie ze swego wysokiego poziomu naukowego. Tem łatwiej było Narutowiczowi zdecydować się na ten krok, że skończywszy gimnazjum w Libawie, doskonale władał językiem niemieckim, który był wykładowym na Politechnice.

Na jesieni 1886 roku Gabriel Narutowicz został przyjęty na Politechnikę w Zurychu, na wydział inżynieryjny. Dopiero teraz faktycznie zaczęło się studenckie życie Gabriela Narutowicza.

W owych czasach Szwajcaria, obok Paryża, skupiała w swych miastach liczne kolonje młodzieży polskiej, żyjącej tu bujnym życiem kulturalnym i politycznym. Był to okres, w którym zabór rosyjski zaczynał budzić się z martwoty, trwającej od stłumienia powstania 1863 roku, okres intensywnej działalności słynnego „Proletariatu”. Ówczesna młodzież polska coraz bardziej garnęła się do ruchu socjalistycznego. Coraz liczniej też młodzież czynniejsza, skompromito-

wana wobec władz przez udział w pracach „Narodnej Woli“ i „Proletariatu“, lub poprostu dusząc się w atmosferze ucisku caratu, uciekała albo legalnie wyjeżdżała na studia zagranicę, przedewszystkiem do Szwajcarii i Francji, jako krajów najbardziej wolnościowych, chętnie przygarniających emigrantów politycznych. Młodzież więc spieszyła tu tłumnie, aby odetchnąć wolnem powietrzem demokratycznych republik i wchłonąć ostatnie zdobycze nauki i postępu.

Ówczesne pokolenie młodzieży polskiej żyło pod znakiem socjalizmu. Płytki pozytywizm warszawski ze swemi hasłami bogacenia się i „podbojów handlowo-przemysłowych“ zbankrutował na całej linii, spełniwszy dodatnią rolę w walce z obskurantyzmem i zacofaniem szlachty. Pokolenie, do którego należał i Gabriel Narutowicz, nietylko nie uczestniczyło w powstaniu 1863 r., ale w wielu wypadkach nawet go nie pamiętało. Dla tego więc pokolenia hasła pozytywizmu, nawołującego do rezygnacji z dążeń i aspiracyj politycznych, były obce i niezrozumiałe. Przeciwnie, zaczyna ono wierzyć w gwałtowny przewrót społeczny, który jednocześnie obali ucisk i polityczny i narodowy. W Warszawie wychodzi niezapomniany w dziejach kultury polskiej „Głos“, we Lwowie niemniej zasłużony „Przegląd Społeczny“, pisma, stawiające przed ówczesną młodzieżą zagadnienie roli ludu w dalszych losach Polski.

Jednocześnie na emigracji odbywa się swobodna dyskusja nad zagadnieniami, o których pisma w kraju z wielkim trudem mogły tylko napomykać. Młodzież,



przebywająca zagranicą, bierze w tych dyskusjach, w tem poszukiwaniu nowego programu działania politycznego i społecznego czynny udział. Ulegając jednak różnorodnym, wzajemnie krzyżującym się wpływom, dzieli się na niezliczoną ilość grup i kółek, prowadzących namiętne dyskusje i spory.

Z jednej strony odziaływali na młodzież rozbitkowie ruchu 1863 roku, jak Wróblewski, Limanowski, T. T. Jeż. Jedni z nich, jak T. T. Jeż, rzucają myśl „Ligi Narodowej“, mającej przygotować naród do nowego powstania, drudzy, jak B. Limanowski, chcą połączyć hasła niepodległości i socjalizmu. Poza tem młodzież polska ulegała hasłom socjalistów rosyjskich i pozostających pod ich wpływem „Proletarjatek“, którzy wierzyli w szybkie nadejście rewolucji socjalnej. Tak zróżniczkowane zasadnicze prądy myślowe, panujące wśród młodzieży ówczesnej, można było podzielić na trzy główne kierunki. Wśród nich najbardziej umiarkowanym, ale zasadniczo również radykalnym, bo ulegającym wpływom „Głosu“, wysuwającego hasła Polski ludowej, był kierunek „Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej“ — na które ze swej strony jednocześnie wywierała duży wpływ „Liga Narodowa“. Drugi kierunek — narodowo-socjalistyczny — skupiał się około „Pobudki“ B. Limanowskiego, pragnącej nawiązać nić duchową między dotychczasowym dorobkiem demokratycznych i powstańczych kierunków polskiej myśli polityczno-społecznej a socjalizmem. Wreszcie najmniej riczący zwolenników i najmniej popularny kierunek radykalny ogniskował się przy piśmie „Walka klas“

które było wyrazem ideologii „Proletariatu“, wierzącego w bliską rewolucję socjalną, mającą uleczyć ostatecznie krzywdy i bolączki całej ludzkości, a tem samem i narodu polskiego.

Pomimo tych, tak wielkich różnic przekonaniowych, pomimo namiętnych sporów i dysput, ówczesne pokolenie młodzieży polskiej miało jedną wspólną cechę — istotny, gorący patriotyzm. Wówczas gdy starsze pokolenie, wychowane przez pozytywistów, godziło się z niewolą polityczną i wyruszało na „podboje handlowo-przemysłowe“ Rosji, zajmując tam dobrze płatne stanowiska dyrektorów fabryk, inżynierów, urzędników — pokolenie to, przeciwnie, żyło myślą zmiany losu Ojczyzny, wyrwania jej z pęt niewoli politycznej, uwolnienia ludu z jarzma wyzysku społecznego. Różnemi drogami ku celowi dążono, ale cel był jeden — lepsza przyszłość Polski i jej ludu.

Uważaliśmy za wskazane naszkicować tło zainteresowań młodzieży polskiej w epoce, gdy młody Gabriel Narutowicz stał się uczestnikiem życia tej młodzieży.

Jak widzieliśmy, w czasach gimnazjalnych Gabriel Narutowicz nie miał specjalnego zamiłowania do polityki. Obecnie również, wstępując na Politechnikę, nie dał się porwać wirowi rozpolitykowania młodzieży polskiej i dość daleko stał od jej sporów ideowych, tem bardziej zaś jakiegokolwiek działalności politycznej. Odrazu z zapalem bierze się do nauki. W owych czasach, pod wpływem Spencera i Darwina, wskazujących ludzkości nowe horyzonty, młodzież żywiła specjalny

kult dla nauki. Otóż kultowi temu całkowicie uległ młody Narutowicz, traktował bowiem studia nie jako ciężką powinność, mierzoną ilością byle prędkiej, byle jak zepchniętych egzaminów, lecz jako wielką radość, wypływającą z możliwości przebywania w sferze dorobku myśli ludziej i badania praw natury.

W Szwajcarii zamiłowanie Narutowicza do przyrody znalazło nową podniechęć.

W owych czasach Zurych, leżący u stóp Zürichbergu, był cichem miastem, mającem dużo cech wielkiej wsi, gdyż składał się przeważnie z małych, otoczonych ogrodami domków. Stary, piękny las Zürichbergu tak nisko spuszczał się do miasta, że w pięć minut po wyjściu z Uniwersytetu można było znaleźć się w głębi leśnej. Nic też dziwnego, że w takich warunkach dawne zamiłowanie do włóczęgi, wyniesione z Brewików, musiało wybuchnąć u wracającego do zdrowia młodzieńca z nową siłą. Stał się zapalonym alpinistą i bierze udział w trudnych wycieczkach górskich. Stopniowo zwiedza pieszo całą Szwajcarię. Wycieczki te jednak nie są tylko turystyką i sportem, jednocześnie bowiem Narutowicz przeprowadza studia geologiczne.

Zamiłowanie do geologii obudził w Narutowiczu —sława europejska na Politechnice Zuryskiej—profesor geologii Heim, którego ulubionym uczniem wkrótce stał się Narutowicz. Wspólne wycieczki geologiczne z umiłowanym profesorem stanowią jedną z największych pasyj młodego studenta.

Drugim przedmiotem, któremu ze specjalnem upo-

dobaniem poświęcał się Narutowicz, była matematyka. Wykładał ją profesor Fiedler, którym również szczyliła się Politechnika. Ale gdy prof. Heim był uwielbiany przez młodzież, prof. Fiedler, przeciwnie, był niepopularny tak dalece, że młodzież co roku urządzała mu kocią muzykę.

Narutowicz jednak swój podziw dla matematyki przeniósł i na jej wybitnego przedstawiciela i dlatego nie tylko kategorycznie odmówił wzięcia udziału w tradycyjnym „kocim koncercie“, lecz przy pomocy kolegów Polaków wpłynął na resztę studentów tego semestru, aby zaniechali przykrej tradycji; gdy prof. Fiedler, zdumiony tą inowacją, dowiedział się o roli Narutowicza, nie ukrywał przed nim sympatii i szacunku dla jego prawości.

Tak upływał Narutowiczowi czas, poświęcony nauce, wycieczkom i spacerom łodzią po jeziorze.

Jak już wspominaliśmy, Narutowicz nie brał czynnego udziału w politycznym życiu młodzieży polskiej i nigdy nie zabierał głosu na zebraniach i dyskusjach politycznych.

Ale jako jednostka samodzielna, o bogatej i wszechstronnej indywidualności, daleki był, dzięki swej czynnej i ruchliwej naturze, od typu „móla książkowego“. Kochając życie we wszystkich jego przejawach, nie mógł pozostawać obojętnym na zagadnienia polityczne i społeczne, które pochłaniały dusze i umysły jego kolegów i przyjaciół. Musiał więc wśród tych kierunków politycznych, o których już poprzednio mówiliśmy, wybrać najbardziej dla siebie odpowiedni.

Takim był kierunek, reprezentowany przez „Walkę klas“. Do jego „sympatyków“ zaliczał siebie Narutowicz, to też ze zwolennikami tego kierunku w Zurychu żył najbliżej.

Kilka przyczyn złożyło się na to, że zbliżył się do tego najbardziej skrajnego i radykalnego kierunku. A więc przede wszystkim, bezwątpienia piękna postać Tadeusza Rechniewskiego, pod którego urokiem nadal pozostawał. T. Rechniewski wcielał bowiem w tym czasie w życie swoje chłopięce marzenia i oddał się całkowicie swej wielkiej idei, porzucając studia na Uniwersytecie w Petersburgu i poświęcając się całkowicie pracy w szeregach „Proletariatu“. Odegrało również rolę i to, że starszy brat Gabrijela Narutowicza Stanisław wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Petersburskiego, biorąc czynny udział w kółku rewolucyjnym, które założyli Tadeusz Rechniewski i Aleksander Dębski.

Później przysły wiadomości o aresztowaniu Tadeusza Rechniewskiego, o jego udziale w słynnym procesie 29-ciu i skazaniu na 14 lat katorgi.

Wieść o losie przyjaciela z lat dziecińczych, któremu tyle zawdzięczał w swym rozwoju duchowym, przebywając tak niezachwianie pod urokiem jego pięknej duszy, wywarła głębokie wrażenie na Narutowiczu. Do końca życia przechowywał z petyzmem fotografię T. Rechniewskiego z katorgi, z kajdanami na nogach.

Znał tak dobrze tego człowieka, tak go cenił, był pełen takiego podziwu dla jego poświęcenia, nic więc dziwnego, że nie biorąc czynnego udziału w po-

lityce—duchowo czuł się zbliżonym do tego kierunku politycznego, któremu służyli tak bliscy i drodzy mu ludzie, jak brat i człowiek tej miary, co Tadeusz Rechniewski.

Dlatego też, siłą rzeczy, garnął się do tych ludzi, dla których Tadeusz Rechniewski był takim samym wielkim i godnym podziwu i uwielbienia, jak i dla niego, męczennikiem i którzy również służyli tej samej idei, co i ten, tak ceniony i kochany przez niego człowiek.

Odegrał również pewną rolę i ten fakt, że wśród zuryskiej paczki zwolenników „Walki klas“ było kilka osób, pochodzących z tych samych co i on okolic, a więc przede wszystkim Hanna Bilewiczówna, późniejsza żona Stanisława Narutowicza, u której zbierali się „Litwini“, pozatem p. Krzyżanowska, późniejsza Kodisowa, Barbara Burbo i Kodis.

Należeli również do tej „paczki“ tacy ludzie jak Feliks Daszyński, Zofja Poznańska, późniejsza żona Feliksa Daszyńskiego, dziś znana ekonomistka polska (dr. Z. Daszyńska-Golińska). Nieco później przyjechał do Zurychu Aleksander Dębski, wówczas jeden z najczynniejszych członków „Proletariatu“, pełen życia, energii, zapalony rewolucjonista; jeszcze później — Ignacy Daszyński.

Byli to najbliżsi za czasów studenckich przyjaciele Gabryela Narutowicza, który czuł się dobrze wśród tych utalentowanych i silnych indywidualności.

Sam jednak, będąc naturą samodzielną, nie ulegał zbyt łatwo wpływowi przyjaciół. Pod wielu wzglę-

dami różnił się od nich. Tak z Aleksandrem Dębskim różnił się zasadniczo w sprawie terroru. Mimo że Dębski był zapalonym zwolennikiem taktyki terrorystycznej, Gabrjel Narutowicz, przeciwnie, nie tylko potępiał ten sposób walki politycznej, lecz poprostu miał wstręt do skrytobójstwa.

Uważał tę właśnie metodę walki za nieetyczną i nierycerską, niezgodną z duchem kultury polskiej, i dlatego też potępiał zamachy nawet na carów, pomimo że z całej duszy nienawidził caratu.

Spiski, terror, morderstwa skrytobójcze — były to, według jego zdania, narzędzia walki niewolników, za jakich uważał Rosjan, których psychika niespokojna, pogmatwana, była mu całkowicie obcą i niesympatyczną i której wpływom nigdy nie ulegał, nie mając zresztą sposobności, jako wychowaniec gimnazjum niemieckiego, bliższego zetknięcia się z kulturą i umysłowością rosyjską.

Natomiast, pomny na tradycje rodzinne i przeżycia z dzieciństwa, które upłynęło mu pod wrażeniem klęski powstania 1863 r., marzył o nowym powstaniu, o otwartej walce w polu, z orężem w ręku.

Z tem marzeniem wcale nie krył się przed przyjaciółmi, wierzącymi w rychłą rewolucję społeczną i wobec tego uważającymi wszelkie „powstania“ za mrzonki. „Gdyby było powstanie, tobym z radością poszedł“ — mówił często.

Jak dalece poważnie myślał o tej walce, świadczy fakt, że zapisał się jednocześnie na wydział wojskowy na Politechnice, nie zrażając się wcale dowci-

pami i docinkami przyjaciół, którzy często żartowali z jego studjów wojskowych, z jego kultu dla Napoleona, w ich oczach zbrodniarza, i nieraz nazywali Narutowicza przysłym Kościuszką.

Narutowicz z całym spokojem przyjmował te docinki i, uśmiechając się, powtarzał: „Zobaczymy, kto będzie miał rację. Jeszcze mi podziękujecie, bo będę potrzebny“.

W innej natomiast dziedzinie—mianowicie w dziedzinie religji—był całkowicie z nimi solidarny, a nawet, być może, o wiele poważniej i głębiej ją traktował, aniżeli jego przyjaciele. Był zdecydowanym wrogiem klerikalizmu i oficjalnych dogmatów kościelnych.

Ta samodzielność, ta odwaga przekonań— bo każdy z nas wie, jaką wielką odwagę cywilną trzeba mieć, by móc przeciwstawić się, będąc studentem i należąc do pewnego kierunku ideowego, powszechnie przyjętym w tem środowisku zapatrywaniom— zjednywały mu ogólny szacunek.

Za tę szczerść, prawość i uprzejmość był ogólnie lubiany i szanowany—co znajdowało swój wyraz i w tem, że rzadko jaką sprawę honorową, o które tak łatwo w środowisku studenckiem, decydowano bez udziału G. Narutowicza, jako strony, czy superarbitra. W jego ręce oddawali swe sprawy honorowe koledzy o wręcz nawet odmiennych przekonaniach—taki miał mir wśród ogółu młodzieży i takie było zaufanie do jego bezstronności.

Tak zarysowuje się sylwetka Gabrijela Narutowicza w młodości, która jest „rzeźbiarką życia“. Naru-

towicz występuje jako człowiek o wszechstronnej i bogatej indywidualności, jednako wrażliwej na wszystkie przejawy życia. Głęboki kult dla nauki umiał pogodzić z zamiłowaniem do sportów wszelkiego rodzaju, jednocześnie zaś przebywał w towarzystwie ludzi całą duszą oddanych polityce, często marzycieli, pociągających go swą ideowością i wrażliwością na krzywdę człowieka, wiarą w lepszą przyszłość ludzkości, a tem samem i narodu polskiego. Sam jednak, jako natura realna, pragnął otwartej zbrojnej walki i na wszelki wypadek do tej walki przygotowywał się — ale daleki był od typu „cierpiętnika narodowego“; przeciwnie, lubił zabawy, spacer, przejażdżki łodzią, towarzystwo kobiet, chętnie uczęszczał na koncerty symfoniczne, po których znowu spędzał kilka godzin przy kuflu piwa w gronie zajadłych „burszów“, lub szedł do sali szermierki na fechtunek, który ogromnie lubił — słowem, żył pełnią życia i cieszył się z całej duszy, że jest młody i znowu zdrowy.

Nauka posuwała się rażno naprzód, i już zaczynał myśleć o tej chwili, kiedy otrzyma dyplom i jako skończony inżynier wróci do Polski, aby stanąć do twórczej pracy.

Zaszedł jednak wypadek, który wywarł decydujący wpływ na dalsze życie Gabrjela Narutowicza.

Mamy na myśli słynny swego czasu, nieszczęśliwy wypadek z bombą Aleksandra Dębskiego i rosyjskiego rewolucjonisty Dembo, który zdarzył się im 6 marca 1889 roku.

W owym czasie wśród niedobitków „Narodnej

Woli“ i „Proletariatu“ powstała myśl wznowienia akcji terrorystycznej. Aleksander Dębski razem z Dembą, szukając się do tej akcji, robili w lasach Zürichbergu doświadczenia z jakimś nowym środkiem wybuchowym, i w czasie jednej z takich prób któraś z bomb wybuchła, raniąc śmiertelnie Dembę i mocno Dębskiego. Ten ostatni, nie mogąc udźwignąć nieprzytomnego kolegi, miał tyle jeszcze siły, że pokrwawiony, doczołgał się do miasta i wstąpił do najbliższego po drodze mieszkania kolegi swego Frenkla, któremu opowiedział o nieszczęściu i prosił o zorganizowanie pomocy dla Demby. Naturalnie, wiadomość ta lotem błyskawicy rozeszła się wśród przyjaciół Dębskiego, którzy wkrótce zebrali się przy łóżku rannego. Znalazł się w ich gronie i Narutowicz. Koledzy-medycy, obejrzawszy rany Dębskiego, przekonali się, że są tak poważne, iż o leczeniu w domu nie może być mowy i że trzeba go niezwłocznie przewieźć do kliniki, co pociągało za sobą rozkonspirowanie wypadku wobec władz. Licząc się z tym faktem, Dębski poprosił Narutowicza, aby natychmiast udał się do jego mieszkania i zabrał stamtąd wszystkie papiery, dokumenty i adresy socjalistów polskich, rosyjskich i niemieckich, wówczas również prześladowanych, co, rzecz naturalna, Narutowicz niezwłocznie wykonał. Istotnie, w kilka godzin już cały Zurych został poruszony wiadomością o wypadku; Dembę znaleziono w lesie umierającego.

Poselstwo rosyjskie zaczęło domagać się represyj, wobec czego władze szwajcarskie rozpoczęły aresztowania i rewizje. Zrobiono rewizję przedewszystkiem

w mieszkaniu Dębskiego, ale już bez rezultatu; aresztowano kilkunastu emigrantów i studentów, w tej liczbie i Narutowicza, którego jednak po kilku dniach zwolniono, przekonawszy się, że faktycznie żadnego udziału w przygotowywaniu bomb nie brał. Pod presją rządu rosyjskiego władze szwajcarskie wydalily ze Szwajcarii kilkunastu emigrantów i studentów, w tej liczbie i kilku Polaków: A. Dębskiego, H. Frenkla, F. Daszyńskiego i Kasjusza.

W ten sposób, zdawałoby się, wszelkie niebezpieczeństwo, grożące Narutowiczowi, minęło. Tymczasem, gdy w kilka miesięcy zgłosił się do poselstwa rosyjskiego o prolongatę paszportu zagranicznego, nie tylko odebrano mu paszport, ale zażądano, aby niezwłocznie wyjechał do Rosji i stawił się przed władzami śledczymi. Jednocześnie Narutowicz otrzymał z domu wiadomość, że rozesłano do posterunków policji jego fotografie z rozkazem aresztowania, jeśli przyjedzie.

W takich warunkach wrócić do kraju i spędzić w najlepszym wypadku jakiś rok pod śledztwem w więzieniu, przy słabych płucach — równało się dobrowolnemu narażeniu się na śmierć.

Zresztą, nawet i zdrowy człowiek nie spieszyłby się zbyt z dobrowolnym zgłoszeniem się do więzienia. Nic też dziwnego, że Narutowicz rozkazu poselstwa rosyjskiego nie usłuchał i tem samem stał się emigrantem.

Był to wielki cios dla Narutowicza. Kochał on tą specjalną miłością „Litwinów“ swój kraj ojczysty; nie

było dla niego — jak sam mawiał — piękniejszego zakątka na ziemi, jak powiat telszewski i jego rodzinne Brewiki. Nieznośną była myśl, że niewiadomo kiedy i czy wogóle zobaczy swój dom ojczysty.

Prysnęły również marzenia o pracy inżyniera w Polsce — wracać zaś nielegalnie nie miał najmniejszej ochoty, gdyż do działalności politycznej nie czuł wcale skłonności.

Tak zwyczajna koleżeńska przysługa wykoszła-
wiła dalszy bieg życia Narutowicza i pokrzyżowała
wszystkie jego plany. Wbrew woli, wbrew charakterowi
człowieka — poświęconego nauce, pragnącego służyć
krajowi praktyczną wiedzą, dalekiego od polityki,
a więc nie mającego nic do roboty w charakterze „nie-
legalnika“ — stanęło przed nim widmo beznadziejnej
emigracji.

Z głęboką goryczą wspominał zawsze owe czasy,
nim się pogodził z tem nieszczęściem i ruiną wszyst-
kich swych planów. A jednak nigdy, ani przez chwilę,
do końca życia nie żałował swego postępuku.

„Wielu ludzi zawdzięcza mi wolność“ — powtarzał
zawsze, zagadywany w tej sprawie. I ta myśl była
jedyną jego otuchą i pocieszeniem. Istotnie, gdyby
Narutowicz nie zdążył był sprzątnąć papierów Dęb-
skiego, adresy ludzi, pracujących w kraju, stałyby się
własnością władz szwajcarskich, a z ich rąk łatwo już
trafiłyby do żandarmów rosyjskich, którzy wszędzie
mieli swoich ludzi.

Tymczasem to nieoczekiwane życie emigranckie
stawało się coraz smutniejszym i samotniejszym. Ma-

łało stopniowo grono przyjaciół: jedni kończyli studia i wracali do kraju, drudzy jechali tam nielegalnie, inni znowu przenosili się do Paryża, który, coraz bardziej stawał się ośrodkiem polskiej emigracji politycznej.

Z tem większem więc zapamiętaniem Narutowicz oddawał się studjom, szybko zdążając ku końcowi. W marcu 1891 roku skończył Politechnikę celująco, gdyż poza kilku drugorzędnymi przedmiotami miał w dyplomie same szóstki i piątki, najwyższe stopnie w Politechnice.

Jako prace dyplomowe miał u prof. Dechera zadanie na temat przeprowadzenia tramwaju elektrycznego i u prof. Pestalozzi'ego projekt mostu kolejowego. Za pierwszą pracę dostał piątkę, za drugą — szóstkę, co należało do rzadkich wypadków na surowej Politechnice Zuryskiej. Otrzymanie dyplomu stawiało przed Narutowiczem pytanie — co robić dalej?

Powrót do zaboru rosyjskiego był zamknięty. Do Poznańskiego również nie mógł jechać, gdyż były to czasy Bismarka, który wypędzał stamtąd od wielu lat osiadłych Polaków z innych zaborów, cóż więc mówić o nim, zamieszanym, jakkolwiek pośrednio, w sprawę Dębskiego, który wespół z socjalistami niemieckimi spiskował i planował zamachy. Do Galicji, jako skompromitowany głośną sprawą bomb Dębskiego i Demby również zapewne nie mógłby się udać; gdyby nawet i otrzymał na to pozwolenie, to nie mógł marzyć o dostaniu się na służbę rządową w kraju, gdzie rządzili wszechwładnie „stańczycy“, o prywatnej zaś działał-

ności inżynierskiej przy tak małym uprzemysłowieniu ówczesnej Galicji nie mogło być mowy.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Narutowicz decyduje się na pozostanie w Szwajcarji, mając również na względzie i stan swego zdrowia, któremu służył klimat tego kraju.

Jeszcze będąc studentem, odbywał w mieście St. Gallen obowiązkową praktykę u inżyniera kantonu i pozostawił po sobie jak najlepszą opinię. Udaje się więc do tego miasta, gdzie ma już stosunki i znajomości w świecie inżynierów, i otrzymuje na wiosnę 1891 roku posadę w Biurze Budowy Kolei St.-Gallen — Zug.

Zaczął się — jak sam później Narutowicz często się zwierzał — najsmutniejszy okres w jego życiu, okres beznadziejnego wegetowania na obczyźnie. Emigrant bez psychiki emigranckiej, bo jedynie wskutek przypadku skazany na pracę na obczyźnie, bez nadziei powrotu kiedykolwiek do kochanych Brewików, był jak ten liść oderwany od odwiecznej lipy, rosnącej przy ganku dworku w Brewikach, który wichura zapędziła hen, daleko, na skały gór, gdzie wędnie, pełen jeszcze odgłosu szumu starych lip i jesionów w ogrodzie zacisznego dworku litewskiego.

II

DZIAŁALNOŚĆ INŻYNIERYJNA I PROFESORSKA NA POLITECHNICE W ZURYCHU

Przy budowie kolei st. Gallen — Zug Narutowicz pracował od wiosny 1891 do maja 1892 r., kiedy przeniósł się do Miejskiego Biura Wodociągów i Kanalizacji w temże St. Gallen, na stanowisko inżyniera w dziale budowy. W biurze tem pracował do maja 1895 roku. Okres ten Narutowicz wspominał jako najcięższy w swoim życiu. Żarła go tęsknota za krajem; czuł się obco w tak odmiennem od polskiego środowisku szwajcarskiem.

Życie jego było tem cięższe, że miał bardzo surowego i wymagającego szefa, nader niechętnie usposobionego do Polaków, traktującego ich jako ludzi niezdolnych do pracy, jeno do konspiracji.

Niechęć tę i nieufność przeniósł i na Narutowicza, który miał częste z nim zatargi w obronie honoru swego i swego narodu. Nieżyczliwość ta jednak wyszła ostatecznie Narutowiczowi na dobre, gdyż podnie-

cała w nim ambicję, aby swą sumiennością i pracowitością przekonać, że sąd ten jest niesłuszny i krzywdzący. Istotnie, nauczył się pracować niegorzej od najbardziej systematycznego i skrupulatnego Szwajcara.

Ciągnęło jednak Narutowicza do pracy na szerszym polu, dlatego też w maju 1895 roku obejmuje stanowisko szefa jednej z sekcji regulacji Renu.

W tymże czasie z korespondencji, prowadzonej z krewnymi, przekonał się Narutowicz, że nie może być mowy o powrocie do kraju, zżywszy się zaś nieco z nowym otoczeniem i widząc, że praca jego zaczyna być cenioną, postarał się o obywatelstwo szwajcarskie, które uzyskał na mocy decyzji Rady Kantonalnej St.-Gallen z dn. 14 maja 1895 r. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak skąpe i ostrożne są władze szwajcarskie w nadawaniu obywatelstwa cudzoziemcom, tem bardziej zaś emigrantom rosyjskim, nie cieszącym się podówczas wśród statecznych Szwajcarów dobrą opinią—to otrzymanie przez Narutowicza obywatelstwa tak szybko, bo zaledwie po czteroletnim pobycie w St.-Gallen, świadczy, jak dalece pozyskał ten rzekomy „bombista“, nie mający prawa powrotu do swego kraju, sympatję i zaufanie mieszkańców tego miasta.

Dużą rolę w tej sympatji odegrała nieskazitelna uczciwość Narutowicza. Jako inżynier przy budowie kanalizacji i wodociągów wciąż miał do czynienia z różnymi przedsiębiorcami, a w takich warunkach łatwo było o pokusę. Szybko jednak przekonano się, że ten „russische Pole“ jest głuchy na jakiegokolwiek tranzakcje, sprzeczne z honorem i obowiązkiem. Ostatecznie ugrun-

towała się ta opinia po fakcie (który stał się głośnym w mieście) zrzucenia — w dosłownym znaczeniu tego wyrazu — ze schodów jegomości, który ośmielił się zaproponować mu łapówkę.

W tym czasie gdy Narutowicz przyjmował obywatelstwo szwajcarskie, pozyskał już sławę tak zdolnego inżyniera, że po kilku miesiącach pracy przy regulacji Renu otrzymuje zaszczytną dla młodego inżyniera propozycję objęcia posady w Biurze Inżynieryjnym inż. Kürsteinera w St.-Gallen. Propozycja była zaszczytna dlatego, że biuro to cieszyło się dużą sławą w całej Szwajcarii, wypracowując liczne projekty budowy dróg, kolei, wodociągów, kanalizacji miast, regulacji rzek i t. d. nietylko w Szwajcarii, lecz i w innych państwach europejskich.

Rzecz zrozumiała, że Narutowicz skwapliwie przyjmuje tę propozycję.

Był to moment zwrotny w życiu Narutowicza. Kürsteiner, człowiek światły i dobry, rychło ocenił i pokochał Narutowicza, jako zdolnego inżyniera, prawego i wysoce uczciwego człowieka. Szybko więc między szefem a nowym jego pracownikiem wytworzyła się atmosfera wzajemnej sympatii i zaufania.

Kürsteiner, widząc zdolności i zamiłowanie Narutowicza, szybko dopuszcza go do współpracy przy najważniejszych projektach, powierzając mu coraz bardziej samodzielne prace.

W 1896 roku na Międzynarodową Wystawę w Paryżu wysłane zostały projekty biura Kürsteinera, które

wzbudziły w kołach fachowych wielkie zainteresowanie i uznanie, i zostały nagrodzone złotym medalem. Wszystkie te projekty były opracowane przy udziale lub samodzielnie przez Narutowicza — to też sława młodego Polaka, którego nazwisko zawsze sprawiało kłopot Szwajcarom przy wymawianiu, rozeszła się szybko w kołach inżynierskich Szwajcarji.

Kürsteiner, jako człowiek prawy, daleki był od wyzyskiwania talentu młodego inżyniera, tak szczęśliwie pozyskanego dla biura—oddaje mu więc szefostwo biura, następnie zaś, gdy dzięki talentowi i pracowitości Narutowicza rosła sława i dochody biura — sam proponuje mu zostanie współnikiem biura, które w ten sposób przekształca się w firmę pod nazwą „Ingenieur-bureau Kürsteiner & See“.

W ten sposób, po kilku zaledwie latach przymusowego pobytu w obcym kraju Narutowicz wychodzi na szeroki gościniec wybrańców losu, prowadzący go ku sławie i dobrobytowi.

Był to okres, gdy elektryczność torowała sobie nowe drogi w przemyśle, zastępując coraz bardziej węgiel. Szwajcarja, kraj wysokich gór, bystrych rzek i jezior, a nie mająca własnego węgla, cudownie nadawała się do wykorzystania siły wodnej celem wytworzenia energii elektrycznej.

Biuro Kürsteinera i Narutowicza, dzięki zamiłowaniu i specjalizowaniu się tego ostatniego właśnie w budowie i eksploatacji dróg wodnych, staje się w Szwajcarji jednym z pionierów budowy szwajcarskiej sieci elektrycznej przez wykorzystanie siły wodnej.

Liczne projekty wykorzystania siły wodnej dla elektryfikacji kraju, opracowywane w coraz to większej ilości w biurze Kürsteinerera przez Narutowicza, były podstawą wciąż rosnącej sławy i wziętości biura.

Narutowicz jednak nie ograniczał się do opracowywania projektów. Ważniejsze prace były wykonywane pod osobistym jego kierownictwem. Pierwszą wielką budową, wykonaną pod osobistym kierownictwem Narutowicza, była Elektrownia Kubel na rzece Urnäsch, około St.-Gallen, wybudowana w latach 1898—1900.

Zbudowana została w ten sposób, że przez wyłożoną w górach sztolnię, długości $4\frac{1}{2}$ kilometrów, woda spada do niewielkiej dolinki, która przez zamurowanie i tamy przekształcona została na zbiornik wody, objętości $1\frac{1}{2}$ miliona metrów kub. Woda dawała pracę 5 turbinom, o łącznej sile 3000 KM. Już w tej swej pierwotnej budowie była to jedna ze słynniejszych elektrowni w Szwajcarii, następnie zaś, w miarę zapotrzebowania energii, zostały przeprowadzone nowe roboty, które pozwoliły postawić jeszcze kilka turbin, dających łącznie 8500 KM. W ten sposób Elektrownia w Kubel do dzisiaj należy do największych w całej Szwajcarii.

W latach 1905—1908 Narutowicz wybudował Elektrownię Andelsbuch w Bregenzerwald, gdzie przez wykorzystanie — przy pomocy całego szeregu tam i tunelów — górnego biegu rzeki Bregenzer Aach pracują cztery turbiny w łącznej sile 10.000 KM. Elektrownia Andelsbuch zaopatruje w energię elektryczną nie tylko najbliższe okolice, ale i austriacką Przedarulanję

i bawarski Allgäu. W latach 1906—1908 Narutowicz kieruje budową Elektrowni w Rerfrain na Doubs, rzece granicznej między Szwajcarią a Francją; elektrownia ta, mając turbiny łącznej siły 9.000 KM., zasilą energią elektryczną przede wszystkim miejscowość przemysłową Montbéliard we Francji.

Również w 1908 roku Narutowicz rozpoczął budowę Elektrowni około Monthey w kantonie Wallis, dla wybudowanej tu fabryki chemicznej „Gesellschaft für chemische Industrie in Basel“. Wykorzystano tu burzliwą rzekę Vièze, która obsługuje turbiny łącznej siły 10.000 KM.

Wybudowanie Elektrowni w Kubel uczyniło nazwisko Narutowicza głośnym w całej Szwajcarii. W latach 1906—1908 kieruje on już jednocześnie budową trzech wielkich elektrowni, które pod względem inżynieryjnym były pełne polotu i odwagi, ale jednocześnie i niezwykłej precyzji we wszelkiego rodzaju obliczeniach.

Były to roboty, wykonywane pod osobistym kierownictwem Narutowicza; o tem jednak, ile opracował on i skorygował projektów, ile dał rad i wskazówek, trudno na tem miejscu, jako o rzeczach fachowych, szerzej pisać.

I oto w tym czasie, gdy znalazł szerokie pole dla swego talentu, ujarzmiając rozhukane wody bystrych górskich rzek Szwajcarii i zmuszając je do pracy na korzyść człowieka, osobiste życie Narutowicza również zmieniło się na lepsze.

Mianowicie w 1900 roku przyjechała do Zurychu na studia p. Ewa Krzyżanowska, młodsza siostra kole-

żanki Narutowicza z czasów studenckich p. Krzyżanowskiej, późniejszej p. Kodisowej, która prosiła Narutowicza o opiekę nad siostrą.

Narutowicz chętnie zadośćuczynił temu życzeniu, tem bardziej, że p. Ewa Krzyżanowska przyjechała z tak ukochanej, a dalekiej i zamkniętej dla niego Litwy, przywiozła wieści o ludziach bliskich mu i drogich. Znajomość szybko przedzierzgnęła się we wzajemną miłość, i w sierpniu 1901 roku odbył się ślub Narutowicza z p. Ewą Krzyżanowską, która w ten sposób zgodziła się dzielić z ukochanym człowiekiem wygnanie i tęsknotę za krajem ojczystym.

Nie trzeba mówić, jak małżeństwo osłodziło życie Narutowicza. W domu jego zabrzmiał znowu język ojczysty. Urodził mu się w rok później syn Stanisław, następnie córka Anna. Rzecz naturalna, że i dzieci przedewszystkiem w języku polskim uczyły się mówić—dlatego też coraz głośniejszą i radośniejszą rozbrzmiewała, w miarę tego, jak rosły dzieci, mowa polska w cichym doniedawna domu wygnańca.

Przez ślub z Polką, która pochodziła tak samo z Litwy i również z rodziny ziemiańskiej, i która wniosła do domu tyle wspólnych tradycji i przyzwyczajzeń—ognisko domowe stało się dla Narutowicza zakątkiem Polski, podsycalo w nim pamięć o ziemi ojczystej i podtrzymywało łączność duchową z narodem polskim.

Trzeba jednak dodać, że i przed ożenieniem się jeszcze, uzyskawszy już obywatelstwo szwajcarskie, Narutowicz daleki był od wynarodowienia się; przeciwnie, zawsze, wszędzie i wobec wszystkich podkre-

ślał swe polskie pochodzenie i przynależność do narodu polskiego.

Jeżeli ciężko było Narutowiczowi pogodzić się z niemożnością pobytu w kraju, to tem cięższą była dlań świadomość, że skazuje na przebywanie na obczyźnie i żonę, gdyż bał się, że nawet czasowy jej pobyt w kraju może ją narazić na przykrości i szykany ze strony władz rosyjskich, dla których mąż jej wciąż jeszcze był rosyjskim poddanym. Zaczyna więc robić starania w Petersburgu o zwolnienie z obywatelstwa rosyjskiego. Jak wiadomo, rząd rosyjski zasadniczo nigdy na to się nie zgadzał, tu jednak, dzięki wciąż rosnącemu znaczeniu Narutowicza w Szwajcarii, prośba jego była poparta przez rząd szwajcarski, i nareszcie — po długich zwłokach i korespondencjach — Narutowicz został zwolniony z poddaństwa rosyjskiego dekretem z dn. 11 sierpnia 1905 roku.

Dawało to możność i jemu i jego rodzinie użytkować pozwolenia na krótkie pobyty w kraju. Od tego czasu żona z dziećmi co drugi rok, a kilka razy i on sam, jeździli na lato do kraju, spędzając częściowo wakacje u siostry Narutowicza p. Anny Gieźewskiej w mająteczku jej męża Lidekinia w powiecie święciańskim, częściowo w Brewikach, gdzie po ukończeniu prawa osiadł na stałe brat Narutowicza Stanisław, cieszący się ogólnym szacunkiem zarówno wśród ziemianstwa, jak i włościanstwa litewskiego, jako gorący zwolennik zgodnego współżycia obu bratnich narodów.

Nietrudno wyobrazić sobie, co musiał przeżywać Narutowicz, gdy po tylu, bo zgorą 15 latach wygna-

nia, zawitał do rodzinnych Brewików. Możliwość jednak odwiedzenia kraju rodzinnego uzyskał za cenę zrzeczenia się ostatecznej, bo nawet formalnej przynależności do państwa, pod którego zaborczym uciskiem znajdowała się jego ziemia ojczysta.

A zresztą, gdyby było inaczej, nie mógłby już wtedy wrócić do kraju. Nadal panował tu ucisk moskiewski, nadal nie było pola do pracy społecznej i państwowej, dla talentu zaś i specjalności Narutowicza — poprostu brak było obiektów pracy, wówczas gdy w Szwajcarii stawiał coraz to potężniejsze pomniki swego genjuszu inżynierskiego.

„Inżynier — lubił Narutowicz często powtarzać — tworząc, doznaje potrochu tej samej radości, co Bóg“. Otóż dla tej twórczej pracy, którą wykonywał Narutowicz w Szwajcarii, gdzie zmieniał bieg rzek, żłobił im koryta poprzez wnętrza gór, przeistaczał doliny w jeziora, stwarzał nowe wodospady — w Polsce nie było jeszcze miejsca.

Nędza ówczesnego życia Polski, skutej w kajdany niewoli politycznej, wypędzała w świat szeroki wielkie talenty inżynierskie, jak np. takiego Kierbedzia, który większą część życia spędził w Petersburgu, jak St. Janickiego, który wstawił się swemi pracami przy budowie kanału Sueskiego, wodociągów w Odesie, budowie portu w Rjece (Fiume), jak wreszcie genialnego Ernesta Malinowskiego, twórcę kolei żelaznej przez potężne Andy w Ameryce Południowej.

Te same nieznośne warunki prawdziwej pracy w kraju gnały na obczyznę wielkie talenty i ze wszyst-

kich innych dziedzin; dość wspomnieć nazwiska ostatniej doby: Paderewskiego, Curie-Skłodowskiej, Petrzyckiego i tylu, tylu innych wybitnych Polaków, pracujących na obczyźnie.

I tą drogą pracy na obczyźnie musiałby w tym już okresie swego życia kroczyć nadal i Narutowicz, gdyby nawet otrzymał amnestję, jak wielu innych w 1905 roku.

Ale bądź co bądź wielką radością było dla niego uzyskanie możliwości odwiedzania kraju.

Nie trzeba również powtarzać, jaką radością i odpoczynkiem duchowym był każdorazowy pobyt w kraju dla jego żony, gdyż nietylko sama przez to wzmacniała swoją łączność z krajem, lecz uczyła dzieci swe poznawać go i kochać.

Narutowicz, głęboko przywiązany do żony i dzieci, wdzięczny jej za dzielenie z nim pobytu na obczyźnie, którego nie mogły osłodzić ani sława, ani dobrobyt, starał się zaspokoić jej i swoją własną tęsknotę za ojczyzną, nietylko wysyłając ją do kraju, lecz zapraszając na długie miesiące w gościnę do siebie jej lub swoich własnych krewnych, tem bardziej, że sam coraz więcej był pochłonięty rosnącymi z dnia na dzień pracami, wymagającymi częstych wyjazdów.

W ten sposób istniała żywa łączność duchowa między domem pp. Narutowiczów w St. Gallen a Polską, gdyż przez te wzajemne odwiedziny, ożywioną korespondencję, sprowadzanie w wielkiej ilości polskich książek i pism, utrzymywano tu żywe zainteresowanie się krajem i śledzono bieg jego życia publicznego.

Tymczasem sława Narutowicza, jako inżyniera, ciągle rosła. I oto spotyka go zaszczyt, który jest marzeniem każdego inżyniera i uczonego w Zachodniej Europie — otrzymuje mianowicie na początku 1906 roku propozycję objęcia katedry na Politechnice Zuryjskiej, którą piętnaście lat temu tak chlubnie ukończył.

Politechnika Zuryjska cieszy się europejską sławą, dlatego też szwajcarska Rada Związkowa bardzo ostrożnie, z wielkim wyborem zaprasza do niej nowe siły profesorskie, tem bardziej zaś cudzoziemców. Tem większy był to zaszczyt dla Narutowicza, jako Polaka.

Pochłonięty rozległymi pracami praktycznymi, w które wkładał cały swój zapał i całą energję, nie chcąc rozpraszać się, jak również i rozstawać się z zacnym Kürsteinerem, który tak serdecznie go przygarnął i pierwszy poznał się na jego talencie, Narutowicz, z podziękowaniem za zaszczyt, uchylił się jednak od przyjęcia tej propozycji. Senat Politechniki chciał wszakże koniecznie pozyskać sławnego już inżyniera, ponawia więc propozycję w następnym roku szkolnym i znowu dostaje odpowiedź odmowną. Wówczas odpowiednie władze szwajcarskie wystąpiły z interwencją ze swej strony, apelując do jego uczuć obywatelskich i prosząc, aby nie odmawiał usług krajowi, w którym tak długo pracował i który go usynowił.

Wobec tak postawionej sprawy Narutowicz nie mógł już zająć stanowiska negatywnego, nie chcąc dopuścić do tego, aby ciążył na nim zarzut niewdzięczności i sobkostwa wobec kraju, który nietylko go

przygarnął i usynowił, ale obdarzył sławą, uznaniem i dobrobytem.

Zgodził się więc objąć katedrę budownictwa wodnego i pod koniec 1907 roku, po uchwale Rady Związkowej z dn. 12 listopada tegoż roku, mianującej go profesorem, z żalem rozstaje się z St.-Gallen, gdzie życie zaczęło tak dobrze mu się układać, ze swym długoletnim współnikiem Kürstneirem i przenosi się do Zurychu.

Wykłady swoje rozpoczął Narutowicz w kwietniu 1908 roku.

Narutowicz w Politechnice zajmuje od razu wybitne stanowisko. Zarówno Senat jak i uczniowie są dumni, że Politechnika pozyskała tak wybitną sławę. Jednocześnie Narutowicz swoim charakterem, pełnym prawości, dobroci i życzliwości wobec ludzi, zdobywa ogólny szacunek i sympatię. Zwłaszcza studenci szybko pokochali nowego profesora, który okazał się bardzo przystępnym, pełnym życzliwości i uczynności wobec młodzieży. Wykłady Narutowicza, wygłaszane głośnym dobitnym, żywe i swobodne, oparte na ilustrowaniu dokonywanych prac w jego dziedzinie, przeważnie przez niego samego prowadzonych, o czym zazwyczaj przemilczał, ściągały tłumy młodzieży nawet z innych wydziałów.

Narutowicz również sam kierował zajęciami praktycznymi studentów, imponując im i pozyskując ich serca tem, że z każdym studentem rozmawiał w jego języku ojczystym. Narutowicz bowiem władał ośmioma językami oprócz polskiego, a mianowicie: rosyjskim,

litewskim, niemieckim, francuskim, angielskim, włoskim, hiszpańskim i portugalskim. Dumną więc była młodzież polska ze swego rodaka, który zdobył taką sławę i szacunek wśród obcych.

Narutowicz specjalną pomocą i życzliwością otaczał młodzież polską, która zwracała się do niego, zachęcana jego dobrocią, ze wszystkimi swymi sprawami. A więc jednym ułatwiał wstąpienie na Politechnikę, pisząc za nich podania, lub rękując w braku jakichś dokumentów, drugim dawał listy polecające do władz, gdy trzeba było załatwić jakieś formalności, innym wreszcie przychodził z pomocą materjalną, lub ułatwiał zdolniejszym dalsze studia, pomagając im stać się asystentami przy Politechnice.

Pomimo tego ogólnego uznania i szacunku, Narutowiczowi ciążył zawód profesorski, nie odpowiadający jego czynnej i twórczej naturze. Próbował więc parę razy zrzec się katedry, lecz zawsze starania jego w tym kierunku spotykały się z gorącym sprzeciwem Senatu, tem bardziej, że pozwolono mu założyć w Zurychu własne biuro inżynieryjne. W biurze Narutowicza początkowo szefem, a następnie zaś współnikiem był inż. Iselin, który stopniowo stał się serdecznym przyjacielem całej rodziny Narutowiczów.

Z chwilą przeniesienia się do Zurychu i objęcia katedry przyszedł okres największego rozkwitu talentu i najintensywniejszej pracy Narutowicza. Pracowitość i wszechstronność życia jego imponowała nawet Szwajcarom. Wstawał latem o 5-ej, w zimie o 6-ej i w godzinę później był już w swem biurze na Torgasse № 4,

następnie udawał się na godzinną przejażdżkę konną przed wykładem w Politechnice, dokąd przychodził często w sztylpach, zsiadając prosto z konia. Popołudniu znowu był w biurze lub na posiedzeniach, gdy zaś miał wolny wieczór, szedł z żoną na koncert symfoniczny, oboje bowiem byli gorącymi miłośnikami muzyki. Wświęta jeździł na polowania, które wciąż namiętnie uprawiał.

W biurze Narutowicza, oprócz Iselina, pracował drugi naczelnny inżynier Jenny. Obaj byli stałymi współpracownikami profesora; reszta personelu zmieniała się, zwiększając się lub zmniejszając zależnie od rodzaju pracy. Pracownicy Narutowicza byli doskonale płatni, wszelka nadliczbowa praca była skrupulatnie i sownie wynagradzana, jednocześnie był on jednak bardzo wymagający. Często kazał na nowo przerabiać całą pracę z powodu jakichś drobnych usterek, tłumacząc, że „takiej tandety w świat nie puści“. I istotnie, prace wykonane w biurze Narutowicza rozchodziły się coraz bardziej, nie tylko po całej Europie, ale nawet szły i do Ameryki Północnej.

Narutowicz jako przedsiębiorca nie prowadził sam żadnych budowli i ograniczył swoją pracę do przeprowadzania studjów przedwstępnych, do opracowywania projektów i fachowego kontrolowania pracy w czasie jej wykonywania.

Z powodu kilku nowych projektów, opracowywanych przez Narutowicza w Zurychu, sława jego przekroczyła granice Szwajcarji, czyniąc z niego największą powagę w tej dziedzinie techniki w całej Europie; rozgłos potęgowało jeszcze bardziej uwielbienie uczeni,

rozjeżdżających się po ukończeniu studjów po całym świecie i szerzących sławę swego ukochanego profesora „Naruti“. Śmiało można powiedzieć, że nie było w Europie większego przedsięwzięcia z dziedziny hydrotechniki i elektryfikacji, któreby w ten czy inny sposób nie oparło się o Narutowicza.

Z ważniejszych robót, wykonanych według projektów Narutowicza i pod jego kierownictwem w okresie profesorskim, należy wymienić Elektrownię Montjovet na rzece Dora Baltea we Włoszech, o sile 10.000 KM., wybudowaną w latach 1912—1914, następnie Elektrownię w Buitreras na rzece Rio Cuadiaro w Hiszpanji, o sile 4500 KM. dostarczającej energję elektryczną do o 150 km. położonej Sewilli. Najpotężniejszym jednak dziełem Narutowicza było zbudowanie jednej z największych w całej Europie Elektrowni Mühlenberg na rzece Aarze około Berna. Tu genjusz techniczny Narutowicza rozwinął w pełni swe skrzydła.

Potężne to dzieło zostało zrealizowane w tak ciężkich dla Europy 1916—1920 latach. Narutowicz wykrył to, że Aara poniżej Berna przepływała wśród bagien i mokradeł, i że niedaleko od niej w tem miejscu znajdowały się dwa nieduże jeziora. Całą tę miejscowość Narutowicz — przez замуrowanie wejścia do niżej leżącej doliny i połączenie Aary z temi jeziorami — zamienił w jedno wielkie jezioro, objętości 3 km. kwadr. Wytworzony w ten sposób zbiornik wody może obsługiwać 8 turbin, każda 8.000 KM, a więc łącznej siły 64.000 KM. Obecnie jednak pracuje tam 6 turbin, łącznej siły 48.000 KM.

Olbrzymie to dzieło stało się dumą Szwajcarii, stanowiąc przedmiot debat nie tylko w kołach technicznych, lecz budząc zainteresowanie w najszerszych sferach społeczeństwa. Po ukończeniu prac Mühlenberg stał się miejscem wycieczek z całej Szwajcarii. Jak dalece dzieło polskiego technika zaimponowało Szwajcarom, świadczy fakt podania dziejów tej budowy w formie powieści przez szwajcarskiego pisarza Rudolfa von Tavela p. t. „Kraftwerk und Stausee von Mühlenberg in ihrer Entstehung“, bogato ilustrowanej przez wybitnego malarza Carlo von Courten i rysownika Rudolfa Müngera. Książka ta jest hymnem na cześć geniuszu, rozumu i pracy człowieka, który nauczył się nie tylko ujarzmić przyrodę, lecz nawet zmieniać jej wyraz zewnętrzny.

Jeden z bezpośrednich kierowników budowy Elektrowni w Mühlenbergu Edward Will w następujący sposób charakteryzuje znaczenie tej budowy: „Zakład w Mühlenbergu — pisze on w swoim wspomnieniu — jest trwałym pomnikiem, który wystawił sobie prof. G. Narutowicz, a który każe żyć wiecznie w naszych kołach wdzięcznemu wspomnieniu o nim, jako o znakomitym inżynierze i organizatorze“.

Nic też dziwnego, że wobec tych, na coraz to szerszą skalę zakrojonych prac Narutowicza rósł jego autorytet w starej Politechnice, szczącą się tytułami światowej sławy uczonymi i technikami, którzy wykładali w jej murach. Zewnętrznym uznaniem dla geniuszu inżynierskiego Narutowicza było wybranie go przez Senat na dziekana wydziału inżynierskiego w 1913 r.—

tem zaszczytniejsze, że siłą obyczaju, stanowisko to było de facto dożywotnie. Istotnie, Narutowicz pozostał dziekanem już do końca swego pobytu w Szwajcarji.

Wobec tej tradycji wybór na dziekana jest ze strony ciała profesorskiego tej sławnej Politechniki aktem wysoce uroczystym, wielkim dowodem uznania dla wiedzy i talentu kolegi. Tem większe to miało znaczenie na wydziale inżynieryjnym, którego dziekanem był swego czasu genialny Cullman, twórca nowej epoki w technice.

Pomimo jednak tego wysokiego uznania ze strony kolegów-profesorów, szacunku i miłości studentów, Narutowicz nie mógł nabrać przekonania do działalności profesorskiej, czego dowodem jest, że nie napisał żadnego dzieła naukowego. Natomiast był stałym współpracownikiem słynnego pisma technicznego „Schweizerische Bauzeitung“, gdzie omawiał i podawał do ogólnej wiadomości nowe projekty. Był również czynnym członkiem Szwajcarskiego Związku Inżynierów i Architektów, referując na zebraniach jego o swoich pracach.

W miarę rozgłosu rósł i zakres prac Narutowicza. Został zaproszony na stałego członka Wydziału Budowlanego m. Zurychu, następnie przez Rząd Szwajcarski na członka Komisji Gospodarki Wodnej przy Departamencie Spraw Wewnętrznych (odpowiada naszemu Ministerstwu), gdzie zasięgano jego zdania i rady w każdej ważniejszej sprawie i powierzano mu nadzór lub kierownictwo prac budowlanych, prowadzonych przez Rząd.

Swoją bezwzględną uczciwością i obowiązkowością zyskał bezgraniczne zaufanie sfer rządowych Szwajcarii, które w każdym zatargu z przedsiębiorcami zawsze stawały po jego stronie, w ten sposób jeszcze bardziej podnosząc jego powagę.

Wyrazem tego zaufania rządu szwajcarskiego do Narutowicza było delegowanie go dekretem z dnia 6 lutego 1914 roku do „Międzynarodowej Komisji Regulacji Renu“. Sprawa ta była aktualną od schyłku ubiegłego stulecia, w tym jednak czasie przybrała konkretne formy.

Narutowicz odrazu stał się jednym z najbardziej czynnych członków „Komisji“, zużytkowując całe swe olbrzymie doświadczenie w dziedzinie budownictwa wodnego.

Jak wielkim cieszył się autorytetem, świadczy fakt, iż został wybrany na przewodniczącego tej Komisji w r. 1915, a więc już w czasie wojny, kiedy rozwijał, jak to następnie zobaczymy, czynną działalność polityczną, jako Polak. Był to zaszczyt wielkiej już miary, gdyż stanowisko to miało znaczenie międzynarodowe.

W r. 1920, na krótko przed wyjazdem do Polski, został Narutowicz powołany przez rząd szwajcarski na członka sądu konkursowego dla oceny projektów użagłownienia Renu od Bazylei do jeziora Bodeńskiego.

Taka była działalność Narutowicza w okresie jego pracy profesorskiej, a więc gdy stał się inżynierem o wszechświatowej sławie. Imponować musi każdemu wszechstronna, a tak bogata i twórcza działalność tego człowieka.

Miał na wszystko czas — wykładał, prowadził roboty nie tylko w Szwajcarii, lecz we Włoszech, Austrii i Hiszpanji, jeździł jako ekspert do Finlandji, Portugalji, Niemiec, Francji, Algieru, opracowywał plany, kierował pracami regulacji Renu, był doradcą rządu i Zurychu, którego został obywatelem, a pozatem, jak się przekonamy niżej, rozwijał również czynną działalność w latach wojny na rzecz Niepodległości ujarzmionej Ojczyzny. I pomimo tego nawału prac i obowiązków znajdował czas i na konną jazdę, polowanie, uczęszczanie na koncerty i odczyty, śledzenie najnowszej literatury europejskiej i polskiej, i t. d.

Ten syn ziemiański z kraju, gdzie życie do dziś jeszcze wlecze się powoli, gdzie wszyscy tyle marnują czasu — stał się Europejczykiem w pełnym znaczeniu tego wyrazu, Europejczykiem, który umiał nie tylko pracować ale i wykorzystać należycie każdą godzinę dnia i wieczoru, biorąc od życia to wszystko, co daje piękno i bogactwo współczesnej kultury Europy Zachodniej.

Wojna europejska Narutowiczowi, jako twórcy-inżynierowi, wyrządziła wielką krzywdę. Nie pozwoliła mu bowiem zrealizować dwóch najukochańszych jego planów.

Zdobywszy sławę europejską, stawszy się inżynierem rozchwytywanym przez wszystkie kraje Europy Zachodniej — nie zapomniał Narutowicz o swej ujarzmionej Ojczyźnie, dla której pracować, jako inżynierowi, nie pozwolił mu zły los.

Wciąż jednak marzył o pracy na tem polu dla

swego kraju — dlatego też postanowił dać inicjatywę elektryfikacji Galicji zachodniej, wykorzystując wody bystrego Dunajca.

Ciekawe informacje o tych planach i pobycie Narutowicza w Galicji w 1911 roku zamieścił doktor Jerzy Moraczewski w „Gazecie Lwowskiej“ z dnia 22. XII. 1922 r.

„Prace i sława i rozgłos — pisze dr. J. Moraczewski — nie odwróciły uwagi prof. Narutowicza od kraju. Kwestja dróg wodnych i regulacji rzek w Galicji zajmowała go żywo. Nie czekał na oficjalne wezwanie ze strony władz krajowych — nie chciał za pracę dla swego kraju żadnego wynagrodzenia — tu, gdzie najrzadziej można spojkać się z dowodem prawdziwego patriotyzmu, prof. Narutowicz z właściwą mu szlachetnością pracę swoją i czas poświęcił najzupełniej bezinteresownie. To, co dla jednych było walnym środkiem krescytywy, dla innych środkiem lichych zabiegów o względy stronnictw czy wyborców, sposobnością do wygłaszania pustych patriotycznych frazesów i do nędznych machinacji, dla prof. Narutowicza było tylko obowiązkiem obywatelskim, który spełnił bez rozgłosu, bez samochwalstwa i bez korzyści dla siebie. W samochodzie zjeździł całą Galicję, dotarł wszędzie, poinformował się o wszystkim, na miejscu zbadał warunki, sam przeprowadził wszystkie obliczenia z ogromnym nakładem pracy — nie prosząc nikogo o pomoc, nie mówiąc o tem ani słowa. Pertraktował osobiście z bankami szwajcarskimi o sfinansowanie całego planu kosztem 30 milionów franków, nie oglądał się wtedy

ani na Sejm galicyjski, ani na władze autonomiczne, ani na Wiedeń, nie czekał go za to ani mandat, ani order i tytuł. Kiedy dla słabości finansów galicyjskich banki szwajcarskie pożyczki odmówiły, zamierzał wraz z paru znajomymi zwrócić się o pomoc do zamożnych sfer polskich. Wojna światowa udaremniła narazie te plany, które przy żelaznej energii Narutowicza mogły być łatwo przeprowadzone“.

Trzeba dodać, że przyjaciółmi, którzy współdziałali z nim w tym planie, byli: prof. Ossowski, b. polski minister przemysłu i handlu, oraz inż. Górski.

Drugi plan, udaremniony przez wojnę, był to projekt Elektrowni w Oberhasli w Alpach, wśród lodowców i jezior, skąd bierze początek rzeka Aara. Projekt polegał na tem, aby podziemnymi kanałami połączyć poszczególne jeziora wśród lodowców i w ten sposób otrzymywać dla elektrowni wodę i w zimie, gdy Aara w znacznym stopniu zamarza. Wykonanie tego projektu wymagało budowy specjalnej górskiej kolejki wąskotorowej i powietrznej, i połączone było z usunięciem tysiąca innych przeszkód. Projekt ten olśnił świat techniczny swoją genialną prostotą i polotem, i uważany był za najpotężniejszy wzlot geniuszu inżynieryjnego Narutowicza, ale właśnie dlatego wywołał tysiące wątpliwości i ożywioną polemikę, w której wziął udział cały świat naukowy i techniczny Szwajcarji. Realizacji tego projektu mógł podjąć się sam tylko Narutowicz.

Wyjechał właśnie do Polski w momencie, gdy ważyły się szale jego projektu, a wiedział, że bez niego



nikt nie odważy się przystąpić do jego realizacji. Była to więc z jego strony największa ofiara, jaką mógł złożyć inżynier-twórca na ołtarzu miłości Ojczyzny.

W następujący sposób charakteryzuje Narutowicza jako inżyniera prof. J. Mościcki, jeden z największych uczonych współczesnych Polski: „W kołach inżynierji wodnej wszystkich kulturalnych państw był ś. p. Narutowicz jednogłośnie uważany za najwybitniejszego uczonego w tym dziale nauki technicznej. Genjalność jego nie była jednostronna, odnosiło się wrażenie, że gdyby okoliczności spowodowały zajęcie się Jego zupełnie innym działem nauki, bardzo różniącym się od działów inżynierji, to i w tym przypadku musiałby się on podobnie wyróżnić“.

Nazwisko Narutowicza jako inżyniera jest otoczone aureolą sławy i podziwu wśród uczonych i techników całej Europy. Najmniej jednak w istotnej wielkości Narutowicza w dziedzinie inżynierji orientuje się społeczeństwo polskie.

Liczni uczniowie jego Polacy, dziś zajmujący wybitne stanowiska w kraju, winni spłacić dług wdzięczności, wydając książkę o Narutowiczu, jako inżynierze i profesorze.

A będzie ta książka jeszcze jednym dowodem żywotności i siły narodu polskiego, który wydaje z siebie ludzi tej miary i tego twórczego polotu, co Gabriel Narutowicz.



III

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA I POLITYCZNA PODCZAS WOJNY

Zamieszkawszy w Zurychu, Narutowicz całkowicie poświęcił się nauce i praktycznej działalności inżynierskiej. Od życia politycznego Szwajcarii, pomimo obywatelstwa, trzymał się zdaleka. Tak samo nie stykał się prawie z dość liczną kolonją emigrantów politycznych z Rosji i z Polski, która bardzo powiększyła się znowu po klęsce rewolucji 1905 roku. W tym trzymaniu się zdaleka od kolonji emigrantów polskich nie ma nic dziwnego. Było to już pokolenie o wiele młodsze od Narutowicza, nie łączyły go więc z niem więzy przyjaźni i wspólne wspomnienia z czasów studenckich, pokolenie o innej psychice, a co najważniejsze, kolonja ta spędzała czas w bezczynności, zajęta namiętami sporami politycznymi i teoretycznymi, i kłótniami zawziętymi na tle ustalania przyczyn klęski rewolucji 1905 roku. Jak wiemy, Narutowicz, jeszcze będąc studentem, obcy był tym sporom i swarom emigracyjnym; tem bardziej daleki był od nich teraz, gdy cały czas poświęcał wytężonej, a nieraz gorączkowej pracy.

Pani Narutowiczowa zaś należała do kobiet, które lubią zacisze domowe, i poświęcała się niemal wyłącznie wychowaniu dzieci, sama ucząc je języka polskiego, historii i literatury swego narodu.

Pozatem z domem państwa Narutowiczów utrzymywali żywy kontakt nieliczni Polacy ze świata naukowego i literackiego, przebywający w Szwajcarji. Stałymi gośćmi byli w ich domu: profesor Tadeusz Woyno, wówczas docent na Politechnice w Zurychu, profesor Ignacy Mościcki, T. T. Jeż, Waclaw Berent; pozatem Narutowiczowie podtrzymywali bliższe stosunki z kilku rodzinami polskimi, osiadłymi w Zurychu, jak z p. dr. Moraczewską, p. Domańską, której córki kształciły się w Zurychu, p. Pieniżkową. Częstościami gośćmi w domu Narutowiczów byli również niektórzy z młodzieży polskiej, studjującej w Zurychu, a należący do tej samej sfery towarzyskiej co i pp. Narutowiczowie, a więc znany dziś lekarz legjonowy dr. Stefanowski, jego brat, Izdebski i wielu innych.

Na początku 1914 roku, gdy praktyka inżynierska Narutowicza dosięgła największego wzięcia, mógł on już wybudować własny dom-willę na Doleerze, gdzie p. Narutowiczowa z zamiłowaniem pielęgnowała kwiaty w pięknie utrzymanym ogródku.

Tak płynęło życie, spokojne i pracowite, sławnego uczonego, piękne tą swoją prostotą, która znamionuje wysoką kulturę.

A jednak... „Narutowiczowie — pisze w swoim wspomnieniu częsty gość w ich domu na Doleerze — byli oboje zaaklimatyzowani doskonale w Szwajcarji —

a jednak nie wahałbym się powiedzieć, że cierpieli na widoczną nostalgię. Nostalgja zaś to nie tęsknota za Ojczyzną wogóle... To żywiołowy brak tej jej cząstki właśnie, z którą zrosły się oczy za młodu, która była pierwszym tłem życia. To też wszystkie wspomnienia i wszystkie ukochania ś. p. Narutowiczów wrywały się z pośród krajobrazów alpejskich „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych“, unosiły się nad ziemią litewską w szerokim pojęciu — więc pomiędzy Mińskiem, Wilnem i Kownem. Wszędzie mieli swoich bliskich i wciąż nasłuchiwali od nich wieści.

I oto przyszedł czas, gdy wieści z kraju zaczęły płynąć coraz to większą falą, budzić coraz więcej nadziei i oczekiwań.

Wybuchła bowiem wielka wojna. Cicha dotychczas Szwajcaria, daleka od wielkiej polityki międzynarodowej, staje się odrazu terenem politycznym o ogromnym znaczeniu. Obie strony walczące czynią ze Szwajcarii główne ośrodki swej akcji wywiadowczej i propagandowej, tu skupiają się wszystkie nici gry dyplomatycznej, zarówno stron walczących jak i państw neutralnych. Z drugiej strony, wszystkie narody, pozbawione własnej państwowości, a spragnione jej i mające nadzieję wykorzystać dla tego celu wojnę, również ze Szwajcarii uczyniły główne ogniska propagandy.

W pierwszym rzędzie dotyczyło to Polaków. Cały szereg wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, jak Sienkiewicz, Askenazy, Osuchowski osiadają w Szwajcarii, aby tu mówić swobodnie wobec całej Europy o Polsce.

Nic też dziwnego, że i Narutowicz nie mógł pozostać obojętnym wobec tylu wielkich wydarzeń i przebywać nadal wyłącznie w sferze nauki i działalności inżynierskiej. Dlatego też w miarę rozwoju wypadków zaczyna brać coraz żywszy udział w życiu publicznym wzrastającej ciągle kolonii polskiej w Szwajcarii.

Przedewszystkiem działalność ta znalazła wyraz w akcji społeczno-filantropijnej. Wojna zaskoczyła w Zurychu wielu studentów i wycieczkowiczów z Polski, którzy zostali odcięci od kraju, a tem samem pozbawieni możliwości otrzymywania z domu pieniędzy. Poza tem znalazło się w Zurychu kilkanaście rodzin robotników Polaków, wyrzuconych z Niemiec do Szwajcarii. Wszystkim tym pośrednim ofiarom wojny należało przyjść z pomocą. W tym celu zawiązał się w Zurychu „Polski Komitet Samopomocy“, który założył tanią jadłodajnię i barak dla robotników, oraz wydawał zapomogi pieniężne, wreszcie pośredniczył w stosunkach z władzami szwajcarskimi i ułatwiał powrót do kraju. Na prezesa tego Komitetu został wybrany Narutowicz.

Prof. T. Woyno, jeden z najczynniejszych członków Komitetu, charakteryzuje w następujący sposób rolę Narutowicza w tym Komitecie: „Od pierwszej chwili—pisze on—jasnym było, że na czele Komitetu musi stanąć jednostka wybitna i ustosunkowana, z którą liczyliby się wszyscy. I dlatego na jednym z pierwszych zebrań Komitetu postanowiono prosić na przewodniczącego Gabryela Narutowicza, ówczesnego profesora politechniki zuryskiej.

Prof. Narutowicz wybór przyjął i przez cztery

niemal lata pozostał na tem stanowisku, oddając nieocenione usługi. Interwenjował osobiście, o ile komukolwiek groziło wydalenie ze Szwajcarji z powodu braku dokumentów, składał poręczenia u władz szwajcarskich, przychodził Komitetowi z pomocą materjalną, ilekroć brakło funduszów, i przy całym nawale innych zajęć i obowiązków zawsze znajdował czas na sprawy Komitetu, zawsze gotów był służyć radą i pomocą“.

Szybko jednak zakres pracy Narutowicza w tej dziedzinie rozszerzył się przez powstanie słynnego w dziejach emigracji polskiej Komitetu w Vevey, który w pierwszych dniach stycznia 1915 roku został założony przez Henryka Sienkiewicza i mec. A. Osuchowskiego. Skoro tylko Narutowicz dowiedział się o powstaniu tego Komitetu, natychmiast udał się do Vevey, aby ofiarować swe usługi. Został tam bardzo serdecznie przyjęty przez Sienkiewicza, który doszukał się jakiegoś nawet między nimi pokrewieństwa, i wespół z mec. Osuchowskim zaprosił go do Dyrekcji Komitetu.

Ze sprawozdania z działalności Komitetu w Vevey, które wydał niestrudzony mec. A. Osuchowski, widzimy, że gdy pierwotnymi założycielami Komitetu byli: H. Sienkiewicz, I. Paderewski, A. Osuchowski, A. hr. Plater-Zyberk, Prof. I. Kowalski, I. Modzelewski, Prof. Sz. Askenazy, Prof. Z. Laskowski i E. Piltz, to już wkrótce został on uzupełniony przez kilka jeszcze osób, wśród których — obok prof. T. Estreichera i prof. L. Janowskiego — znalazł się i Narutowicz, zostając jednocześnie delegatem Komitetu na Zurych. Stąd nie tylko sam ofiarowywał większe sumy na Komitet, ale

zbierał je dla Komitetu zarówno wśród Polaków, jak i swych, tak licznych, przyjaciół Szwajcarów. Pomimo nawału pracy jeździł regularnie na wszystkie plenarne posiedzenia Komitetu w Vevey.

Tymczasem w Polsce zarysowały się dwa wyraźne kierunki polityczne. Jeden uważał, że naród polski winien stanąć po stronie państw centralnych i skierować wszystkie swe siły przeciw Rosji, aby w drodze czynnej z nią walki osiągnąć Niepodległość.

Drugi, przeciwnie, szukał oparcia o Rosję, widząc w niej tę siłę, która połączy zabory w jedną całość.

Nic też dziwnego, że tak sprzeczne stanowiska musiały wywołać w społeczeństwie silny rozłam, nieśtety, pogłębiony jeszcze bardziej przez wrodzoną nam kłótniwość, brak wyrozumiałości i szacunku dla przeciwnika i pobudek tych czy innych jego działań. Różnice te szybko ujawniły się i wśród emigracji polskiej w Szwajcarii. Zaczynają się w kolonjach polskich debaty i dysputy. Narutowicz nie tylko nie brał czynnego udziału, w tych namiętnych sporach, lecz przeciwnie, uważał, że Polacy na obczyźnie, wobec cudzoziemców, nie powinni zbyt ujawniać swych różnic lecz szukać wspólnego języka, przemawiając do opinji Europy.

„Narutowicz był przeciwnikiem walk i zwad polskich zagranicą”—pisze Wład. Baranowski, jeden z kierowników propagandy legjonowej w Szwajcarii.—„Głęboko przekonany wróg Rosji, przeciwnik orientacji rosyjskiej, zalecał zawsze ton łagodny i temperujący w poczynaniach polskich zagranicą i był przeciwnikiem wszystkiego, coby rozłam polski mogło pogłębić

lub bardziej rozdrażnić. Krytykował też z tego punktu widzenia niejedną publikację legionową, która — zdaniem jego — zbyt ostro, zbyt radykalnie zagadnienia orientacyjne stawiała“.

W swych osobistych, zarówno publicznych, jak i prywatnych wystąpieniach wobec Szwajcarów i innych cudzoziemców Narutowicz głosił postulat Niepodległości Polski jako konieczności dziejowej, wiedząc, że sprawa polska w całej rozciągłości wypłyne na kongresie pokojowym. Uważał więc, że zadanie Polaków na emigracji polega na informowaniu Europy o krzywdach, jakie działy się Polsce pod wszystkimi trzema zaborcami, wskazując tem konieczność zrewidowania sprawy polskiej w jej całokształcie.

Innemi słowy, był zwolennikiem kierunku niepodległościowego w jak najszerszem znaczeniu tego wyrazu — kierunku, który nie chciał zbyt angażować się wobec żadnego z zaborców.

Narutowicz, gdy tylko mógł, starał się uprawiać propagandę na rzecz Polski, a więc wygłaszał odczyty, pisał artykuły do prasy szwajcarskiej, informował o znaczeniu sprawy polskiej wysokie osobistości w rządzie szwajcarskim, należał do stowarzyszenia „La Pologne et la guerre“, był członkiem komitetu redakcyjnego wydawnictwa encyklopedycznego o Polsce i t. d. Jak dalece Narutowicz był konsekwentnym w tej propagandzie, świadczy następujący fakt. Wkrótce po wybuchu wojny Narutowicz wygłosił odczyt w sprawie polskiej w języku niemieckim dla Szwajcarów. Na odczyt stawili się nietylko Szwajcarowie, ale i przedsta-

wiciele poselstw: rosyjskiego, niemieckiego i austriackiego, aby usłyszeć, co powie wybitny uczonec o europejskiej sławie. Otóż treść odczytu o warunkach egzystencji narodu polskiego w każdym zaborze była taka, że z początku wynieśli się demonstracyjnie Rosjanie, później dość ostentacyjnie Niemcy, wreszcie chyłkiem Austriacy. Natomiast Szwajcarowie z niesłabnącem zainteresowaniem słuchali wywodów znakomitego uczonego, tem uważniej, że wszyscy wiedzieli doskonale, iż z ust tego człowieka nie padnie ani jedno fałszywe słowo lub przesadne określenie.

Tymczasem jednak rozwój wypadków w kraju coraz bardziej pogłębiał różnice polityczne wśród Polaków w Szwajcarji. Siłą rzeczy i Narutowicz nie mógł nie zająć stanowiska bardziej określonego. Staje więc wyraźnie i zdecydowanie po stronie Legjonów Piłsudskiego. Nic w tem dziwnego. Ci ludzie robili to, o czem myślał on w skrytości ducha, chodząc na wykłady wojskowe na politechnice w Zurychu, o czem marzył przez całe życie: walczyli otwarcie z bronią w ręku w polu, jak równi z równymi, z Rosją, tym odwiecznym wrogiem Polski. Z drugiej strony Legjony tą swoją ofiarą robiły najlepszą propagandę i były najlepszym wyrazem dążenia narodu polskiego do odzyskania Niepodległości. Im więcej przychodziło wieści o Legjonach, o ich bohaterskich walkach, które wskrzeszały sławę oręża polskiego, tem coraz serdeczniej zaczęli Narutowicz i jego żona, dzieląca całkowicie poglądy męża, przywiązywać się do Legjonów.

„Profesor Narutowicz — pisze w swem wspomnie-

niu Wojciech Baranowski, który podczas wojny spędził dłuższy czas w Szwajcarji — „wierzył w jedno: w Legjony. Duszą szedł z niemi i za niemi. Legjony, ich dzieje, bitwy, zadania i ludzie, ich moralno-polityczne znaczenie — to był temat niewyczerpany rozmów w domu „państwa profesorostwa“.

„Był wzruszający — pisze również Wł. Baranowski, — gdy z radością i rozczeniem oglądał pierwsze fotografie oddziałów Piłsudskiego, gdy słuchał opisów pierwszych bojów i potyczek. Zdało się, słucha ich dawny żołnierz, któremu losy nie pozwoliły brać w nich czynnego udziału. W krótkim czasie znał już najdokładniej wszystkie szczegóły i wszystkie bołączki rozbitych i rozdzielonych pułków legjonowych, znał nazwiska wszystkich wodzów i poległych bohaterów, martwił się z nami każdym niepowodzeniem, oburzał każdą perfidją austrjacką czy niemiecką“.

Istotnie, całą duszą wrywał się do Legjonów — i nie krył się z tem, że gdyby nie wiek a, co gorsze, sterane zdrowie, to byłby w szeregach „tych kochanych chłopców“. Ze łzami w oczach i nieukrywana zazdrością, żegnał tych młodych, którzy udawali się do Legjonów, najtroskliwszą opieką, sympatją i szacunkiem otaczał pozostałe żony niektórych z nich, a zwłaszcza tych, którzy rzucali stanowiska lub studja i szli na zwykłych szeregowców. Jak cieszył się, gdy dostał od Kom. J. Piłsudskiego fotografię z frontu z dedykacją!

Pani Narutowiczowa w całej pełni podzielała zachwyty i podziwy męża dla Legjonów, stając się gorącą ich orędowniczką na terenie Szwajcarji. A mogła temu

dać wyraz przez stosunek do poszczególnych Polaków. Dom Narutowiczów był w Szwajcarji tym domem, w którym bywanie stanowiło wielki zaszczyt zarówno dla Polaka, jak i Szwajcara. Otóż każdy działacz niepodległościowy i legjonowy, który znalazł się w Szwajcarji, był miłym gościem w tym domu.

„Gościnnie dom profesorostwa Narutowiczów—pisze prof. Woyno, stały jego gość i przyjaciel całej rodziny—był w Zurychu niejako placówką polskości i stał dla nas zawsze otworem, a panowała w nim szczerza i serdeczna atmosfera, w której każda sprawa polska znajdowała żywy oddźwięk i zainteresowanie. Najważniejszą taką sprawą w czasie wojny była walka z Rosją, Legjony Polskie z Rosją walczące. Cieszono się się z samego faktu ich istnienia, szczycono się ich czynami, odczuwano boleśnie trudności, jakie napotykały na swej drodze. Starano się dowiadywać możliwie bezpośrednio o wszystkim, co się w nich działo. Był to temat, do którego w domu profesorostwa Narutowiczów powracało się stale, bo był on najbliższy ich sercu. Ktokolwiek zawitał do Szwajcarji w sprawie Legjonów, znajdował w ich domu gościnę i zrozumienie“.

Istotnie, dom pp. Narutowiczów staje się w czasie wojny miejscem, gdzie ogniskuje się ruch niepodległościowy w Szwajcarji. Odwiedzali ten dom i mile w nim witani byli: Waław Sieroszewski, Wł. Studnicki, M. Sokolnicki i tylu innych, którzy tu przyjeżdżali z kraju.

Wskutek tej swej sympatji do Legjonów, Narutowicz staje się poniekąd politycznym przedstawicielem

t. zw. ruchu niepodległościowego, którego wyrazicielem był Kom. Józef Piłsudski, reprezentujący inny punkt widzenia, aniżeli większość N. K. N., stojąca na stanowisku trialistycznego państwa Habsburgów. Człowiekiem, który bliżej zetknął Narutowicza z tym ruchem, był Aleksander Dębski, ongiś pośredni winowajca skazania Narutowicza na smutne życie emigranta.

Aleksander Dębski, wierny swej niespokojnej naturze, znalazł się w Ameryce Północnej, gdzie rozwijał ożywioną działalność polityczną wśród kolonji polskiej. Jeszcze przed wojną był z jednym z założycieli t. zw. Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce, który całkowicie popierał politykę J. Piłsudskiego i do jego dyspozycji przysyłał uzbierane wśród kolonji polskiej pieniądze. Z ramienia tej organizacji A. Dębski wyjechał na początku wojny do kraju, w drodze zatrzymał się w Szwajcarii, gdzie po wielu latach spotkał się z Narutowiczem i namówił go, aby pozwolił pieniądze, zbierane w Ameryce do rozporządzenia J. Piłsudskiego, przesyłać na jego nazwisko i aby dysponował nimi według zleceń J. Piłsudskiego lub jego mężów zaufania. Narutowicz zgodził się. Wkrótce przyjechał z Krakowa M. Sokolnicki — wówczas sekretarz generalny N. K. N. — i ostatecznie z nim tę sprawę omówił. Z funduszków, nadsyłanych z Ameryki, postanowiono założyć biuro prasowe w Bernie i Raperswilu dla szerzenia idei Legjonów. Narutowicz był tym, który wypłacał pracownikom pensje i miał ogólną opiekę nad pracą tych placówek.

Jednocześnie, zarówno Narutowicz, jak i jego żona gorąco opiekowali się tymi Polakami, którzy czy to z Ameryki, czy z innych krajów Europy przedostawali się do Legjonów. Byli prawdziwymi ich przyjaciółmi i opiekunami: ułatwiali im przedostanie się do Austrii, pośredniczyli w ich korespondencji z rodzicami, lub krewnymi; listy legionistów i ich rodzin były przysyłane na ręce Narutowiczów, oni zaś, według posiadanych adresów, przesyłali je dalej, do Ameryki lub do Warszawy i innych miast po tamtej stronie frontu, i odwrotnie. Pani Narutowiczowa skwapliwie wszystkie te zlecenia wykonywała, rada, że chociaż w ten sposób może przyjść z pomocą tak umiłowanym przez nią i jej męża legionistom.

W ten sposób nazwisko Narutowiczów zostało zawsze związane w pamięci wielu, wielu matek polskich z myślą i niepokojem o los dzieci, dobrowolnie niosących swe życie w ofierze niepodległości. Koperta, adresowana ręką pani Narutowiczowej lub jej męża, przynosiła im list lub przynajmniej radosną wiadomość, że najdroższa istota żyje.

Jakże wielką słuszność ma Wł. Baranowski, gdy pisze w swem wspomnieniu: „Profesor był jakby moralnym centrum zagranicznego ruchu obozu niepodległościowego. Na jego to ręce nadsyłali rodacy fundusze z za morza, fundusze dla kraju, lub dla akcji zagranicznej. Do niego szliśmy po radę, po uzgodnienie opinii i kierunków pracy, gdy sytuacja w kraju stawała się cięższą, linja działania załamywała się, a cierpliwości już brakło. Zawsze znajdowaliśmy tam

sąd poważny, radę skuteczną, lub przezorne ostrzeżenie“.

Tymczasem jednak stosunki już nietylko między zwolennikami dwóch odmiennych orientacji, ale i wewnątrz obozu zwolenników państw centralnych coraz bardziej zaczynały się zaostrzać, zwłaszcza na jesieni 1916 roku, gdy dymisja Kom. J. Piłsudskiego spowodowała kryzys Legjonów, zaognienie się stosunku niepodległościowców do państw centralnych i w następstwie tego — wystąpienie ich z N. K. N.

Narutowicz wszystkich tych walk wewnątrz obozu antyrosyjskiego nie rozumiał, gorszył się nimi i dlatego z chwilą, gdy agendy prasowe w Bernie i Raperswilu przeszły na utrzymanie N. K. N., a więc tem samem straciły swój niezależny wobec Austrii charakter, zrzeka się skarbnikostwa i usuwa od czynniejszego udziału w życiu politycznem emigracji polskiej.

Gdy przyszła wiadomość o akcie 5-go listopada, szczerze ucieszył się, gdyż słusznie oceniał całą doniosłość tego aktu, który czynił ze sprawy polskiej zagadnienie międzynarodowe o pierwszorzędnem znaczeniu, zmuszał koalicję do zajęcia wobec niej wyraźnego stanowiska a rozwiązanie jej wysuwał jako jeden z celów wielkiej wojny. Stwierdził to wkrótce Wilson w swem historycznem orędziu do Senatu, w którym wytknął, jako jeden z nieodzownych warunków pokoju, postulat Polski „zjednoczonej, samodzielnej i niepodległej“.

Zresztą, dziś już rola aktu 5-go listopada w wysunięciu sprawy polskiej na jedno z naczelných miejsc

na forum międzynarodowym została całkowicie stwierdzona w świetle bezstronnych badań historycznych.

„Akt 5-go listopada miał tę wartość — pisze prof. Kutrzeba, którego przekonania polityczne są dostatecznie znane — że po raz pierwszy urzędowo jedna strona stawiała zasadę niepodległości Polski jako państwa; z tem musiano się już odtąd liczyć. Sprawa polska stawała się wreszcie kwestją międzynarodową“¹⁾.

Rosja jednak, rzecz zrozumiała, wcale nie życzyła sobie tego. Nic też dziwnego, że rząd rosyjski wystąpił z protestem przeciwko aktowi 5-go listopada. Koalicja, pełna obaw co do wierności Rosji, musiała zająć wobec aktu 5-go listopada stanowisko aprobujące autonomiczny punkt widzenia rządu carskiego. Działacze polscy, skupieni zagranicą a będący zwolennikami koalicji, zamiast wpływać w tym kierunku, aby i ona stanęła na stanowisku niepodległości Polski — poszli po linii najmniejszego oporu i ogłosili w Lozannie 11 listopada 1916 r. swój słynny protest przeciwko aktowi 5-go listopada, nazywając go „nowem potwierdzeniem dzieła rozbioru Polski“.

Działaczom z agencji lozańskiej nie udało się, wbrew usiłowaniom, pozyskać pod protestem tym podpisów Sienkiewicza, Osuchowskiego i innych wybitnych Polaków, przebywających w Szwajcarii. Sam protest wywołał oburzenie prawie wszystkich, znajdujących się w Szwajcarii Polaków, nawet tych, którzy

¹⁾ St. Kutrzeba. Polska Odrodzona 1914—1921. Kraków 1921, str. 55.

nie byli zwolennikami państw centralnych, lecz mieli zrozumienie całej doniosłości aktu 5-go listopada dla sprawy polskiej.

Narutowicz należał do tych ostatnich. Sama forma wystąpienia rządu carskiego przeciwko aktowi 5-go listopada i stanowisko w tej sprawie koalicji nieszczerze i niezgodne z tradycjami polskimi Francji i Włoch musiało oburzyć Narutowicza. Tem bardziej, gdy zobaczył, że pewna część działaczy polskich, pragnących uchodzić za wyrazicieli opinii polskiej, nie chcąc narazić się szefom rządów koalicji, a probuje to stanowisko, usiłując w ten sposób pozbawić akt 5-go listopada jego międzynarodowego znaczenia.

Ta troska o dalszy los sprawy polskiej na terenie międzynarodowym wywołała artykuł, który z jego podpisem ukazał się w pierwszych dniach stycznia 1917 roku w „Neue Züricher Zeitung“. W artykule tym Narutowicz daje wyraz swemu rozczarowaniu w stosunku do koalicji, od której Polska nie otrzymała w ciągu dwóch lat wojny „nic, absolutnie nic, oprócz pustych, beztreściwych frazesów“.

I oto wówczas, gdy koalicja nie chce nawet uznać aktu 5-go listopada, państwa centralne otwierają „polskie szkoły i polski uniwersytet, wypowiadają to słowo, przez długie czasy upragnione w duszy narodu polskiego: niepodległość“. Stąd Narutowicz wysnuwa wniosek, że Polacy winni stać po stronie państw centralnych. Jeśli zważymy, że w momencie gdy pisał te słowa, carat jeszcze nie był upadł, że stanowisko koalicji w sprawie polskiej uległo zmianie dopiero

z chwilą upadku caratu, że wreszcie działacze lozańscy, protestując przeciwko aktowi 5-go listopada, bynajmniej nie brali pod uwagę rewolucji w Rosji — to ówczesne stanowisko Narutowicza, analizującego z jednej strony akt 5-go listopada, który mówił o niepodległości, z drugiej zaś tylko protesty koalicji przeciwko temu aktowi z przyrzeczeniem w imieniu caratu autonomji — staje się całkowicie zrozumiałe i usprawiedliwione. Tem bardziej, że w przeciwstawieniu do członków agencji prasowej w Lozannie, przemawiał wyłącznie w swoim własnym imieniu.

Rewolucja w Rosji zmusiła Narutowicza, jak zresztą i cały obóz niepodległościowy, do rewizji dotychczasowego stanowiska. Uznał, że inicjatywa w sprawie polskiej przechodzi obecnie w ręce koalicji. Gdy zaś rząd Rady Regencyjnej ogłosił protest przeciwko uchwale Wersalskiej koalicji w sprawie polskiej, ostro krytykował i potępiał ten krok tak niefortunny.

Jak dalece Narutowicz chciał być niezależnym w swoim stosunku do wszystkich trzech zaborców, świadczy następujący fakt, podany przez Władysława Baranowskiego: „Władze niemieckie — pisze on — oceniając wysoko autorytet wielkiego profesora, usiłowały go kilkakrotnie nakłonić do wyjazdu do Warszawy, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że czeka go tam wysokie stanowisko i wybitna rola polityczna. Narutowicz, który dwukrotnie mi o tem opowiadał, dał odpowiedź negatywną, zaznaczając, że tylko do Polski prawdziwie niezależnej i powołany przez rząd polski mógłby się udać“.

Im bliżej było końca wojny, tem bardziej usuwał się od działalności politycznej, uważając, że rola emigracji kończy się, że sprawa polska weszła już w stadium, w którym o dalszym jej losie zadecyduje stanowisko społeczeństwa w kraju.

W październiku 1917 roku bierze udział w obchodzie z powodu stuletniej rocznicy zgonu Kościuszki, urządzonym przez kolonję polską w Raperswilu, i przemawia do Szwajcarów po polsku i po niemiecku.

Z chwilą gdy August Zaleski staje się faktycznym przedstawicielem Rady Regencyjnej w Szwajcarii, Narutowicz oddaje mu nieocenione usługi przez swe stosunki w rządzie szwajcarskim i przez swoją powagę w opinii szwajcarskiej.

Widzimy więc, jak ten człowiek, poświęcony całkowicie nauce i działalności inżynieryjnej, z chwilą wybuchu wojny staje do pracy politycznej na rzecz Ojczyzny i jak oddaje na usługi sprawie polskiej całego siebie i cały swój autorytet, zdobyty wśród obcych pracą, wiedzą i talentem.

Takie było życie i taka działalność Narutowicza na obczyźnie. Każdy musi przyznać, że pracując wśród obcych, wysoko dźwżył sztandar godności człowieka i Polaka, i dobrze zasłużył się swej Ojczyźnie, zawsze o niej pamiętając, zawsze pracując z myślą o niej.

IV

POWRÓT DO KRAJU

Przyszedeł pamiętny listopad 1918 roku, gdy skończyła się największa, jakie znają dzieje świata, wojna, gdy z pod gruzów rozpadających się trzech wielkich mocarstw powstawała do nowego życia odrodzona Niepodległa Polska.

Zbyteczne mówić, z jakim napięciem obserwował rozgrywające się wypadki Narutowicz, jak cieszył się, że spełniają się najgorętsze marzenia i pragnienia narodu polskiego.

Całą duszą wyrывał się do kraju, aby tam stanąć przy pracy; bez żalu gotów był zerwać ze Szwajcarią, która mu dała sławę, zaszczyty i bogactwo.

Gdy prof. Wojno, jeden z docentów na Politechnice Zuryskiej, pod wrażeniem wieści, idących z Polski, radził się Narutowicza, na schyłku 1918 roku, czy już nie przyszedł czas powrotu do kraju, ten odpowiedział mu: „Wracaj Pan. Od 30 lat żyję w Szwajcarii, zżyłem się z tutejszymi ludźmi, mówię ich językiem,

na brak powodzenia i życzliwości ludzkiej skarżyć się nie mogę. Ale gdybym miał drugi raz życie rozpoczynać, to chciałbym, aby się ono inaczej ułożyło“.

W tych dyskretnych i subtelnych słowach znalazła swój wyraz wiecznie otwarta rana jego duszy—tęsknota za krajem, której nie mogły zagoić ani osobiste szczęście domowe, gdzie znalazł zakątek Polski, ani powodzenie materialne, zaszczyty i sława naukowa, zdobyta na obczyźnie.

A jednak i teraz, gdy już nic, zdawało się, nie stało na przeszkodzie powrotowi do kraju, spełnieniu marzeń całego życia, aby odbyć „powinność wojskową dla Polski“ — los powrót ten utrudniał.

Nie tak łatwo było zerwać i zlikwidować stosunki w kraju, w którym spędziło się 30 lat życia, prowadziło tak rozległe prace, zajmowało tyle, jak widzieliśmy, stanowisk zaszczytnych, lecz i odpowiedzialnych. Narutowicz nie należał do ludzi, rzucających łatwo na łaskę losu wszystkie sprawy z chwilą, gdy nietylko przestają one interesować, lecz nawet zaczynają ciążyć.

Przeciwnie, Narutowicz miał głębokie poczucie odpowiedzialności, które kazało mu zawsze tak postępować, aby nikogo nie skrzywdzić, aby niczyjego nie zawieść zaufania. Tem bardziej więc musiał być ostrożnym i taktownym w likwidowaniu swych stosunków z krajem, który przygarnął nikomu nieznanego młodzieńca-emigranta, syna narodu ujarzmionego i nietylko dał mu swe zaszczytne obywatelstwo, tak skąpo udzielane przybyszom, lecz i obdarzył największem zaufaniem i wybitnymi urządami.

Musiał do swej pierwotnej Ojczyzny wracać tak, aby przybrana Ojczyzna żegnała go z żalem, lecz jednocześnie ze zrozumieniem, i bez wyrzutów niewdzięczności i nieobowiązkowości.

Przystąpił więc do stopniowej likwidacji swych interesów w Szwajcarii. A więc przedewszystkiem zapowiedział w Politechnice ustąpienie z katedry od nowego roku szkolnego, to znaczy od jesieni 1919 r. Nie podejmował się już wykonania żadnych nowych większych prac inżynierskich, ograniczając się do wykończenia już rozpoczętych i występowania w roli eksperta przy pracach, prowadzonych przez innych.

Ale powrót do kraju utrudniała i opóźniała jeszcze jedna smutna okoliczność, mianowicie śmiertelna choroba żony. Już w pierwszym roku wojny zdrowie pani Narutowiczowej zaczęło szwankować; wkrótce okazało się, że chora jest na straszną chorobę raka. Zabiegi najwybitniejszych lekarzy, operacja — wszystko zawiodło, i na początku 1919 roku stan jej zdrowia był już tak beznadziejny — że katastrofy należało spodziewać się każdej chwili.

W takich warunkach nie mogło być mowy o przeniesieniu rodziny do kraju, tem bardziej, że syn był już w ostatnich klasach szkoły, którą wobec tego musiał na miejscu skończyć.

Wszystkie te okoliczności składały się na to, że Narutowicz swemu gorącemu pragnieniu nie mógł od razu zadośćuczynić.

Tragiczny rozdzźwięk między dążeniem do kraju a warunkami życia pogłębiała i ta okoliczność, że

z każdym dniem istnienia Niepodległej Polski przychodziły z kraju wieści, świadczące, że ludzie o nim pamiętają i liczą na to, że i on stanie do pracy przy odbudowie państwowości polskiej.

Nietylko bowiem wciąż powoływano go do poselstwa polskiego na narady z przyjeżdżającymi z kraju działaczami i politykami, którzy zasięgali w każdej sprawie jego opinii i rady, lecz i wręcz zapraszano do powrotu do Polski i objęcia stanowiska w kraju.

Tak dn. 10 marca 1919 roku minister oświaty prof. Jan Łukasiewicz wysłał do Narutowicza list, w którym zawiadamia, że na podstawie wniosków Komisji Stabilizacyjnej Politechniki Warszawskiej zaprasza go do objęcia katedry budownictwa wodnego na tejże Politechnice, w charakterze profesora zwyczajnego.

Narutowicz list ten otrzymał 3 kwietnia i tegoż dnia wysłał odpowiedź, w której dziękuje za zaszczytną propozycję, lecz odmawia jej przyjęcia. Prawa natura Narutowicza nie chce posługiwać się żadnymi wykrętami i dlatego szczerą daje odpowiedź. A więc przyznaje się, że pracy profesorskiej nigdy nie lubił, że przyjął ją w Zurychu bardzo niechętnie, ulegając jedynie namowom miarodajnych czynników, a więc „nie byłbym takim profesorem — pisze, — jakiegobym sobie życzył dla Warszawy“, że jest już zmęczony, i nie mogąc podołać swym obowiązkom profesora i praktyka, postanowił ograniczyć się wyłącznie do działalności praktycznej, wobec czego porzuca katedrę w Zurychu. Pisze również, że nie mógłby odrazu przyjechać do Warszawy ze względu na „zatrzymujące go tu na czas jeszcze

dłuższy zobowiązania". List kończy następującym zdaniem: „Bezwątpienia znajdzie Ministerstwo łatwo siłę stosowniejszą i młodszą, która z potrzebnym, a mnie już niestety brakującym entuzjazmem profesurę obejmie. Co do mnie to nie tracę nadziei, że może w inny sposób będę mógł ojczyźnie mojej lepiej służyć“.

List ten, taki szczery i prosty, odzwierciedlał istotne nastroje Narutowicza.

A że rzeczywiście marzył o służbie dla Ojczyzny, że nie szukał tylko pretekstów, aby odwlec powrót do kraju i rozstanie się ze wspaniałą praktyką, świadczy korespondencja z Ministerstwem Robót Publicznych.

Oto dn. 15 maja 1919 roku, a więc w niespełna półtora miesiąca od chwili wysłania listu z Ministerstwa Oświaty, minister Robót Publicznych Pruchnik zwraca się do Narutowicza w liście o tej lakonicznej treści:

„Zapraszam uprzejmie Szanownego Pana do Warszawy, gdyż zamierzam zaproponować Mu objęcie posady w Min. Robót Publicznych“.

List ten doszedł Narutowicza dopiero 7.VI.1919 r.

Inny człowiek, próżny i zarozumiały, będąc profesorem sławnej na świat cały Politechniki, genialnym inżynierem — o którego radę i wskazówkę nie wstydzili się prosić najwybitniejsi inżynierowie całej Europy, obraziłby się za takie zaproszenie i odpowiedziałby, że posady nie potrzebuje.

Ale Narutowicz, gdy wezwało go Ministerstwo, gdzie mógł służyć swoją praktyczną wiedzą i doświad-

czeniu, nie pytając się, jak karny żołnierz, kim jest nieznany mu inż. Pruchnik, a widząc w nim przedstawiciela rządu polskiego, niezwłocznie postanawia jechać do Warszawy i już 9.VI.1919 r. zwraca się do posła Modzelewskiego w Bernie z prośbą o wizę na paszport i bilet na przejazd „pociągiem koalicyjnym“.

W połowie czerwca 1919 roku jest już w Warszawie i z młodzieńczym zapałem zagłębia się w przedstawione mu projekty i plany prac Min. Robót Publicznych; bada Wisłę od Warszawy do Modlina, pisze swe uwagi i wskazówki. Prostotą i serdecznością podbija serca wszystkich, wiedzą imponuje. Nic też dziwnego, że minister Pruchnik proponuje mu objęcie już nie posady, lecz stanowiska wiceministra w Ministerstwie Robót Publicznych.

Narutowicz uchyla się jednak od przyjęcia i tej propozycji, szczerze tłumacząc swą odmowę chorobą żony i rozpoczętymi pracami, których nie może rzucić przed ich ukończeniem, a wśród których było za 100 milionów franków szwajcarskich robót samego rządu szwajcarskiego. Natomiast chętnie przyrzeka stać się na każde wezwanie, aby służyć radą i pomocą.

To też 24 lipca 1919 r. minister Pruchnik zwraca się do Narutowicza z prośbą, aby zgodził się objąć stanowisko konsultenta projektów i wykonania robót, prowadzonych z ramienia Min. Robót Publicznych, z wynagrodzeniem na podstawie rachunków, wystawianych przez samego Narutowicza.

List ten Narutowicz otrzymał 5 sierpnia 1919 r. i już 6 sierpnia ze zwykłą skrupulatnością odpowiada,

że z wielką radością zgadza się i że rachunki wystawiać będzie na podstawie normalnej taryfy inżynierskiej w Szwajcarji. Później jednak, wystawiając rachunki, liczy tylko połowę zwykłego honorarjum, obowiązującego w Szwajcarji, tłumacząc to spadkiem marki polskiej.

Wezwany przez Min. Rob. Publ., wyjeżdża 15 września tegoż roku do Warszawy, aby obejrzeć roboty na Sole w Porębcie i zwiedzić część Wisły; spędza wówczas dwa tygodnie w Polsce. W międzyczasie wciąż jest zajęty zleceniami z Polski: wydaje opinie o projektowanych zakupach technicznych zagranicą, pośredniczy w sprawie Elektrowni Łódzkiej, ułatwia rządowi polskiemu na prośbę poselstwa różne sprawy u rządu szwajcarskiego, jest w ciągłej korespondencji z Min. Rob. Publ., coraz bardziej przejmując się jego pracami, zawsze chętny, usłużny i bezinteresowny. Zdobywa sobie w kierujących sferach Min. Rob. Publ. takie uznanie, że wysyła ono do Szwajcarji kilku inżynierów, aby pod jego kierownictwem zapoznali się ze stanem techniki robót publicznych w Szwajcarji.

Tymczasem 20 lutego 1920 roku przychodzi nieunikniona katastrofa — umiera pani Narutowiczowa, wierna towarzyszka życia na wygnaniu. Głęboko cierpiała pani Narutowiczowa, że umiera na obczyźnie, że nie zobaczy Polski wolnej i niepodległej, ale jednocześnie wiedziała, że śmierć jej pozwoli mężowi i dzieciom wrócić do kraju.

Istotnie, z chwilą śmierci żony Narutowicz energicznie zabiera się do likwidacji swych spraw, aby

jeszcze przed końcem 1920 roku przenieść się do kraju.

W maju 1920 roku jedzie do Warszawy, aby rozejrzeć się w sytuacji i zorjentować, jakiej pracy się poświęcić. Odnawia cały szereg dawnych swych znajomości, odnajduje kolegów i przyjaciół z czasów studenckich. Widzi się również ze Stanisławem Wojciechowskim, wówczas kandydatem na premiera nowego rządu, który chciał powołać Naczelnik Państwa, i oddaje się temu pierwszemu całkowicie do dyspozycji, oświadczając, że podejmie się każdej poleconej sobie pracy.

Wyjeżdża z Polski pełen radości i zapału, szczęśliwy, że wkrótce odda wszystkie swe siły dla kraju, podbity wielkimi planami J. Piłsudskiego, który wówczas był u szczytu powodzenia wojennego, zdobywszy Kijów.

I kraj również coraz bardziej zaczynał orjentować się, jaką siłę pozyskał w Narutowiczu, i z coraz to nowymi propozycjami i prośbami zwracano się do niego stamtąd.

Oto goni go list z Warszawy od prof. K. Pomianowskiego, który żałuje, że nie zastał go w stolicy, i pyta, czyby nie pozwolił „przysyłać corocznie dwóch najlepszych ukończonych techników na przeciąg dwu lat do Szwajcarji do Jego biura“, zapewniając jednocześnie, że będą to „rzeczywiście jedynie najbardziej zdolni i sumienni uczniowie, którzyby byli przyjęci jednocześnie na etat Min. Rob. Publ.“. List ten świadczył, jaką powagą cieszyło się nazwisko Narutowicza wśród polskich uczonych i inżynierów.

Na list ten, gdyby zastał on Narutowicza, jak zawsze na drugi dzień poszłaby odpowiedź, że zasadniczo chętnie zgodziłby się na tę zaszczytną dla niego propozycję, ale że ją musi uchylić jako nieaktualną, bo biuro swe zwija, przenosząc się do kraju. Jednak list prof. Pomianowskiego nie zastał Narutowicza w Zurychu, wyjechał on bowiem do Hiszpanji, aby zlikwidować prowadzone tam prace.

Tymczasem wypadki w Polsce rozwijały się z błyskawiczną szybkością. Szczęście wojenne odwróciło się od Polski — nastąpił odwrót z Kijowa, ofensywa „bolszewicka“ na północy. Pociągnęło to upadek rządu Skulskiego. Na jego miejsce przyszedł rząd Grabskiego.

Otóż, opierając się na danem mu przyrzeczeniu, Wojciechowski zaproponował na Ministra Robót Publicznych Narutowicza, zapewniając, że nie wymówi się od przyjęcia teki. Wobec tego, nie czekając na odpowiedź, Grabski przedłożył Naczelnikowi Państwa nominację Narutowicza, która została podpisana 23 czerwca 1922 roku.

Jednocześnie wysłano depeszę do Zurychu, lecz otrzymano odpowiedź, że Narutowicz bawi w Hiszpanji. Wobec tego zaczęło się poszukiwanie Narutowicza w Hiszpanji. 27 czerwca przychodzą do niego do Sewilli niemal jednocześnie depesze z poselstwa polskiego w Bernie i od posła Skrzyńskiego w Madrycie.

Poselstwo w Bernie depeszowało: „Władysław Grabski, który utworzył gabinet bezpartyjny, złożony z fachowców, telegrafuje na nasze ręce, by prosić Pana

w swem i Naczelnika imieniu o przyjęcie teki Robót Publicznych. Wobec zapewnienia ministra Wojciechowskiego, że Pan nie odmówi swej współpracy przy odbudowie państwa polskiego, dekret nominacji pańskiej został już podpisany. Prosimy nas o odbiorze niniejszego powiadomić, odpowiedzieć wprost przez poselstwo w Madrycie“.

Depesza posła Skrzyńskiego była niemal identyczna. Obie depesze czekały przez trzy dni w Sewilli na powrót Narutowicza z gór, gdzie były prowadzone roboty.

Po otrzymaniu tych depesz Narutowicz niezwłocznie udaje się do Madrytu, skąd z jego polecenia poseł Skrzyński wysłał do rządu warszawskiego dnia 1 lipca 1920 roku depeszę treści następującej:

„Profesor Gabrjel Narutowicz prosi o zakomunikowanie Panu Prezydentowi Ministrów, że tekę Robót Publicznych z podziękowaniem przyjmuje. Musi jednak ze względu na obecne zobowiązania prosić o pozwolenie zajęcia stanowiska dopiero we wrześniu. W końcu miesiąca może przyjechać do Warszawy na kilka dni. Prosi zawiadomić przez poselstwo w Bernie czy to pożądanie“.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby nominacja nie była podpisana, ofiarowanej teki nie przyjęłby ze względu na swoje zobowiązania, z których zgodnie ze swoją surową obowiązkowością chciał się skrupulatnie wywiązać i które pragnął należycie zlikwidować, jak również i ze względu na to, że ani Grabskiego samego, ani jego kolegów z gabinetu nie

znał — musiał więc pracować z ludźmi zupełnie mu obcymi. Nazwisko zaś Grabskiego mówiło mu, że ten gabinet ma zabarwienie raczej konserwatywne, a więc sprzeczne z jego demokratycznymi przekonaniami.

Jeśli jednak nie zrzekł się ofiarowanej mu teki, to znowu tylko przez wrodzoną obowiązkowość i karność wobec rządu polskiego, którego rozkazom zawsze skwapliwie ulegał, jak również przez sam fakt podpisania nominacji i zaangażowania się Wojciechowskiego. Jednak był niezadowolony, że tak bezapelacyjnie rozporządzono jego osobą.

Temu żalowi dał wyraz w liście do jednego ze swych przyjaciół w Galicji, pisanym 6 lipca 1920 roku już z Zurychu. Skarży się, że ma żal, iż nominację jego podpisano bez jego zgody, że niebardzo podoba mu się skład gabinetu Grabskiego, ale że ze względu na osobę Naczelnika Państwa, który nominację podpisał, i na osobę St. Wojciechowskiego, któremu istotnie oświadczył, że jest do jego dyspozycji, a którego „rekuzą dezawuowałyby“, postanowił tekę przyjąć. Zaznacza jednak, że musi mieć przynajmniej miesiąc czasu na likwidację najpilniejszych spraw. Na zakończenie dodaje, że weźmie ze sobą „swego chłopaka, który się strasznie do kraju wyrывa“, a co może uczynić, bo będzie miał wakacje.

Świadomie zatrzymaliśmy się na historii nominacji Narutowicza na stanowisko ministra. Widzimy z przebiegu tej nominacji, jak wielką krzywdę wyrządzali mu ci, którzy następnie w zaślepieniu partyjnym,

jak naprz. „Gazeta Warszawska“ lub „Słowo Polskie“, pisali, że został na to stanowisko wysunięty przez żydowską finansjerę światową¹⁾). Przeciwnie, widzimy, że Polska sama szukała go po całej Europie, wołając, aby wrócił do kraju, i stawiając go w położeniu, które wykluczało uchylenie się od przyjęcia teki,

Zaiste, jakże odmienna była ta nominacja na ministra polskiego od wielu innych. Gdy tyle tych nominacyj było rezultatem zabiegów, wkupywania się w łaski stronnictw i t. d., to tu trzeba było po całej Europie szukać kandydata, aby go zawiadomić, że jest już ministrem bez swej zgody.

Rzadkim napewno w dziejach Polski pozostanie ten wypadek, gdy zaszyty w górach dalekiej Hiszpanji, pochłonięty pracą uczony, ze zdumieniem dowiaduje się, że od tygodnia jest już ministrem w swoim kraju.

To, o co inni musieli staczać boje, robić niezwykle zabiegi i starania—tu samo przyszło jako hołd i uznanie dla wiedzy, talentu i zalet obywatelskich.

Zaiste, ładny to był moment i dobrze świadczył w oczach cudzoziemców o Polsce, która umie czcich swych wybitnych synów i ściągać ich do pracy w kraju.

Tymczasem groźne wieści, idące z kraju, robiły coraz bardziej nieznośną i fałszywą sytuację Narutowicza jako ministra polskiego, w tak tragicznych dla Ojczyzny chwilach przebywającego poza jej granicami, gwoli swych prywatnych interesów.

¹⁾ „Gazeta Warszawska“ № 337 z dn. 10.XII.22 r. „Słowo Polskie“ № 289 z dn. 13.XII.22 r.

Czuje to Narutowicz, zmienia więc projekt i już 14 lipca pisze do pośła Modzelewskiego w Bernie, aby na 19-go przygotował mu paszport, gdyż dłużej zwlekać z wyjazdem nie może.

Istotnie, rzuca wszystko. Syna oddaje do pensjonatu, biuro zostawia współnikowi Iselinowi — i już 22-go jest w Warszawie; niezwłocznie melduje się Grabskiemu i dostaje dekret nominacyjny.

Dziwne uczucia musiały ogarnąć duszę Narutowicza, gdy ołówkiem na brzegu dekretu nominacyjnego pisał: „Otrzymałem i pokwitowałem 22.VII.1920 11-ta w.“ Oto wyjechał z kraju jako umierający na suchoty młodzieniec, za pomoc przyjacielowi w nieszczęściu skazany na przebywanie zdala od Ojczyzny; dziś, gdy spełnia się marzenie tylu lat — możliwość pracy w kraju, wszystko jedno na jakim stanowisku — zostaje powołany do roli kierowniczej.

Narutowicz spędza w Warszawie blisko dwa tygodnie. W dwa dni po jego przyjeździe upada gabinet Grabskiego na rzecz gabinetu Witosy—Daszyńskiego, w którym Narutowicz zatrzymuje tę samą tekę. W ten sposób zaczyna się państwowa działalność Narutowicza. Sądzonem mu było bez przerwy być ministrem w pięciu gabinetach. Był to moment, gdy Kom. Piłsudski szykował się do kontrofensywy. Cała uwaga rządu i Naczelnego Wodza była skupiona na polu bitwy. Resort ministra Narutowicza nie miał w tym momencie wiele do roboty. Większość urzędników poszła na ochotnika do wojska. Dlatego też Narutowicz uzyskuje pozwolenie powrotu do Szwajcarii, aby jak naj-

szybciej zlikwidować swoje zobowiązania wobec rządu szwajcarskiego.

Wyjeżdża pełen wiary, że plany Naczelnego Wodza powiodą się w pełni.

Sierpień 1920 roku—przełomowy w dziejach Polski—spędza Narutowicz w Szwajcarji, gdzie gorączkowo likwiduje swoje sprawy.

Prywatnych spraw jednak tak odrazu zlikwidować nie może, wobec czego biura swego nie zwija, pozostawiając dalszą stopniową likwidację swemu współnikowi i przyjacielowi Iselinowi.

We wrześniu Narutowicz jest już w Warszawie i obejmuje urządowanie. Marzenia tylu lat wreszcie się spełniły.

Jak dalece cieszył się z powrotu do kraju, świadczy powiedzenie Narutowicza, gdy przyjechał do Warszawy: „Kiedym siadał do wagonu w powrotnej drodze do Warszawy, czułem, że wracam do domu“.

Do domu! W tem jednym słowie mieści się cały ogrom przywiązania i tęsknoty za krajem, które tak mocno tkwiły w jego duszy.

Tego przywiązania nie zagłuszył ani długi pobyt w Szwajcarji, która przygarnęła go jak rodzzonego syna, chlubiła się nim, dała mu szacunkowe stanowisko i zaufanie swego rządu, ani materjalny dobrobyt, który w tym kraju zdobył i który musiał porzucić. Nie doceniamy należycie tego, jak bardzo wiele tracił Narutowicz pod względem materjalnym, przenosząc się do Polski.

„Moja pensja ministra we frankach — to połowa

pensji gospodyni naszego domu w Zurychu“ — śmiejąc się, nieraz żartował Narutowicz w kółku rodziny.

Widzieliśmy już uprzednio, jaką miał europejską wziętość, jakie prowadził prace inżynieryjne, i jak istotnie wobec tych jego honorarjów, płatnych we frankach szwajcarskich, śmiesznie małą musiała być pensja ministra polskiego.

A z jakim żalem żegnali Szwajcarowie Narutowicza, świadczy chociażby list, który otrzymał od Ministra Spraw Wewnętrznych w odpowiedzi na złożenie stanowisk w Międzynarodowej Komisji Regulacji Renu i w Szwajcarskiej Komisji Gospodarki Wodnej przy Radzie Związkowej. W liście tym pisze minister szwajcarski:

„Rozumiejąc pańską decyzję, dotkliwie odczuwamy stratę, która z tego powodu dla naszej Ojczyzny wynika. Oceniamy całe znaczenie i rozmiar usług, które Pan nam w różnych dziedzinach wyświadczył i które mają wielkie znaczenie dla naszej gospodarki państwowej. Może być Pan przekonany, Panie Profesorze, że Państwo, które Pana usynowiło, pozostanie dumne, że Sz. Pan do niego należał i będzie wdzięczne za to, co Pan zrobił dla jego dobrobytu“.

Niemniej serdecznie żegnała Narutowicza i Szwajcarska Rada Szkolna, naczelna instytucja oświatowa w tym kraju, która w liście pożegnalnym do niego, utrzymanym w tonie niezwykle serdecznym, w ten sposób charakteryzuje zmianę, która nastąpiła na Wydziale Inżynierji z chwilą przyjęcia katedry przez Narutowicza: „Skutki wkrótce się ujawniły — czytamy w tym

liście. — Powiał nowy duch, a piecza nad nauczaniem przybrała za współdziałaniem jednakowo myślących i dobranych kolegów postępowy kierunek, który podniósł Wydział Inżynierji na wyżynę podobną do tej, na jakiej on się znajdował w dawnych okresach rozkwitu, A w tem wszystkim brałeś Pan żywy udział. Z pożegnaniem łączymy wyrazy serdecznego podziękowania za znamienite usługi, jakie Pan oddałeś naszemu krajowi, a w szczególności jego Politechnice, jako pedagog i dziekan Wydziału, jako inżynier doradca, zawsze chętny do współdziałania“.

Tak ceniła i tak żegnała Narutowicza Szwajcarja i tem bardziej musiała z szacunkiem schylać czoła przed jego patriotyzmem i przywiązaniem dla kraju, że udawał się tam na schyłku swych lat, by pracować w nowych, niewiadomych warunkach, wśród nieznanych ludzi. W imię pracy dla Polski i w Polsce Narutowicz nie tylko poświęcał swe wielkie dochody materjalne, ale czynił ofiarę i ze swych najistotniejszych duchowych wartości i umiłowań—ze swej twórczej pracy inżynierskiej. Musiał bowiem zrezygnować z realizacji swego największego i najwspanialszego projektu budowy elektrowni w Oberhasli, o której poprzednio już wspominaliśmy, a który był szczytem wzlotów jego genjuszu inżynierskiego, jego dumą i ukochaniem.

Projekt ten był tak śmiały, że Szwajcarja przystąpiłaby do jego realizacji jedynie pod warunkiem, że pracami będzie kierować sam Narutowicz — taki był urok jego autorytetu.

Istotnie, projekt ten do dziś nie jest zrealizowany,

o czym z żalem często wspominał Narutowicz, mówiąc: „Wiedziałem, że beze mnie będą się bali wziąć do tej pracy“.

Nietrudno wyobrazić sobie, jakie było to poświęcenie ze strony wielkiego inżyniera, który wiedział, że jego śmiała myśl nie zostanie zrealizowana. Tem piękniejsze było to poświęcenie, że rozumiał doskonale, iż wyjeżdżając, wyrzec się będzie musiał swej twórczej pracy; uświadamiał sobie, bowiem, należycie, że Polska za uboga jest jeszcze na wielkie budowle, więc całą swoją energję będzie musiał skierować tu na odbudowę dróg, mostów, szkół i t. d.

Sprzedać musiał swój dom na Doldeerze, gdzie upłynęły najlepsze jego lata, gdzie żył takim szczęśliwym życiem rodzinnem, gdzie przewinęło się przez gościnne jego progi tylu ludzi światłych z całej Europy, pragnących złożyć mu wyrazy szacunku. Pozostawiał grób swej wiernej towarzyszki życia, przyjaźń i szacunek dzielnego narodu. Zostawia wreszcie w Szwajcarii jeszcze syna.

Do domu jechał! A więc cieszył się jak dziecko, które po długim pobycie w szkole wraca nareszcie do rodziny. Jechał z entuzjazmem, jechał, aby oddać Ojczyźnie całą swą wiedzę, całe doświadczenie i talent—całego siebie.

Czuł się winnym wobec Polski; uważał, że dotychczas nic dla niej nie zrobił, bo swe siły i zdolności oddał na usługi obcym. Nie uważał za zasługę ze swej strony, że mieszkając tyle lat na Obczyźnie, sięgnąwszy tam po wielkie stanowiska i zaszczyty, nigdy

nie wyparł się swego kraju, nie zasymilował się z narodem, który był z niego dumny.

Pełen był zazdrości i zachwytu wobec tych, którzy z bronią w ręku walczyli o Niepodległość Polski. Uważał ich za szczęśliwców, miał żal do losu, że swych marzeń młodzieńczych nie mógł osobiście zrealizować, że nie przydały się krajowi jego studia wojskowe na Politechnice Zuryskiej.

„Jadę do Polski, aby odrobić to — co nie było mi danem zrobić za młodu, jadę odbyć służbę wojskową w Ojczyźnie“ — tak pełen radości mówił, żegnając się z przyjaciółmi w Szwajcarii. Jak powinność wojskową — rozumiał swą pracę w Polsce.

Dlatego też, jak żołnierz, padł na posterunku.

V

MINISTER ROBÓT PUBLICZNYCH

Do pracy swej w Ministerstwie Robót Publicznych wniósł Narutowicz istotnie cechy żołnierskiej obowiązowości, pracowitości i punktualności.

Działalność ministra rozpoczął od przesłania na ręce premiera Witos, do jego dyspozycji 23.700 mkp., stanowiących zwrot pensji, otrzymanej za lipiec i sierpień 1920 r., gdyż w tych miesiącach nie pełnił obowiązków rządowych. Premier Witos pieniądze te przeznaczył na fundusz odbudowy zniszczonych okolic Małopolski.

Surowością w stosunku do samego siebie, niezwykłą pracowitością i umiejętnością pracy, nabytą w Szwajcarji, a której i tu pozostał wierny, zaimponował swym podwładnym.

Wstawał o 6-ej, jeździł konno na spacer do Łazienek, punktualnie zaś o 9-ej był już w biurze—i nie było wypadku, aby się tej punktualności sprzeniewierzył. Nawet jeśli czasami w sobotę wyjeżdżał na po-

lowanie i wracał dopiero w nocy z niedzieli na poniedziałek, pomimo zmęczenia o 9-ej był już w biurze. Pracował wiele godzin nocami, uważając za możliwe oddawanie jedynie godzin nocnych pracom, związanym ze Szwajcarią, bowiem likwidując je, musiał niemi kierować z Polski.

Jako minister Robót Publicznych, Narutowicz radykalnie zerwał z dotychczasowymi projektami, mającymi na celu wielkie roboty.

Specjalista od tych właśnie robót, powołany, jak nikt odeń bardziej, do ich planowania i wykonywania, zrezygnował z nich, skierowując całą uwagę M. R. Publ. na najpilniejsze, codzienne potrzeby państwa.

A tych potrzeb było bardzo wiele. Połowa kraju leżała w gruzach. Nie zdążyła Polska odbudować się po zniszczeniach, spowodowanych Wielką Wojną, gdy przyszła inwazja bolszewicka 1920 roku. Drogi i mosty były zrujnowane, wsie i miasteczka leżały w gruzach, prywatne zaś budownictwo zamarło całkowicie. To też Narutowicz, jako minister Robót Publicznych, zwraca całą uwagę w kierunku odbudowy i przystępuje do pracy z niebywałą energją i zapałem.

Przedewszystkiem jednak Narutowicz dokonywa zasadniczej reorganizacji Ministerstwa, mającej na celu z jednej strony uproszczenie aparatu, podniesienie sprawności i wydajności pracy, z drugiej możliwie daleko idące redukcje i skasowanie zbędnych urzędów.

Praca ta dała bardzo szybko poważne rezultaty. Na podstawie nowego Statutu, opracowanego pod kierunkiem Narutowicza i ogłoszonego 1 kwietnia 1921 r.—

zamiast 25-ciu Wydziałów, utworzono 15-cie, do których następnie doszedł 16-sty Wydział Elektryczny, przydzielony z Min. Przem. i Handlu. Liczba urzędników w Centrali, która dochodziła w lipcu 1920 roku do 291 osób, na 31 grudnia 1921 r. wynosiła już tylko 215 osób.

Wielkiej pracy reorganizacyjnej dokonał również Narutowicz i w prowincjonalnych Urzędach Min. Rob. Publ.—zwłaszcza w Małopolsce, gdzie istniała ogromna liczba wszelkiego rodzaju biur drogowych, wodnych, meljoracyjnych i t. d., łącząc liczne drobne urzędy w większe, o szerszym zakresie, i podnosząc przez to ich sprawność i wydajność.

Jakie rezultaty pod tym względem dała ta praca, świadczy fakt, że gdy w lipcu 1920 roku ogólna liczba urzędników we wszystkich urzędach i agendach Min. Rob. Publ. wynosiła 3,679 osób, w grudniu 1921 roku liczba ich spadła do 2,780 osób — czyli zmniejszyła się o 899 osób, pomimo że pod koniec 1920 r. zostały utworzone Urzędy Techniczne na Kresach Wschodnich. W pierwszej połowie 1922 r. dokonano dalszych licznych redukcji.

Świadomie dłużej zatrzymaliśmy się na tej sprawie. Dziś dopiero w Polsce rozbrzmiewa hasło redukcji, tymczasem Narutowicz przeprowadził ją u siebie od razu, pomimo niezadowolenia wpływowego podówczas stronnictwa „Piast“, które bardzo niechętnie patrzyło na reorganizację i redukcję Urzędów Technicznych w Małopolsce, będących pod wielkim wpływem tego stronnictwa, gdyż wiele z nich powstało w charakterze koncesyj

politycznych, otrzymanych przez to stronnictwo od rządu austriackiego.

Z drugiej strony Narutowicz wypowiedział walkę zbytniemu scentralizowaniu i biurokratyzmowi, i poprowadził politykę Ministerstwa w kierunku możliwie większej samodzielności poszczególnych dyrekcji i urzędów na prowincji.

Pozatem zwrócił wielką uwagę na stronę ustawodawczą, uważając za rzecz pierwszorzędnego znaczenia wypracowanie odpowiednich norm prawnych, kodyfikację uzgodnienie już istniejących ustaw w poszczególnych dzielnicach, aby w ten sposób działalność Min. Rob. Publ. oprzeć na trwałych podstawach.

Z ustaw, opracowanych w Min. Rob. Publ. podczas urzędowania Narutowicza, podstawowe znaczenie mają: ustawa o budowie i utrzymywaniu dróg, ustawa o popieraniu publicznych przedsiębiorstw meljoracyjnych, ustawa o przepisach porządkowych na drogach publicznych, ustawa elektryfikacyjna, ustawa wodna, nowa ustawa o pomocy państwowej przy odbudowie kraju; pozatem przy Narutowiczu wniesiono do Sejmu projekty ustaw: budowlanej, w sprawie pozwoleń na budowę i eksploatację dróg wodnych, o opłatach żeglowych.

Jednocześnie i równoległe z pracą organizacyjną i ustawodawczą rozwijała się i praca praktyczna.

Prowadzono regulację rzek i budowę kanałów. Ze względu jednak na ogrom kredytów, potrzebnych dla wykonania tych prac, i większą pilność innych potrzeb kraju w dziedzinie odbudowy — prace powyższe były prowadzone w bardzo szczupłym zakresie.

Osobiście było to ze strony Narutowicza wielkie poświęcenie, gdyż właśnie budownictwo wodne było jego specjalnością. Z tem większem umiłowaniem i zapalem oddawał wolne chwile nielicznym budowlom wodnym, prowadzonym przez Min. Rob. Publ., a mianowicie na Sole w Porębcie i w Gródku na Pomorzu, oraz studjom i projektom nowych budowli w lepszych dla Skarbu Polskiego czasach, których jednak, niestety, nie dożył.

Następnie Narutowicz zwrócił baczną uwagę na odrodzenie zamarłego ruchu budowlanego, uświadamiając sobie należycie znaczenie tego przemysłu, mającego ogromny wpływ na rozwój całego szeregu innych gałęzi przemysłu, na zmniejszenie się głodu mieszkaniowego i zmniejszenie liczby bezrobotnych. W 1921 r. było w budowie 127 nowych budynków państwowych, przeważnie domów urzędniczych, oraz odnowiono i odbudowano 274 budynki, przyczem przeprowadzono całkowity remont takich gmachów, jak pałac Rady Ministrów, gmach Min. Skarbu, pałac Prymasowski, Branickich w Białymstoku, przeróbka gmachów poklasztornych na siedziby województw i starostw. Poza tem Narutowicz zachęcał do akcji budowlanej Samorządu, które przy pomocy zasiłków Min. Rob. Publ. wzniosły w tym samym roku 165 budynków użyteczności publicznej, przedewszystkiem szkół i łaźni.

Oprócz tego Narutowicz dbał o elektryfikację kraju i rozbudowę zdrojowisk — słowem wszędzie wnosił bogatą inicjatywę i zachętę do pracy.

„Niesposób — jak słusznie pisze wiceminister

Rybczyński — w krótkości zrealizować działalność Narutowicza na stanowisku Ministra Robót Publicznych, trzeba by było właściwie przestudjować w tym celu szczegółowo działalność Ministerstwa w ciągu lat dwóch, bo w każdej prawie akcji Ministerstwa brał bezpośredni czynny udział“.

Narutowicz skierował uwagę głównie na odbudowę dróg oraz zniszczonych wsi i miast. Gdy objął urządowanie, w Polsce było zniszczonych wskutek działań wojennych około 1000 dużych mostów, nie licząc znacznej liczby małych mostków.

W okresie urządowania Narutowicza odbudowano i naprawiono 2,600 małych mostków, 27 mostów żelaznych i 150 dużych mostów drewnianych. Uporządkowano ogromną większość istniejących dróg, wybudowano 200 km. nowych i rozpoczęto budowę ich na 500 km.

Narutowicz kładł nacisk na to, aby zachęcać Samorządy Powiatowe do budowy nowych dróg, i uzyskał pod tym względem bardzo poważne rezultaty, Sejmiki bowiem wydały na ten cel $4\frac{1}{2}$ raza więcej własnych funduszków, aniżeli otrzymały zapomóg od Min. Rob. Publ.

Sprawę odbudowy zniszczonych przez wojnę miejscowości Narutowicz rozpoczął od reorganizacji. Akcja odbudowy była prowadzona w Małopolsce przez urzędy pozostałe jeszcze z czasów Austrii i początkowo bardzo luźno zależne od Min. Rob. Publ. jak to biura odbudowy, podziału drzewa i t. d. Urzędy te były przeładowane niepomierną ilością urzędników.

Dość powiedzieć, że w lipcu 1920 roku same tylko agendy Gen. Dyrekcji Odbudowy liczyły 3,500 urzędników.

Narutowicz przeprowadził zasadniczą reorganizację tego działu pracy, skasował cały szereg biur odbudowy, wiele połączył razem, i w rezultacie tej akcji na grudzień 1921 r. liczba urzędników we wszystkich biurach Gen. Dyr. Odbudowy wynosiła już tylko 1061 osób, zaś na 1 kwietnia 1922 r. zaledwie 764.

Pomimo wszakże tak znacznej redukcji personelu w r. 1921 dokonano w dziedzinie odbudowy olbrzymiej roboty. Od chwili powstania państwa polskiego z liczby 1½ miljonów zniszczonych budowli odbudowano do końca 1923 r. około 400,000 budynków, z czego ilość odbudowanych w 1921 roku wynosi 268,364 — czyli więcej niż połowę. Tak wielka praca została dokonana przy jednoczesnej, tak znacznej redukcji personelu. Narutowicz kładł przedewszystkiem nacisk na odbudowę szkół powszechnych, kościołów i budynków użyteczności publicznej. Istotnie, w 1921 r. odbudowano 2547 szkół, 513 kościołów i 441 budynków użyteczności publicznej.

Tak wybitne rezultaty mogła dać akcja odbudowy tylko wskutek osobistej energii Narutowicza. Nietylko bowiem przeprowadził reorganizację, usunął zbyteczny balast i stworzył sprężysty aparat, ale kierował całą akcją osobiście i sam ją kontrolował.

Człowiek już starszy, schorowany, ciągle jednak był w podróży, zwiedzał zniszczone okolice kraju i kontrolował działalność swych rządów. Śmiało mo-

zna powiedzieć, że był to w Polsce bodaj jedyny minister, który całą Polskę objechał, wszędzie wnosząc swój entuzjazm i radość, że danem mu jest wielkie szczęście kierowania odbudową Ojczyzny.

Jeśli praca ta jednak nie dała takich rezultatów, jakie Narutowicz pragnął osiągnąć, winę tego ponosi personel, przy którego pomocy musiał pracować.

„Jeżeli mimo to akcja ta znalazła wielu krytyków i nieprzyjaciół — pisze wiceminister Rybczyński w swem wspomnieniu — to przyczyną tego jest to, że nie wszędzie wykonawcy stali na wysokości zadania. Ś. p. Narutowicz, sam z gruntu uczciwy, zanadto wierzył w uczciwość ludzką i nieraz na niej się zawiódł“.

Istotnie, tragedją Narutowicza jako człowieka i słabą stroną jako ministra było zbyt jego zaufanie do ludzi.

Będąc człowiekiem nieskazitelnej uczciwości, przyzwyczajonym do wysokiego poziomu etycznego inżynierów szwajcarskich, pełen zapału i bezinteresownego oddania się sprawie służenia Ojczyźnie, wierzył w taki sam zapał i uczciwość w stosunku do dobra społecznego u wszystkich swych podwładnych. Tyle lat spędziwszy na emigracji, wyidealizował sobie Polskę i jej ludzi — wszystko i wszystkich chciał widzieć w lepszym świetle, aniżeli odpowiadało to rzeczywistości.

Przesubtelniony na tle swej rzekomej winy wobec Polski, w ciągłym poczuciu, że tak mało dotychczas dla niej zrobił, nie uważał się za uprawnionego do robienia wyrzutów innym, że źle pracują.

Dlatego, chociaż cierpiał, widząc małą wydajność

pracy swych podwładnych, był dla nich pobłażliwym i wyrozumiałym, tłumacząc ich brakiem doświadczenia w pracy państwowej i ciężkimi warunkami powojennymi, w jakich odbywała się ta praca. A gdy zwracano mu uwagę na tę pobłażliwość, tłumaczył się z miłym uśmiechem człowieka dobrego: „Nie wiem, czy mam moralne prawo robić zarzuty innym, gdym tak długo do niczego w Polsce ręki nie przykładam“.

Przez długie miesiące nie dopuszczał myśli, że urzędnicy jego i inżynierowie, którzy pozostali po redukcjach i reorganizacji, a więc lepsi, mogą robić nadużycia, brać łapówki, kraść grosz publiczny. Myśl o tem klóciłaby się poprostu z jasnym obrazem Polski, który przez tyle lat rysował w swej duszy krwią serdeczną tęsknoty za krajem. Tymczasem w rzeczywistości było inaczej. To czego nie widział Narutowicz, zbyt ufający ludziom, widzieli inni — szerszy ogół — i przez to akcja odbudowy kraju nie miała takiego uznania i nie była tak popularną, jak na to w rzeczywistości zasługiwała.

Dopiero pod koniec swego urzędowania w Min. Rob. Publ., zaznawszy wiele rozczarowań, zawiódłszy się wiele razy na swych podwładnych, przekonawszy się, że dzieją się nadużycia, które jego wyrozumiałość tylko potęguje, Narutowicz zabrał się z całą surowością do ich tępienia. Zmienił prawie wszystkich dyrektorów okręgów i zgórą stu inżynierów oddał pod sąd.

Wiernymi towarzyszami pracy Narutowicza w Min. Rob. Publ. byli wiceminister Rybczyński i dyrektorowie departamentów: Nestorowicz, Różański oraz inż. Siwicki.

Narutowicz brał czynny udział w wielu pracach, zawsze rad służyć swą wiedzą i doświadczeniem we wszystkich technicznych przedsięwzięciach państwowych. Był więc członkiem Komitetu Przebudowy węzła warszawskiego, naczelnym kierownikiem budowy Transatlantyckiej Stacji Telegrafu bez drutu i t. d.

Widzimy więc, jak owocną, wyteżoną pracę rozwinął Narutowicz na stanowisku ministra Robót Publicznych. Wniósł do niej cały swój talent, doświadczenie i niezmożoną energję, spotęgowaną radością powrotu do kraju i pracy dla Polski.

Jeśli zaś ta praca, jak widzieliśmy ogromna, poprzedzona zasadniczą i gruntowną reorganizacją całego Ministerstwa Rob. Publ., nie dała takich rezultatów, jakie chciał osiągnąć człowiek tych wymagań, co Narutowicz, złożyło się na to kilka bardzo ważnych okoliczności.

Oprócz przyczyn, o których mówiliśmy już poprzednio, rozmach Narutowicza był skrępowany i ograniczony systematycznym brakiem kredytów. Było to Ministerstwo, które z natury swych zadań wymagało dużych kredytów. Im większe były kredyty — tem większa była racja jego bytu. Bez kredytów na pracę Ministerstwo to nie mogło pracować. Wydatek na utrzymanie tak licznego personelu wówczas tylko był racjonalny, gdy ten personel w całej pełni mógł pracować i dać maximum swej wydajności. Dlatego też Narutowicz poprostu w imię racji bytu swego Ministerstwa domagał się dużych kredytów, jednocześnie, jak widzieliśmy, wszystko czyniąc, aby, że tak

powiemy, koszty handlowe, to znaczy utrzymanie personelu, zredukować do minimum. Tymczasem coraz gorszy stan Skarbu zniewalał ministrów Skarbu iść najłatwiejszą drogą — drogą obcinania kredytów, co w zastosowaniu zbyt surowem w stosunku do Min. Rob. Publ. czyniło zbyt szkodliwym a nawet niebezpiecznym istnienie Ministerstwa.

Było to źródłem ustawicznych uciążliwych walk Narutowicza o kredyty dla Ministerstwa. Walka ta kosztowała go dużo irytacji i zgryzot. Często mawiał z gorącością w gronie przyjaciół: „Łatwiej mi było w Szwajcarii o miliony, jak w Polsce o tysiące“. Ale pomimo tych niedomagań praca Min. Rob. Publ. pod kierownictwem Narutowicza dawała tak wyraźne i dodatnie rezultaty, że stanowisko jego, jako ministra, stawało się coraz mocniejsze.

Po upadku gabinetu Witosa pozostał na tem samem stanowisku w obydwu gabinetach Ponikowskiego. W rządzie Ponikowskiego musiał stoczyć ciężką walkę z ministrem Michalskim w sprawie kredytów dla swego resortu.

Minister Michalski, jak wiadomo, rozpoczął swe urządowanie od obcinania w sposób stanowczy budżetów poszczególnych Ministerstw.

Ten sam zamiar miał i w stosunku do Min. Rob. Publ., projektując prawie całkowite zniesienie kredytów, przeznaczonych na prowadzenie robót. I oto wówczas gdy inne Ministerstwa rzeczywiście nie mogły obronić swych budżetów i musiały ulec „nożycom“ Michalskiego, tak zdawałoby się drugorzędny resort, jak Min.

Rob. Publ., z zatargu z ministrem Skarbu wyszło cało, z nieznacznym tylko uszczupleniem swego budżetu.

Co na to wpłynęło? Z jednej strony zatarg powstał pod koniec 1921 roku, gdy Narutowicz mógł wykazać się już przeprowadzoną reorganizacją, połączoną ze znaczną redukcją urzędników Ministerstwa, a więc istotnym postępowaniem w dziedzinie oszczędności wydatków o charakterze administracyjnym bez nacisku Min. Skarbu; z drugiej strony — jasnym i obywatelskim postawieniem sprawy roli i zadania swego Ministerstwa.

„Jeśli — oświadczył Narutowicz — mam mieć taki budżet, który pozwoli mi tylko utrzymywać personel, ale nie będzie pieniędzy na prowadzenie robót, to zbytecznym i szkodliwym ciężarem dla państwa staje się takie Ministerstwo, wobec czego stawiam wniosek o skasowaniu tego Ministerstwa“.

Takie, jedynie słuszne, postawienie sprawy dało Narutowiczowi zwycięstwo. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że to Ministerstwo spełnia wielką pracę konieczną i wysoce pożyteczną, że zlikwidowanie go byłoby zjawiskiem wysoce ujemnym, wobec czego Michalski musiał przyznać Narutowiczowi rację i ustąpił na całej linii.

Był to zasłużony triumf Narutowicza i dowód, że praca jego znajduje zrozumienie i aprobatę rządu.

Szybko również pozyskał Narutowicz zaufanie i szacunek Sejmu. Narutowicz na plenum Sejmu jako minister Robót Publicznych zabierał głos tylko kilka razy, natomiast bardzo starannie współpracował z Ko-

misją Robót Publicznych, pozyskując wśród jej członków wielu szczerych przyjaciół i sojuszników swego Ministerstwa.

Pierwszy raz Narutowicz wystąpił na plenum Sejmu 10 grudnia 1920 r. przy debacie nad ustawą drogową, o której ze słuszną dumą mógł powiedzieć, że jest „ta ustawa powołana do rozpoczęcia nowej ery w dziedzinie polskiej gospodarki drogowej“, gdyż była ustawą jednolitą dla całego państwa.

Ciężkie przejścia miał Narutowicz na terenie sejmowym z powodu ustawy o odbudowie kraju. Jak już wspominaliśmy, Narutowicz dostał przykry spadek po Austrii w Małopolsce, w postaci Biur Odbudowy Kraju, przeładowanych zbyt dużą liczbą urzędników, często niesumiennych i skorumpowanych — i natychmiast po objęciu stanowiska przystąpił do reorganizacji.

W związku ze zmianą artykułu 8 ustawy z 18 lipca 1919 r. o pomocy państwowej przy odbudowie odbyła się w Sejmie 20 stycznia 1921 r. wielka debata w sprawie akcji odbudowy, której prowadzenie zostało poddane bardzo ostrej krytyce ze strony prawie wszystkich stronnictw, przyczem podano bardzo wiele przykładów niesumienności i nieuczciwości urzędników. Poseł Zamorski posunął się jednak tak dalece, że posądził o niesumienność wszystkich urzędników odbudowy.

Narutowicz, który, jak widzieliśmy, przyjechał do kraju pełen wiary w ludzi — oszołomiony był rewelacjami posłów i ponurym obrazem, który roztoczono w debacie.

Ale i w danym wypadku w pełni ujawniła się szlachetna i prawa natura Narutowicza, który zabrał głos, z całą szczerością przyznał się, iż wiedział, że źle jest w tym dziale jego resortu, że przystąpił już do sanacji stosunków, redukcji personelu, że wielu niesumiennych i nieobowiązkowych urzędników wydalil, innym wytoczył dochodzenia dyscyplinarne, ale jednak przyznaje, że nie sądził, iż jest aż tak źle, jak przedstawiają posłowie, prosi więc o podanie faktów nadużyć, które natychmiast zbada. Z drugiej strony z całą energją zaprotestował przeciwko oskarżaniu w czambuł wszystkich urzędników, jak to uczynił poseł Zamorski, który w ten sposób skrzywdził uczciwych i sumiennych ludzi.

Tem szczerem i odważnem wystąpieniem Narutowicz od razu zdobył szacunek Sejmu, który nie był przyzwyczajony do tego, aby ministrowie przyznawali się do złego stanu spraw w swych Ministerstwach, jednocześnie zaś mieli odwagę karcić posłów za zbyt daleko idące i krzywdzące w swem uogólnieniu oskarżenia.

Jak dalece Narutowicz pozyskał zaufanie Sejmu, świadczy słynny jego zatarg z posłem Brylem na tle nowej ustawy pomocy rządowej przy odbudowie. Ustawa ta była wniesiona przez Narutowicza naskutek redukcji kredytów przez Michalskiego, a więc faktycznie nie szła po linii osobistych jego życzeń.

Stronnictwa ludowe, a zwłaszcza „Piast“, wielce zainteresowane akcją odbudowy, wysoce nieżyczliwie przyjęły projekt nowej ustawy i na wniosek posła Bryla Sejm w pierwszym czytaniu projekt odrzucił.

Narutowicz jednak, pomimo iż uchwała ta pośrednio godziła w Michalskiego i tem samem wzmacniała pozycję ministra Robót Publicznych w walce o kredyty, uważał za nielojalne wobec rządu i Michalskiego, z którym uzgodnił swe stanowisko, uciekać się do pomocy Sejmu, i wyszedł z formalnego założenia. Uważając uchwałę tę za votum nieufności dla siebie, niezwłocznie złożył podanie o dymisję. Rząd jednak, rzecz naturalna, na ten akt lojalności wobec niego odpowiedział nieprzyjęciem dymisji i zsolidaryzowaniem się z Narutowiczem. Wobec tego targ rozgrywał się w dalszym ciągu między rządem i Sejmem. Sprawa została załatwiona w ten sposób, że rząd poczynił w ustawie pewne zmiany i Sejm przyjął ją w pierwszym czytaniu, „topiąc“ w komisji. „Piastowcy“ jednak nie wybaczyli Narutowiczowi tego, że nie skorzystał z ich pomocy.

Fakt ten świadczy jeszcze raz o prawej naturze Narutowicza, o jego wstręcie do intryg parlamentarnych, jednocześnie zaś o silnem poczuciu niezależności.

Taka była działalność Narutowicza jako ministra Robót Publicznych. Była ona zakrojona na szeroką skalę przez człowieka wielkiej miary, wiedzy i doświadczenia — zaczęta od podstaw przez opracowanie zasadniczych ustaw, reorganizację i spotęgowanie sprawności i wydajności pracy urzędów.

Jednakże zasługa Narutowicza, jako ministra Robót Publicznych, polega przedewszystkiem na należytem zorganizowaniu tego Ministerstwa.

Narutowicz nie tylko innych uczył pracować dobrze i sprawnie, ale i sam wkładał całą duszę w pracę, oddając się jej gorączkowo, z niebywałą energią i zapalem, jak gdyby pragnąc odrobić lata, spędzone poza krajem.

Ale Narutowicz nie należał do kategorii tych fachowców, którzy poza swoją specjalnością niczem się nie interesują. Był On nie tylko wielkim inżynierem, ale i wielkim obywatelem, obejmującym bacnym wzrokiem szerokie horyzonty, doskonale orjentującym się w całokształcie potrzeb tak gorąco ukochanej Polski.

Nic więc dziwnego, że Narutowicz szybko w gabinecie Witosa wysunął się na czoło i stał się ministrem, z którego zdaniem liczone się w każdej sprawie. Autorytet Narutowicza rósł w miarę tego, jak ten „świeży“ w Polsce człowiek z biegiem czasu stawał się jednym z najstarszych ministrów polskich. Istotnie bowiem, w drugim gabinecie Ponikowskiego Narutowicz, poza ministrem Zdrowia Chodźką, był najstarszym ministrem. Wobec tego stawał się w Radzie Ministrów coraz bardziej wyrazicielem ciągłości pracy rządu polskiego.

Jak pisze w swem wspomnieniu Witold Giełżyński, dyrektor departamentu politycznego Prezydium Rady Ministrów za gabinetu Ponikowskiego — autorytet Narutowicza w rządzie był ogromny, i liczone się z jego zdaniem nie tylko w sprawach technicznych, lecz i politycznych. Zabierał on głos zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej, bronił określo-

nej polityki w stosunku do mniejszości narodowych i żywo interesował się sprawami oświatowymi, bogaty w doświadczenia z czasów pracy profesorskiej w Zurychu.

Stanowisko, które zdobył sobie w Radzie Ministrów, musiało w konsekwencji pociągnąć za sobą wysunięcie Narutowicza na szerszą arenę polityczną.

VI

DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNA I DYPLMATYCZNA

Jako działacz polityczny Narutowicz dał się poznać, będąc jeszcze ministrem Rob. Publ. Znalazło to przedewszystkiem wyraz we wzięciu czynnego udziału w życiu stronnictw politycznych w Polsce.

Jak już widzieliśmy, Narutowicz, w czasach studenckich, hołdował poglądom demokratycznym, którym pozostał wierny przez całe życie, nie biorąc jednak czynnego udziału w życiu politycznem. Wszakże, gdy wybuchła wojna, gdy zagadnienia polityczne zapanowały nad całym życiem Europy, Narutowicz, wiedząc, że w tej wojnie zdecydują się losy Polski, uznał za swój obowiązek dopomaganie w miarę sił i możliwości polskim działaczom politycznym w ich pracy i stanął na platformie politycznej obozu niepodległościowego.

Po przyjeździe do Polski Narutowicz początkowo trzymał się zdaleka od życia politycznego i partyjnego, cały swój czas i całą energję poświęcając Min. Rob.

Publ. Stopniowo jednak, w miarę tego, jak zaczynał orientować się w stosunkach politycznych, nie mógł nie ustalić swego stanowiska wobec poszczególnych partyj.

Narutowicz—człowiek z natury dobry i wyrozumiały, wyrosły w atmosferze szerokich swobód obywatelskich i wzajemnej tolerancji w Szwajcarji, skupiającej pod jednym dachem państwowym trzy narodowości,—nie mógł pogodzić się z niezrozumiałą dla niego walką polityczną, jaką znalazł w Polsce, gdzie w tak ostry i bezwzględny sposób zmagaly się ze sobą dwa skrajne obozy przy jednoczesnym całkowitym niemal braku centrum.

Nieliczne i słabe grupy centrowe, które istniały w Sejmie Ustawodawczym, wyłoniły się z obozu prawicowego i pod wielu względami—a więc przedewszystkiem w swym klerykalizmie, szowinizmie narodowym, nietolerancji w stosunku do mniejszości narodowych nierozumieniu zagadnień społecznych—niebardzo się różniły od stronnictw prawicowych.

Tymczasem Narutowicz był postępowym Europejczykiem w całym znaczeniu wyrazu. Brzydził się szowinizmem narodowym, dlatego też był zwolennikiem polityki tolerancji wobec mniejszości narodowych, wreszcie, przez tyle lat żyjąc w państwie, którego ustrój polityczny stał się wzorem dla demokracji całego świata, gorąco pragnął, aby i w Polsce zapanaowały prawa i swobody szczerze demokratyczne i republikańskie, któreby zbliżyły duchowo Polskę z Europą Zachodnią. Dlatego też z przerażeniem patrzył

na działalność partyj prawicowych, które w opozycji swej nie przebierały w środkach i, zwalczając niemiłe jej jednostki i ich politykę, walczyły metodami, które wyrządzały szkodę państwu, podważały bowiem autorytet urzędów, przez jednostki reprezentowanych.

Wśród przewodców polskich partyj lewicowych Narutowicz znalazł wielu kolegów i przyjaciół z czasów młodości. Ich postulaty polityczne były i jego postulatami, a ich dążenia społeczne były dla niego zrozumiałe; raziło go jednak usuwanie się tych partyj od władzy i tem samem od czynnego udziału w budowaniu państwowości polskiej i odpowiedzialności za losy kraju.

Tymczasem na lewicy stronnictw politycznych brakowało właśnie stronnictwa bardziej umiarkowanego, będącego wyrazem interesów i poglądów radykalnej inteligencji i liberalnego mieszczaństwa. Innemi słowy—brak było stronnictwa, odpowiadającego francuskim radykałom czy niemieckim demokratom, którzy w swych krajach odgrywali wielką rolę w walce o demokratyzację życia państwowego.

Takie stronnictwo w Polsce w dużym stopniu zastępowała potężna indywidualność Józefa Piłsudskiego, który reprezentował właśnie element, biorący czynny udział w budowaniu państwa i ponoszeniu całkowitej odpowiedzialności za politykę Polski, z jednoczesnem dążeniem do oparcia polityki zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej, na zasadach szczerze demokratycznych.

Narutowicz, im więcej wchodził w życie polskie, tem bardziej zbliżał się do Piłsudskiego, przejmując

się coraz większym podziwem dla jego indywidualności, patriotyzmu i polotu myśli, stając się w Radzie Ministrów coraz gorętszym zwolennikiem i obrońcą jego programu politycznego.

Wszystko to zbliżało Narutowicza, oczywiście, do grona tych działaczy politycznych, którzy w Józefie Piłsudskim widzieli swego wodza duchowego i byli gorącymi zwolennikami i propagatorami jego programu politycznego.

To też gdy ci ludzie na początku 1922 roku spróbowali zorganizować się we własne stronnictwo demokratyczne pod nazwą Unji Demokratyczno-Narodowej, Narutowicz, razem ze swymi kolegami z gabinetu Ponikowskiego—Stesłowiczem, Chodźką, St. Downarowiczem, Darowskim—żywo poparł usiłowania organizatorów nowego stronnictwa.

Ze względu jednak na bezpartyjny charakter gabinetu Ponikowskiego i na życzenie jego szefa, poza Stesłowiczem — jako posłem, wyżej wymienieni ministrowie oficjalnego udziału w organizowaniu stronnictwa nie brali i nie występowali nazewnątrz w jego imieniu. Jednak w opracowaniu deklaracji politycznej stronnictwa, pod którą podpisali się wybitni uczeni, publicyści, działacze społeczni, przemysłowcy i t. d.—brali czynny udział.

Dlatego też deklarację tę można uważać za wyraz politycznych i społecznych przekonań Narutowicza.

„Chcemy przewyciężyć tradycyjną polską niechęć względem państwa, chcemy wyplenić wybujały egoizm partyjny, rozwijający się kosztem poczucia pań-

stwowości, i wpoić w każdego mieszkańca Polski przeświadczenie, że winien ustawom i organom państwa posłuch i szacunek; chcemy, by Polska, nawiązując do swych tradycji najlepszych, wzorowała się na kroczących na czele ludzkości narodach Zachodu — czytamy w tej deklaracji. Treść jej była istotą poglądów politycznych Narutowicza.

Cała deklaracja jest przesiąknięta, powiedziałbym, adoracją państwa polskiego, usiłuje wszystkie myśli i czyny wszystkich obywateli Rzeczypospolitej zogniskować w trosce o rozkwit państwa polskiego pod hasłem „wszystko dla państwa“. Na miejsce interesu społecznego lub źle pojętego narodowego, opartego na krzywdzie mniejszości narodowej, Unja Nar.-Państw. chciała wysunąć interes państwowy, tak pojęty, aby w obronie jego znalazły wspólną platformę wszystkie klasy i wszystkie narodowości, zamieszkujące państwo polskie. Wątkom partyjnym i klasowym, nienawiściom narodowościowym i religijnym próbowano przeciwstawić zgodę i solidarność w obronie państwowości polskiej. Nie chcemy na tem miejscu poddawać analizie, a tem bardziej krytyce, tak ujętego zagadnienia; stwierdzamy tylko, że założenia ideowe i treść deklaracji Unji Narodowo - Państw. całkowicie odpowiadały politycznym i społecznym przekonaniom Narutowicza, który o sobie śmiało mógł powiedzieć, że na wszystkie zagadnienia patrzy wyłącznie pod kątem widzenia interesów państwa polskiego.

Jako polityk czynny Narutowicz wystąpił na początku 1922 roku, na tle sprawy wileńskiej.

Jak pamiętamy, na gabinet Ponikowskiego spadło ciężkie zadanie doprowadzenia tej sprawy do końca, uzyskania sankcji międzynarodowej dla czynu gen. Żeligowskiego. Pamiętamy również, jak na tle tej sprawy ścierały się w Polsce dwa zdania — jedno, dążące do inkorporowania Ziemi Wileńskiej bez oglądania się na stanowisko Wielkich Mocarstw, drugie, pragnące, aby ludność miejscowa dała sama wyraz swej woli złączenia się z Polską. Narutowicz był zwolennikiem tej drugiej koncepcji, gdyż wogóle całkowicie podzielał linię polityki zagranicznej Naczelnika Państwa i w Radzie Ministrów z całą energją bronił jego stanowiska.

Tymczasem Narodowa Demokracja swem nieprzejednanem stanowiskiem w tej sprawie doprowadziła do przesilenia gabinetowego i o mały włos nie wywołała przesilenia na stanowisku Naczelnika Państwa.

Sytuację zaogniły aresztowania w Wilnie na początku 1922 roku Litwinów, oraz rozgoryczenie na rząd polski pewnej części ludności polskiej Wileńszczyzny, podnieconej agitacją N.-Demokracji i nie orjentującej się w trudnościach międzynarodowych.

Rada Ministrów uznała za niezbędne wysłać do Wilna delegata, któryby zlikwidował niefortunną sprawę aresztowań i miejscowym działaczom wileńskim przedstawił istotny stan rzeczy.

Na delegata Rady Ministrów w tak ważnej sprawie został wybrany Narutowicz. Odegrało tu pewną rolę jego pochodzenie z Litwy, ale rozstrzygało przede wszystkim zaufanie do jego taktu i rozumu.

Wybór ten w tak ciężkiej i drażliwej sprawie, świadczący o powadze, jaką cieszył się Narutowicz w Radzie Ministrów, okazał się nadwyraz szczęśliwym. Narutowicz udał się do Wilna razem z dyrektorem Departamentu Giełżyńskim i przedewszystkiem zlikwidował sprawę aresztowanych Litwinów.

Zwykle tak dobry i ustępliwy, tu okazał się twardym i nieugiętym, gdyż przemógł bardzo silny opór władz prokuratorskich, oskarżających aresztowanych o zdradę stanu i przygotowania do zamachów terrotystycznych, i dopiął tego, że zostali uwolnieni i tylko wysłani na Litwę Kowieńską.

Jednocześnie przeprowadził cały szereg konferencji z miejscowymi działaczami wszystkich stronnictw, tłumacząc im istotny stan sprawy wileńskiej na terenie międzynarodowym. Swoją szczerością, powagą i głębokim przekonaniem o słuszności jedynie stanowiska Naczelnika Państwa Piłsudskiego i gabinetu Ponikowskiego — wywarł jak najlepsze wrażenie, wniósł uspokojenie i przygotował grunt do przeprowadzenia aktu połączenia Ziemi Wileńskiej z Polską na zasadach, które rząd Ponikowskiego zaproponował i których nieprzejednane stanowisko przeciwników tej koncepcji o mały włos nie obaliło.

Pierwszy więc występ Narutowicza, jako czynnego polityka, zakończył się całkowitem powodzeniem i spotkał z ogólną aprobatą Rady Ministrów.

Tymczasem jednak stan zdrowia Narutowicza pogarszał się z miesiąca na miesiąc. Daleko posunięta skleroza, płuca tęskniące do górskiego powietrza

Szwajcarji — wszystko to na tle niebywałego przemęczenia i napięcia nerwowego powodowało coraz to gorszy stan zdrowia.

W październiku 1921 roku, w czasie jednej z licznych inspekcji, w drodze do Grodna dostał tak silnego krwotoku, że była obawa, iż go nie dowiozą żywego do Warszawy. Jednak silna natura i tym razem zwyciężyła, i po kilku tygodniach Narutowicz znowu stanął do pracy.

Stan jego zdrowia jednak tak dalece się pogorszył, że lekarze stanowczo domagali się, aby wogóle usunął się od działalności, a przynajmniej wyjechał na dłuższy odpoczynek do Szwajcarji, gdyż jedynie tam płuca mogłyby się znowu poprawić; uprzedzali przytem że inaczej może nastąpić katastrofa.

Dlatego też, gdy w lutym 1922 roku Narutowicz znalazł się między młotem oszczędności ministra Michalskiego a kowadłem żądań ludowców w dziedzinie odbudowy, i gdy wskutek odrzucenia przez Sejm w pierwszym czytaniu nowej ustawy o odbudowie podał się do dymisji — z punktu widzenia osobistego byłby nawet rad, gdyby dymisja jego została przyjęta. Z chwilą jednak gdy Rada Ministrów nie chciała pozbyć się jego współpracy i Naczelnik Państwa nie przyjął dymisji, zaś Michalski zgodził się na ustępstwa, wskutek których Sejm przyjął ustawę — karnie pozostał na stanowisku, zastrzegając sobie jednak dwumiesięczny urlop; powołał się przytem na opinię lekarzy, którzy inaczej nie odpowiadali za jego życie. Urlop ten zresztą słusznie mu

się należał, gdyż był to pierwszy odpoczynek od chwili objęcia teki.

Nic też dziwnego, że urlop uzyskał i dnia 10 marca wyjechał do Szwajcarii. Tu, odpoczywając, spędzał czas na pogawędkach z licznymi starymi przyjaciółmi i szybko powracał do zdrowia. Jednak duszą wciąż był w kraju, gdyż stale korespondował z zastępującym go wice-ministrem Rybczyńskim, w którym znalazł oddanego współpracownika, szczegółowo go o wszystkim informującego. Jemu też posyłał ze Szwajcarii wiadomości i wskazówki.

Tak już dalece więc w tym krótkim czasie żył się z krajem, że nawet odpoczywając w otoczeniu, gdzie spędził większą część swego życia, nie mógł zapomnieć o potrzebach i troskach swego ukochanego Ministerstwa.

Odpoczynek został niespodziewanie dla Narutowicza przerwany, gdyż powołano go do pracy, najmniej przezeń oczekiwanej, — a mianowicie do reprezentowania Polski na Międzynarodowej Konferencji w Genui.

Wówczas gdy Narutowicz wypoczywał w Szwajcarii, cała Europa gorączkowo szykowała się do tej Konferencji, której przypisywano tak wielkie znaczenie i z którą wiązano ogromne nadzieje.

Nic też dziwnego, że dostać się na tę Konferencję było marzeniem każdego dyplomaty, ekonomisty i polityka. Polska również gorliwie przygotowywała się do Konferencji, która miała się odbyć pod znakiem wielkich nadziei na Rosję; wiadomem było również,

że dojść może do ponownego rozpatrywania spraw Wilna i Galicji Wschodniej i, kto wie — czy nie do rozstrzygnięcia ich z pokrzywdzeniem Polski.

Ze zrozumiałym niepokojem oczekiwała Polska tej Konferencji, i każdy szczegół, a przede wszystkim skład delegacji polskiej, żywo wszystkich obchodził.

Nic też dziwnego, że w Polsce, gdzie jest tylu ludzi pewnych siebie i z zadziwiającą lekkomyślnością podejmujących się najbardziej trudnych spraw — było za dużo kandydatów na członków delegacji. I oto wówczas, gdy niejeden czynił heroiczne wysiłki, aby dostać się do delegacji, znowu zdała będący od tych wszystkich zabiegów Narutowicz, — niespodziewanie dla siebie i innych — został wybrany na drugiego delegata Polski na Konferencję w Genewie.

Świadczy to jeszcze raz tylko o tem, jaki autoritet posiadał Narutowicz w Radzie Ministrów i jakie przypisywano znaczenie tej Konferencji, jeśli zdecydowano się przerwać urlop ciężko choremu człowiekowi.

Opinia publiczna, która nie znała istotnej roli Narutowicza w Radzie Ministrów, była zaskoczona tym wyborem. Ale szybko okazało się, jak dalece był on trafny.

Narutowicz, gdy dostał od Ponikowskiego polecenie wyjazdu do Genewy, sam był tem zaskoczony i niezadowolony nawet, że zdecydowano o nim i bez niego, nie pytając się o jego zgodę. Wierny jednak sobie i swemu pojmowaniu obowiązków wobec państwa, na drugi dzień po otrzymaniu oficjalnego polecenia wyjechał do Genewy.

Narutowicz w delegacji polskiej odrazu zajął stanowisko przodujące. Odegrał w tem dużą rolę fakt, że Narutowicz na tym międzynarodowym raucie politycznym obracał się z całą swobodą—nazwisko jego było bowiem znane wszystkim. Nic w tem dziwnego, gdyż na Konferencję zjechali się nietylko dyplomaci, lecz i ekonomiści i technicy, którym nazwisko Narutowicza o wiele więcej mówiło, aniżeli niejednemu w Polsce.

Narutowicz pośród delegatów i rzeczoznawców znalazł swych przyjaciół i starych dobrych znajomych, z którymi zetknął się lub nawet pracował razem w tym czy innym kraju. Delegacja polska odrazu odczuła, jak trafnym był wybór Narutowicza; zrozumiała, że ten człowiek, znany i witany przez wszystkich z takim szacunkiem i życzliwością, ułatwi jej pracę, że tak powiemy—wprowadzi ją w ten świat Starej Europy, gdzie wszyscy się znają, ale gdzie zwysoka patrzą na młode, powojenne państwa; że przez swych przyjaciół i licznych znajomych w prywatnej rozmowie lepiej przekona i łatwiej usunie niejedno uprzedzenie w stosunku do Polski, aniżeli najdłuższe oficjalne przemówienie jej delegatów.

Autorytet, jaki posiadał Narutowicz w tem wielkiem zgromadzeniu najwybitniejszych polityków i dyptomatów, i najtęższych fachowców, szybko się ujawnił.

Konferencja podzieliła się na 4 komisje: polityczną, ekonomiczną, finansową i transportową.

Narutowicz wszedł do komisji politycznej, jako zastępcą Skirmunta, i do transportowej, jako pierwszy delegat Polski. W komisji transportowej zasiadali przedstawiciele wszystkich 34 państw, dlatego też dostać

się do ściślejszego komitetu tej komisji i do podkomisji kolejowej—najważniejszej—było bardzo trudno, tem bardziej, że 6 wielkich mocarstw zgóry miało zapewnione dla siebie miejsca. Tymczasem Narutowicz potrafił utworzyć blok z delegatów Polski, Małej Ententy i państw Bałtyckich, co razem dało 7 głosów, pozatem miał zawsze zapewniony głos Szwajcarji, wreszcie pozyskał głosy Holandji, Austrii i Portugalji, wskutek czego został wybrany i do komitetu ściślejszego i do podkomisji kolejowej.

Był to pierwszy poważny sukces Narutowicza a tem samem i Polski. Że osobisty autorytet i urok Narutowicza odegrały decydującą rolę, świadczy fakt, iż w komisjach: finansowej i ekonomicznej delegatom Polski nie udało się dostać do ściślejszych podkomisyj.

Drugi poważny sukces odniósł Narutowicz w targu z delegatem Litwy Galwanauskasem, który na ostatniem posiedzeniu plenum komisji transportowej oświadczył, że Litwa nie wprowadzi w życie jej uchwał, bo stolica Litwy — Wilno — jest okupowane przez Polaków, a tem samem i połowa linii kolejowych litewskich jest pod okupacją polską. Galwanauskas prosił, aby to oświadczenie wnieść do protokołu, na co Jaspar, przewodniczący tej komisji, już gotów był się zgodzić, tem bardziej, że nastrój audytorjum był przychylny dla „małej Litwy, uciskanej przez zaborczą Polskę“.

Narutowicz energicznie zaprotestował i zaznaczył, że jeśli oświadczenie Litwy będzie wciągnięte do protokołu, to delegacja polska opuści komisję. Wywiązała się dwugodzinna polemika, w której Narutowicz

dwa razy zabrał głos; szczerze i otwarte stanowisko, zajęte przez niego, dało ten rezultat, że za żądaniem Litwy głosował jedynie delegat Albanji, notabene nie posiadającej wcale kolei.

Narutowicz brał również czynny udział w komisji politycznej; przedewszystkiem jednak działał w drodze rozmów prywatnych z wybitnymi dyplomatami, wykazując im, jak dalece mylne są ich nadzieje na Rosję Sowiecką. Opinia takiego autorytetu, jak Narutowicz, cieszącego się pozatem zaufaniem i sympatją za swoją szczerłość i prawdomówność, musiała być poważnie traktowana.

Jak wiadomo, delegacja polska wyszła z Konferencji w Genui obronną ręką — w czem, jak to wszyscy jej członkowie stwierdzali, była wielka zasługa Narutowicza.

Misja Wileńska i następnie pobyt w Genui utrwaliły opinię Narutowicza jako wytrawnego dyplomaty. Nie sądzonem już mu było powrócić do pracy w Ministerstwie Robót Publicznych. Wkrótce bowiem zaczął się słynny i przewlekły kryzys gabinetu Ponikowskiego.

Narutowicz głęboko odczuł całe niebezpieczeństwo tego kryzysu i robił wielkie wysiłki, aby go możliwie szybko zlikwidować. Gdy Naczelnik Państwa powierzył Arturowi Śliwińskiemu sformowanie gabinetu, ten zaproponował Narutowiczowi tekę ministra Spraw Zagranicznych. Narutowicz zgodził się; żał mu było jednak rozstawać się z Ministerstwem Robót Publicznych, gdzie żył się już z ludźmi, których miłość i zaufanie pozyskał, gdzie wiele prac miał dopiero rozpo-

czętych, a jeszcze więcej projektów, których nie mógł zrealizować wobec ciężkiego stanu finansów państwa. Z drugiej strony — wiedział, że na nowem stanowisku będzie wciągnięty w wir czynnej polityki, maconej intrygami, zawiściami i walką partyj — co dotychczas było mu tak dalekie i co zawsze wstręt w nim budziło.

Ale znowu traktowanie swej pracy w Polsce jako żołnierskiej powinności kazało mu karnie zastosować się do wymagań sytuacji politycznej, która wówczas się wytworzyła, pomimo że stan jego zdrowia tak dalece pogorszył się, iż lekarze radzili podać się do dymisji. Major Polkowski, który po synowsku przywiązał się do Narutowicza, widział, na jakie bóle głowy ten cierpi, jak podtrzymuje swe siły tylko lekarstwami, prosił go więc, aby usłuchał rady lekarzy. Narutowicz mu odpowiedział: „Dla was, wojskowych, wojna była w polu i żaden nie tłumaczył się chorobą, dla mnie wojna jest teraz i zejść z posterunku nie mogę“.

Z żalem jednak, jak już pisaliśmy, opuszczał M. Rob. Publ. w które włożył tyle duszy swej, zapału i entuzjazmu do pracy.

Z wielkim żalem również żegnali go podwładni.

„Głęboko wzruszający był moment — pisze Gabrjel Karski, sekretarz osobisty Narutowicza w M. R. P. — gdy wobec zebranych pracowników M. R. P. ukochany nasz minister żegnał się ze swym resortem, by przejść na nową placówkę. Zaiste, nie była to owa zwykła nudna ceremonja, banalna „corvée“, którą odrabia się z musu i nie było też nic banalnego w pożegnaldziękczynnem przemówieniu jednego z dyrektorów de-

partamentu, któremu głos łamał się ze wzruszenia. Czuł to dobrze niezapomniany nam minister i, patrząc na nas, łzy miał w swych zacnych oczach“.

W innej roli i w innych warunkach przychodził do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aniżeli do Ministerstwa Robót Publicznych. Tam go szukano po całej Europie, prosząc, aby objął tekę, gdyż wszyscy bez różnicy przekonań widzieli w nim człowieka najbardziej odpowiedniego w Polsce na to stanowisko. Życzliwie i serdecznie przez wszystkich wówczas witany — słusznie mógł mówić, że nie ma nieprzyjaciół.

Tymczasem tekę ministra Spraw Zagranicznych obejmował w atmosferze niebywałego zaognienia stosunków politycznych, było to bowiem stanowisko, o które w tem przesileniu najbardziej w istocie chodziło. Niedość na tem, przychodził do gmachu przy ulicy Wierzbowej jako intruz w tym świecie, jako „niefachowiec“ — inżynier, który miał odwagę przedziergnąć się w dyplomata.

Przychodził wreszcie przy akompaniamencie wrogiej prasy, która zaczęła wobec tego, tak kryształowo czystego człowieka stosować swe niewybredne i nieprzebierające w środkach metody krytyki, uważając prawdopodobnie, że nic tak nie wzmocni w oczach naszych sprzymierzeńców autorytetu Polski, jak przypomnienie i przedrukowanie artykułów, ogłaszanych przez Narutowicza w czasie wojny, a świadczących, że obecny polski minister Spraw Zagranicznych był wówczas zwolennikiem państw centralnych.

Jak dalece opinja Entente'y zapomniała o tem,

świadczy artykuł obecnego premiera Anglii R. M. Donalda—w „Socialist Review“ z października 1922 r.—w którym pisze: „Imperjalizm francuski uwidocznili się w usunięciu polskiego gabinetu. P. Skirmunt został zastąpiony przez p. Narutowicza. Tamten, aczkolwiek jest członkiem konserwatywnej partji Nar.-Demokracji, działał przeciwko imperjalizmowi, a na rzecz zmniejszenia zbrojeń. Był za przyjaźnią z Niemcami i oczyścił Polskę od białych spiskowców rosyjskich. Z tego powodu stał się nienawistny marszałkowi Piłsudskiemu i Quai d’Orsay. Nowy rząd jest zdecydowanie po stronie imperjalizmu francuskiego“.

A więc gdy obcy twierdzili, że jest zdecydowanym frankofilem, swoi powtarzali z uporem, że hołduje germanofilstwu.

Narutowicza wprowadzie dziwił tak pojęty patriotyzm, ale nie zrażało go to do pracy; wziął się więc do niej ze zwykłą energją i zapałem, tem bardziej, że odrazu znalazł poparcie wśród kilku wyższych urzędników Min. Spraw Zagran., którzy rozumieli, jaką dodatnią siłę ono pozyskuje w osobie Narutowicza.

Tak, naprzykład, prof. St. Kętrzyński, dyrektor Departamentu Politycznego M. S. Z., pisze w swem wspomnieniu:—„Ś. p. Gabriel Narutowicz, którego prace jako ministra Spraw Zagranicznych miałem sposobność w ciągu paru miesięcy, jako jego najbliższy współpracownik, obserwować, przystępował do tego ciężkiego zadania nietylko pełen wiary i otuchy, ale z pełnem przeświadczeniem wszystkich bliżej go znających, że jest on do niej przygotowany. Znakomity uczony o eu-

ropejskiej sławie, znający doskonale Zachód i mający tam poważanie prawdziwe i szerokie stosunki, żyty był z obracaniem się na terenie międzynarodowym, przyczem znajomość w słowie i piśmie dziewięciu języków znakomicie ułatwiała mu zadanie...

Trzeba wyznać, że o wadach i zaletach swego nowego aparatu był ś. p. Narutowicz doskonale przez swego poprzednika poinformowany, orjentował się w nim od pierwszych chwil swego urzędowania i okazywał mu zaufanie większe może, aniżeli go miało wielu urzędników Ministerstwa względem niefachowego Ministra. Nastroj ten trwał niezmiernie krótko; kilka dni wystarczyło, by ś. p. Narutowicz podbił sobie serca wszystkich swych, bliższych i dalszych współpracowników. Urok, jaki wywierał, rozproszył wszelkie obawy czy uprzedzenia, zjednał mu wszystkich bez wyjątku, nawet politycznie najdalej stojących. Mogę zapewnić, że zaufanie wzajemne, jakie wyrosło na tle wspólnej pracy, było z obu stron szczere i głębokie, a niezmierny takt, dobroć i serdeczność ojcowska, z jaką odnosił się on do swych podwładnych, pozwalała mu niejednokrotnie w bardzo drażliwych sytuacjach panować nad tak zwykle trudnymi i przykreimi sprawami personalnymi“.

Ta charakterystyka doskonale ilustruje wewnętrzną atmosferę pracy Narutowicza na nowym stanowisku.

Godną jest przytoczenia charakterystyka Narutowicza jako Ministra Spraw Zagranicznych, skreślona we wspomnieniu o nim przez Komendanta Piłsudskiego:

„Przedewszystkiem wniósł on swoją namiętność

do pracy. Nie było dla niego godzin urzędowych, nie było chwili wytchnienia. Dotychczasowe wyuczasy myśliwskie, dalekie przechadzki i inne mniejsze lub większe rozkosze życia ustąpiły wymogom urzędu. Pracował bardzo długo, szukając zawsze zgłębienia przedmiotu i wyrobienia sobie zdania na podstawie możliwie największej ilości danych. Nie uprzedzał się przytem zgóry do żadnej opinii, do żadnego zdania, tak jak gdyby szukał najmniejszego ziarnka prawdy w każdej głowie ludzkiej, w każdej pracy człowieka. Zajmowało mu to, naturalnie, ogromną ilość czasu.

Gdy przychodził do mnie, a następowało to zawsze co parę dni, każdą kwestję znał dokładnie i mógł mi wymienić szczegóły opinii takiego czy innego naszego przedstawiciela dyplomatycznego, takiego czy innego męża stanu zagranicy. Przytem zawsze zachowywał należyłą rezerwę, nigdy nie twierdząc lekkomyślnie, jak to u nas często bywało, że wie z pewnością, co w różnych stolicach Europy myślą, lub też co rozmaici mężowie stanu chcą zrobić“.

Narutowicz obejmował M. S. Z. w bardzo ciężkim momencie dla polskiej polityki zagranicznej.

Polityka Skirmunta, uległa wobec Rosji Sowieckiej i szukająca zbliżenia się do Czechosłowacji w drodze wielkich, a szkodliwych dla prestige'u Polski ustępstw, dała jak najbardziej ujemne rezultaty.

Traktat Ryski, nie odpowiadający rozmiarom wojennego zwycięstwa Polaków nad Rosją, był przez rząd Sowiecki coraz bardziej lekceważony i niewykonywany.

Znalazło to jaskrawy wyraz na konferencji w Ha-

dze, gdzie delegaci sowieccy usiłowali narzucić Polsce myśl podziału sfery wpływów wśród państw Bałtyckich.

Usiłowania Skirmunta przed konferencją w Genui, aby pozyskać uznanie granic wschodnich Polski przez wielkie mocarstwa, skończyły się, jak wiemy, całkowitem niepowodzeniem i tylko jeszcze bardziej zaostrzyły niebezpieczeństwo sprawy Wileńskiej i Galicji Wschodniej.

Układ Warszawski z państwami Bałtyckimi z marca 1922 r. nie został należycie wyzyskany. Niedopilnowanie natychmiastowej ratyfikacji tego układu przez Sejm Ustawodawczy wprowadziło pewne zamieszanie do stosunków Polski z państwami Bałtyckimi.

Z drugiej strony—uległość Skirmunta wobec Pragi spowodowała, że przy wyborze do Rady Ligi Narodów miał szanse przejścia przedstawiciel Czechosłowacji, nie zaś Polski.

Zbliżyły się wreszcie wybory do Sejmu, które miały objąć i Galicję Wschodnią. Chodziło o to, aby wielkie mocarstwa nie założyły protestu przeciwko rozciągnięciu wyborów i na tę dzielnicę; milczenie ich bowiem w tej sprawie byłoby pośredniem uznaniem suwerenności Polski nad Galicją Wschodnią.

Poglądy Narutowicza, jako ministra Spraw Zagranicznych, na wszystkie te sprawy nie mogły być wypowiedziane z trybuny sejmowej, gdyż Sejm po uchwaleniu votum ufności gabinetowi Nowaka rozjechał się na wakacje, wobec czego Narutowicz 25 sierpnia wygłosił swe exposé przed przedstawicielami prasy.

Z exposé tego, pomijając stosunek do Entente'y,

który pozostawał, rzecz naturalna, bez zmiany, widać, że w stosunku do Małej Entente'y Narutowicz chciał znaleźć wspólną platformę w sprawie mniejszości narodowych, które każde z tych państw posiada, aby w ten sposób na forum Ligi Narodów występować solidarnie i „nie dopuścić do naruszenia zasady suwerenności państwowej“.

Stosunek do Małej Entente'y Narutowicz zmienił o tyle, że punkt ciężkości z Czechosłowacji przeniósł na Rumunję i postanowił wzmocnić sojusz polsko-rumuński przez przyspieszenie podróży Naczelnika Państwa do Synai.

Stosunek do Rosji Narutowicz ułożył w ten sposób, że odrzucił propozycję Cziczeraina co do podziału sfery wpływów politycznych między Rosją a Polską, natomiast położył nacisk na konieczność zbliżenia się ekonomicznego, co stałoby się możliwem w wyniku lojalnego wykonywania przez Rosję traktatu Ryskiego.

Jak wiadomo, rząd Sowiecki chciał zaszachować Polskę, robiąc jeszcze Skirmuntowi propozycję zwołania konferencji rozbrojeniowej w Moskwie, liczył bowiem, że Polska uchyli tę propozycję, a tem samem ułatwi Rosji oskarżenie Polski o wojownicze i zaborcze zamiary. Tymczasem Narutowicz oświadczył prasie, że ma zamiar przyjąć zaproszenie na konferencję, jednak postara się wystąpić na niej solidarnie z państwami Bałtyckimi.

W stosunku do Litwy Narutowicz oświadczył chęć zgody i porozumienia, ale jednocześnie kategorycznie stwierdził, że „sprawa Wileńska nie powinna już być przedmiotem obrad na forum międzynarodowem. Losy

Ziemi Wileńskiej uważamy za definitywnie przesądzone wolą ludności“. W stosunku do Gdańska zaznaczył, że „rząd Polski będzie z całym naciskiem przestrzegać szanowania uprawnień Polski w Wolnem Mieście, płynących z traktatu Wersalskiego“ — dlatego najkategoryczniej zaprotestował przeciwko znanej decyzji komisarza Hackinga, odmawiającej Polsce prawa witania w Gdańsku flot obcych i przedstawicielstw zagranicznych.

Takie były wytyczne polityki Narutowicza, jak widzimy, nawskroś pokojowej, ale jednocześnie stanowczej i dbającej o autorytet Rzeczypospolitej.

Praktycznie, obejmując M. S. Z., Narutowicz miał do załatwienia przede wszystkim trzy ważne sprawy: wybory do Rady Ligi Narodów, wybory do Sejmu łącznie ze sprawą Galicji Wschodniej i konferencję rozbrojeniową w Moskwie.

Na konferencji Małej Entente'y w Marjenbadzie, gdzie Polskę reprezentował p. Piltz, Benesz wręcz oświadczył, że „opinia Czechosłowacji nie jest przygotowaną do pogodzenia się z przyznaniem Polsce Galicji Wschodniej“.

Wobec takiego stanowiska Benesza, Narutowicz uchylił się od współdziałania z Czechosłowacją na terenie Ligi Narodów.

Za późno już było rozpoczynać agitację za kandydaturą polską do Rady Ligi Narodów. Narutowicz więc skoncentrował całą uwagę dyplomacji polskiej na tem, aby nie dopuścić do wyboru Benesza, pomimo iż był on już tak dalece pewny swego, że siedział

w sekretarjacie Ligi Narodów i studjował materiały do spraw mniejszości narodowych, których referat zamierzał objąć w Radzie. Tymczasem przyszła sesja Ligi Narodów w Genewie, i przy wyborach do Rady Ligi Narodów p. Benesz dostał jeden głos—i to zdaje się swój własny. Był to wybitny sukces polskiej dyplomacji i jej szefa.

Jednocześnie zbliżały się wybory do Sejmu i trzeba było przygotować mocarstwa zachodnie—uważające siebie za zwierzchnią władzę nad Galicją Wschodnią—do myśli, że wybory na tem terytorjum jednak się odbędą.

Aby uniknąć protestu wielkich mocarstw, trzeba było pójść na ustępstwa, stwierdzające pewną odrębność Galicji Wschodniej. Dlatego też w Ministerstwie Spraw Zagranicznych został opracowany dla tego terytorjum projekt samorządu, który następnie przeszedł do Rady Ministrów. Wiemy jednak, jakiego konika dla swej demagogji zrobiły pewne stronnictwa ze sprawy Galicji Wschodniej. Daleko idący projekt mógł wywołać burzę w społeczeństwie, którą tem łatwiej było rozpętać polskim szowinistom w przededniu wyborów, czyniąc z tej sprawy atut wyborczy. Z drugiej strony—trzeba było zadowolić i wielkie mocarstwa.

Gabinet Nowaka, a przedewszystkiem zaś Narutowicz znaleźli się między Scyllą i Charybdą.

Narutowicz jednak potrafił z jednej strony na poufnych posiedzeniach sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych przekonać przewodców prawicy o powadze sytuacji i znaczeniu faktu odbycia się wyborów

w Galicji Wschodniej bez protestu wielkich mocarstw, z drugiej strony, w licznych konferencjach z posłami tych mocarstw w Warszawie i przez naszych posłów w ich stolicach pracował nad pogodzeniem świata z faktem, że Galicja Wschodnia musi należeć do Polski.

Wiemy, jak szczęśliwie powiodła się ta akcja. 19 września 1922 r. Sejm uchwalił ustawę o samorządzie wojewódzkim dla Galicji Wschodniej, następnie zaś, gdy wybory zostały rozpisane, nietylko nie było protestu ze strony wielkich mocarstw, lecz przeciwnie, Francja i Włochy poufnie zajęły stanowisko życzliwe.

Milczenie wielkich mocarstw, pomimo szalonych zabiegów i protestów Petruszewicza, de facto przesądziło los Galicji Wschodniej, stanowiło bowiem faktyczną zgodę na przyznanie tej dzielnicy Polsce. Był to wielki triumf dyplomatyczny Narutowicza, umożliwiający późniejsze zwycięstwo Skrzyńskiego w sprawie uznania całości granic wschodnich.

Następną sprawą, która zaprzętała uwagę Narutowicza, była konferencja rozbrojeniowa w Moskwie, która miała być właściwie pojedyńkiem dyplomatycznym między Rosją a Polską o to, kogo ma Europa oskarżać o źródło niepokojów wojennych na swym Wschodzie.

Narutowicz rozpoczął gruntowne przygotowania do konferencji, idąc w tym kierunku, aby wszystkie państwa, sąsiadujące z Rosją, zajęły na konferencji zgodne i solidarne z Polską stanowisko. Przedewszystkiem wykorzystał w tym kierunku podróż Naczelnika Państwa do Rumunji. Podróż ta wzmocniła sytuację

międzynarodową Polski i wzbudziła respekt w Moskwie. Jak dalece czynną rolę w tej podróży odegrał Narutowicz, świadczą słowa Komendanta Piłsudskiego, który z wdzięcznością wspomina jego pomoc w owej „najtrudniejszej w tej epoce pracy, która na niego (Piłsudskiego) spadła, reprezentacji Polski w sąsiedniej Rumunii“.

W czasie tej podróży między innymi sprawami omówił Narutowicz i sprawę konferencji Moskiewskiej, wysuwając myśl powierzenia reprezentowania Rumunii delegatowi Polski.

Następnie zabrał się energicznie do uregulowania zmańczonych nieco stosunków z państwami Bałtyckimi.

Przedewszystkiem zajął się sprawą ratyfikacji układu Warszawskiego przez Sejm, który istotnie, wskutek jego interwencji na Komisji Spraw Zagranicznych, dnia 22 września 1922 układ jednomyślnie ratyfikował.

Uporządkowawszy tę sprawę w Polsce, Narutowicz w dwa tygodnie później osobiście pojechał na konferencję państw Bałtyckich, która odbyła się w Rewlu, 8 i 9 października 1922 r.

Dla scharakteryzowania roli Narutowicza na tej konferencji pozwolimy sobie przytoczyć dłuższy ustęp ze wspomnienia towarzyszącego mu w podróży jednego z najwybitniejszych młodych dyplomatów polskich³⁾ J. Łukasiewicza.

„Na poprzednich podobnych konferencjach — pisze J. Łukasiewicz — Polska była normalnie reprezentowaną bądź przez specjalnie wydelegowanych posłów, bądź, jak na konferencji Helsingforskiej, przez swego

wiceministra. Narutowicz, aczkolwiek przeciążony codzienną zmuśną pracą, zdecydował, że na konferencję Rewelską uda się osobiście. Było to zgodne z wrodzonym u niego wysokim szacunkiem dla zasady skrupulatnego przestrzegania nawet w drobiazgach i na pozór mało znaczących formach zupełnej równości państw niepodległych, bez względu na ich znaczenie i wielkość. Pierwszy to raz minister Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej odwiedził osobiście Łotwę i Estonję. Podróż Narutowicza do Rewla, odbyta z dwukrotnem kilkugodzinnem zatrzymaniem się w Rydze, ożywiła i wzmocniła sympatję wyzwolonych krajów Bałtyckich do Polski. Wspomnienia z młodzieńczych lat szkolnych, spędzonych w Libawie, nadały jego rozmowom z miejscowymi wybitnymi działaczami politycznymi nutę serdeczności. Umiał wytworzyć atmosferę, która zachęcała tych działaczy, zachowujących dotychczas daleko idącą rezerwę, do dania jasnego wyrazu uczuciom sympatji oraz wdzięczności dla Polski. Konferencja Rewelska była wielkim sukcesem jasnej i prostolinijnej dyplomacji Narutowicza. Nad jej obradami, rozpoczętymi w atmosferze drobnych nieporozumień, spowodowanych niefortunnymi losami układu Warszawskiego, górowało szczere dążenie Narutowicza do umocnienia podstaw pokoju we wschodniej części Europy, przy bardzo skrupulatnem dbaniu o to, by warunki bezpieczeństwa i zupełnej niezależności państw, bez porównania od Rosji mniejszych, nie zostały w niczem naruszone. Zespolony sam z Zachodem, z jego kulturą, pracą i życiem, Narutowicz pragnął, aby delegacje Polski

i państw bałtyckich czuły się na konferencji Moskiewskiej reprezentacją Zachodu, nalegał na konieczność wzięcia za punkt wyjścia do jednolitej akcji wspólnej przynależności do Ligi Narodów, wskazywał, iż najpewniejszą drogą do zagwarantowania Wschodu przed niepożądanymi konfliktami byłoby usunięcie ze stosunku Rosji do państw sąsiadujących z nią rozmaitych nienormalności, niezgodnych z ogólnie przyjętymi zasadami współżycia międzynarodowego i tamujących pomyślny rozwój stosunków sąsiedzkich, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej. Kategorycznie wypowiadał się przeciwko projektom, stwarzającym fałszywe pozory nowych gwarancji bezpieczeństwa, a w istocie swej dającym nowe przywileje i tak już uprzywilejowanej przez swą wielkość i geograficzne położenie Rosji.

Osnute na wstępnym przemówieniu Narutowicza dwudniowe obrady konferencji Rewelskiej doprowadziły do zupełnego uzgodnienia stanowisk, które stało się później podstawą wspólnej akcji na konferencji rozbrojeniowej w Moskwie.

Nie ograniczając się do tematów postawionych na porządku dziennym konferencji, Narutowicz w prywatnych swoich rozmowach z kolegami ministrami innych państw starał się wnieść większą jasność i prawdziwość w ich pojęcia o stosunkach polsko-litewskich. Tem łatwiej mu to przyszło, że uczuciami i wspomnieniami rodzinnymi z Litwą związany, bolał szczerze nad błędami i spaczeniami polityki kowieńskiej, które uniemożliwiały braterskie współżycie historycznie tak blisko związanych ze sobą narodów.

Reasumując, można z całą pewnością skonstatować, że podróż Narutowicza do Rygi i Rewla dała nie tylko konkretne, aktualne rezultaty, ale podnosząc stopień naszego zbliżenia z państwami Bałtyckimi, podniosła w ich środowisku autorytet i prestige Rzeczypospolitej“.

Po powrocie z Rewla Narutowicz musiał zająć się sprawą Kłajpedy, która niebawem miała stanąć na porządku dziennym obrad Konferencji Ambasadorów. Po gruntownym zbadaniu tej sprawy stanął Narutowicz na stanowisku, że trzeba z Kłajpedy uczynić wolne terytorjum pod protektoratem mocarstw, któreby stało się terenem równorzędnej ekonomicznej współpracy Polski i Litwy, będąc jednocześnie od obu zainteresowanych stron politycznie niezależnem. Narutowicz, zatrzymawszy się na tej koncepcji, bronił jej z całą stanowczością i konsekwencją, i na komisji Konferencji Ambasadorów koncepcja ta znalazła aprobatę.

Sprawa ta ma również znaczenie dla charakterystyki Narutowicza jako człowieka. Jak już pisaliśmy, Narutowicz zgodził się zostać ministrem Spraw Zagranicznych, licząc się z życzeniem Kom. Piłsudskiego. A przy wrodzonej dobroci i wyrozumiałości Narutowicza dało to jego przeciwnikom politycznym powód do twierdzenia, że Narutowicz jest tylko „telefonem Belwederu“, biernym wykonawcą woli Piłsudskiego i t. d.

Istotnie, stosunek Narutowicza do Kom. Piłsudskiego był pełen szacunku i liczenia się z jego poglądami.

Szczegółową ocenę tego stosunku znajdujemy w książce Piłsudskiego: „Wspomnienia o Gabrjelu Na-

rutowiczu“, który z głębokim uznaniem i wdzięcznością wspomina jego lojalność, jako ministra, i subtelność, jako człowieka.

Ale z tych samych wspomnień dowiadujemy się, że gdy poglądy na jakąś sprawę Piłsudskiego i Narutowicza różniły się, ten ostatni, pomimo osobistej przykrości, jaką to mu czyniło, miał siłę przeciwstawiać się i prowadzić politykę według swego poglądu. Tak było i ze sprawą Kłajpedy, gdzie Piłsudski stał na wręcz odmiennem, aniżeli Narutowicz, stanowisku.

„Po kilku bezowocnych konferencjach — pisze Kom. Piłsudski, — w których G. Narutowicz próbował uzgodnić nasze zdania (w sprawie Kłajpedy), zaprzestał przychodzić do mnie na konferencje. Myślałem, że zachorował, lecz gdy dowiedziałem się, że jest stale przy pracy, machnąłem ręką, jak już na wiele zawodów w mojem życiu. Po paru tygodniach przyszedł. Był nieco wzruszony i odrazu zaczął jakby przeproszać. Twierdził, że nie mógł sobie dać rady i codziennie odkładał wizytę u mnie, gdyż czuł, że postąpił i pracował dalej w omawianej kilkakrotnie kwestji przeciw memu zdaniu. Gdy odpowiedziałem mu, że ma do tego najzupełniejsze prawo i nie powinien brać tego do serca, gdyż ponosząc odpowiedzialność za politykę zagraniczną, musi sam, jako ostatni, rozstrzygać, co może a czego nie może zrobić—począł gorąco protestować. Wyszukiwał wszelkiego rodzaju argumenta i wszelkiego rodzaju dowody, aby osłonić mnie od najmniejszego uczucia upokorzenia, które jest tak ciągle i tak brutalnie wykonywane w stosunku do tych, którzy zajmują

stanowiska jakoby najwyższe, lecz w gruncie rzeczy najniższe, o ile chodzi o pracę. Ten rys specjalnej delikatności charakteru człowieka o wysokiej kulturze pozostał mi na zawsze we wspomnieniu wdzięcznego serca“.

Ze słów tych widzimy, jak przykro i ciężko było Narutowiczowi narzucać swoją wolę i swój pogląd człowiekowi, którego tak wysoko stawiał, ale poczucie obowiązku i sumiennosci wobec swego urzędu było silniejsze, aniżeli pietyzm dla Naczelnika Państwa.

Również dowód stanowczości złożył Narutowicz w t. zw. zatargu protokółarnym z rządem Sowieckim, próbującym narzucić Polsce pewne formy przedstawicielstwa dyplomatycznego. Pomimo że był to okres wyborów i omawiania w Paryżu sprawy Kłajpedy, Narutowicz nie dał się rządowi Sowieckiemu ani sprowokować, ani zastraszyć, wobec czego próba wywołania pozoru, że wisi w powietrzu nowa wojna polsko-rosyjska, spełzła na niczem.

Ostatnim sukcesem dyplomatycznym Narutowicza była konferencja rozbrojeniowa w Moskwie. Jak już wspominaliśmy, Narutowicz długo i systematycznie przygotowywał się do niej. A więc zwołał do Warszawy przedwstępną konferencję delegatów sztabów generalnych państw Bałtyckich, w której wziął udział i delegat Rumunii, uzyskał następnie dla delegacji polskiej przedstawicielstwo Rumunii na konferencji, wreszcie, chętnie zgodził się na udział Litwy, wciąganej w ten sposób w orbitę wspólnych z Polską interesów.

Narutowicz żegnał temi słowy wyjeżdżającą delegację polską: „Zróbcie wszystko możliwe dla utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa Polski, oraz przekonania Rosji, że polityka nasza jest szczerze pokojową. Pamiętajcie jednak, że każdy kompromis, któryby w cokolwiek godności Rzeczypospolitej miał uchybić, nie będzie pożytecznym dla sprawy pokoju i naszego bezpieczeństwa. Gdybyście byli zmuszeni przed takim kompromisem się bronić, bądźcie pewni mego zupełnego poparcia“.

Jak wiadomo, konferencja Moskiewska skończyła się wielkim triumfem dyplomacji polskiej, gdyż ostatecznie stanowisko Polski poparła nawet Litwa, i rząd Sowiecki, przyparty do muru, odmówił podpisania paktu nieagresji — demaskując w ten sposób istotne swoje oblicze.

Próba wystawienia Polski, jako państwa podniecającego swemi rzekomemi zbrojeniami niepokoje wojenne, całkowicie się nie udała

Takim był Narutowicz jako minister Spraw Zagranicznych. Był dobrym ministrem — miał swoją własną linię polityczną, którą spokojnie, lecz systematycznie i stanowczo wcielał w życie. Pracował sam z niebywałą gorliwością — i swym przykładem zachęcał do tego podwładnych. Przedewszystkiem zaś był istotnym stróżem godności i autorytetu Rzeczypospolitej wobec obcych. I w tem jest jego największa zasługa.

Jedyne poważniejsze niepowodzenie dyplomatyczne, które spotkało Narutowicza, było to niedopuszczenie przedstawiciela Polski do udziału w konferen-

cji w Lozannie, gdzie wielkie mocarstwa na nowych podstawach układały swój stosunek do zwycięskiej Turcji. Ale było to względnie drobne niepowodzenie, powetowane następnie zawarciem z Turcją samodzielnego traktatu.

„G. Narutowicz, pracując spokojnie i z olbrzymim nakładem wysiłków, przeprowadził obronę naszych interesów skutecznie i bez zarzutu“ — tak charakteryzuje jego działalność surowy i wymagający J. Piłsudski.

Konferencja Moskiewska skończyła się już wtedy, gdy Narutowicz został wybrany na Prezydenta. I znowu przeznaczenie oderwało go od warsztatu tej pracy, w którą wkładał całą duszę i całe bezgraniczne umiłowanie Ojczyzny.

Krótko był ministrem Spraw Zagranicznych, a jak dalece potrafił przez ten krótki czas podbić serca podwładnych, świadczy fakt, że to właśnie Ministerstwo pierwsze złożyło hołd jego świetlanej postaci, stawiając mu w swym gmachu pomnik w formie popiersia dłuta prof. Wittiga.

Odsłonięcie pomnika Narutówicza nastąpiło 13 maja 1923 r., a więc w momencie, gdy szalała orgja apoteozowania jego mordercy, gdy już szturm do władzy przypuszczała Narodowa-Demokracja, moralny sprawca czynu Niewiadomskiego, ta sama Narodowa-Demokracja, której na podstawie toczących się już ze stronnictwem „Piast“ układów miało przypaść w udziale kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Była to więc demonstracja wobec jutrzejszych przełożonych, narażanie kariery.

A jednak nietylko nastąpiło odsłonięcie popiersia, lecz padły z ust przedstawiciela urzędników M. S. Z. p. Bertoniego serdeczne a szczerze słowa, świadczące, jak dalece pokochali oni „swego ministra“:

„Cały personel M. S. Z. widzi w tym uroczystym akcie w obecności Pana Prezydenta i najwyższych dostojników Rzeczypospolitej aprobatę swej decyzji, powziętej w momencie największego bólu z powodu tragicznego zgonu swojego ukochanego ministra. Bo jakkolwiek ś. p. Narutowicz był już Najwyższym Dostojnikiem Rzeczypospolitej — jej pierwszym obranym Prezydentem — dla nas pozostał i miał być zawsze naszym ministrem. Pomni na zawsze ojcowską opiekę i troskliwość, jaką nas, współpracowników swoich otaczał, składamy dziś hołd jego pamięci, ustawiając w gmachu ministerstwa popiersie, przekazując po wieczne czasy zakute w bronz Jego szlachetne rysy“.



VII

ZGROMADZENIE NARODOWE I WYBÓR NA PREZYDENTA

Rozwiązanie Sejmu Ustawodawczego i zarządzenie wyborów do Sejmu i Senatu stanowiło moment zwrotny w życiu politycznym Polski. Wybory miały nie tylko ujawnić polityczne oblicze narodu, ale także zapoczątkować wprowadzenie w życie Konstytucji 17-go marca.

Narutowicz głęboko był przejęty nadchodzącymi wyborami; przedewszystkiem oceniał je jednak ze stanowiska ministra Spraw Zagranicznych. Chodziło mu zwłaszcza o to, aby wybory na Kresach Wschodnich i w Galicji Wschodniej odbyły się spokojnie, gdyż spokój ten stać się miał ważnym atutem w jego zabiegach o uznanie wschodnich granic Polski i przyznanie Polsce Galicji Wschodniej.

Istotnie, natychmiast po ukończeniu wyborów Narutowicz zwołuje konferencję prasową, na której podkreśla, że „spokój niczem niezmacony we wszystkich okręgach, ogromna frekwencja są świadectwem dosko-

nałego egzaminu, jakim poszczycić się może nasz naród w swym rozwoju państwowym. Znaczny procent z uprawnionych do głosu wśród mniejszości narodowych, a mam na myśli przede wszystkim Kresy Wschodnie, stanął swobodnie do urny wyborczej, czem miał możność podkreślić całą liberalność naszej konstytucji i bezstronność postępowania naszych władz administracyjnych“.

Tak mówił Narutowicz po zwycięstwie listy № 16 mniejszości narodowych i klęsce listy № 22, na której sam figurował. Widzimy tu, jak niepowodzenie w naszej polityce wewnętrznej natychmiast usiłował zużytkować jako atut w polityce zagranicznej.

Musimy zaznaczyć, że Narutowicz był jednym z nielicznych wyjątków pomiędzy działaczami politycznymi, pośród których każdy niemal pragnął dostać się do Sejmu lub Senatu. Pomimo bowiem dwukrotnej propozycji odmówił Thuguttowi kandydowania z listy „Wyzwolenia“ do Senatu. Odgrywał w tem dużą rolę coraz gorszy stan zdrowia, a jednocześnie wciąż jeszcze niemożność pogodzenia się z metodami walk partyjnych w Polsce, które Narutowicza, tak dobrze znającego życie Europy Zachodniej — raziły swą brutalnością. „Jestem demokratą bardzo zaawansowanym, jestem radykałem, żadne jednak stronnictwo w Polsce nie odpowiada w zupełności moim poglądom“ — tłumaczył przyjaciółom, namawiającym go, aby przyjął propozycję „Wyzwolenia“.

Natomiast żywo obchodziła go sprawa, kto będzie Prezydentem Rzeczypospolitej. I jako Polak i jako minister Spraw Zagranicznych z całej duszy pragnął, aby

Prezydentem został Józef Piłsudski. Był jednak jednym z pierwszych, którzy od Piłsudskiego bezpośrednio na długo jeszcze przed wyborami do Sejmu dowiedzieli się, że ten zdecydował się tego stanowiska nie przyjmować niezależnie od wyniku wyborów i składu Zgromadzenia Narodowego.

Komendant J. Piłsudski w swem wspomnieniu o Narutowiczu szczegółowo opowiada historję tego, jak gorąco i natarczywie Narutowicz nalegał, aby Piłsudski zgodził się kandydować. Nie będziemy tu więc szerzej się nad tem zastanawiali. Również z tego wspomnienia wiadomo, iż Narutowicz, przekonawszy się, że Kom. Piłsudski swej decyzji nie zmieni, zatrzymał się na osobie Maurycego Zamoyskiego, ironją losu swego późniejszego kontrkandydata.

Odbyły się wreszcie wybory, które nie dały zwycięstwa żadnej stronie — jedynie kandydatura Piłsudskiego miała zapewnioną większość przez zaawansowanie się w jej kierunku klubu „Piasta“, który istotnie oświadczył oficjalnie, że wystawi jego kandydaturę. Narutowicz więc „przypuścił po raz ostatni rozpaczliwy szturm do Piłsudskiego, błagając wprost“, aby zgodził się kandydować.

Tymczasem odbyło się historyczne zebranie w dn. 4 grudnia w gmachu Rady Ministrów, na którem Kom. Piłsudski wyłuszczył motywy, z powodu których nie chce kandydować na Prezydenta Rzeczypospolitej. Stronnictwa lewicy stanęły wobec nowej sytuacji, która je całkowicie zaskoczyła. Narutowicz zaczyna badać grunt dla swego kandydata Maurycego Zamoyskiego, ale szybko

przekonywa się, że ten nie ma szans ze względu na stanowisko „Piasta“, nie mówiąc już o innych stronnictwach lewicowych. Nie posiadała jednak swego kandydata i prawica, która do ostatniej chwili była przekonana, że Piłsudski, mając zapewniony wybór, zgodzi się kandydować, wobec czego zajęta była prowadzeniem czysto negatywnej kampanji przeciwko jego osobie, nie przeciwstawiając żadnego swego kandydata. Innymi słowy, nazajutrz po zebraniu w gmachu Rady Ministrów cała Polska na cztery dni przed Zgromadzeniem Narodowym nie miała kandydatów na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Prawica usiłowała wspólnie z „Piastem“ ustalić kandydaturę, gdyż bez tego stronnictwa nie mogła liczyć na większość. Padały nazwiska Trąpczyńskiego, Hallera, Morawskiego, Paderewskiego—aby natychmiast pogrążyć się w niebycie. Witos bowiem, jak głosiła powszechna fama w kołach politycznych, marzył o tem stanowisku dla siebie. Tymczasem rozeszła się wiadomość, że Piłsudski popiera kandydaturę St. Wojciechowskiego, należącego podówczas do „Piasta“, i którego ostatecznie zdecydowało się wystawić to stronnictwo, jako swego oficjalnego kandydata. „Wyzwolenie“, idące do Sejmu pod znakiem rywalizacji z „Piastem“, zaniepokojone wyborem Rataja na Marszałka Sejmu, zdecydowało się wysunąć własnego kandydata na Prezydenta.

Wybór „Wyzwolenia“ zatrzymał się na Narutowiczu. Zdecydowało o tym wyborze stanowisko prezesa stronnictwa St. Thugutta, który dobrze znał Narutowicza, a głęboko go cenił i szanował.

W następujący sposób motywuje swoją decyzję St. Thugutt w wspomnieniu o Narutowiczu: — „Człowiek wielkiego taktu i ujmujących form towarzyskich, niezwyklej powagi i poczucia odpowiedzialności, człowiek o rzadkich u nas stosunkach światowych i nie mniej rzadkiej u nas znajomości form i treści życia zachodnio - europejskiego wydał mi się najwłaściwszym kandydatem na najwyższe w Państwie stanowisko, które najzupełniej niesłusznie traktuje się u nas jako stanowisko obrazka wiszącego na ścianie lub automatu do przyjmowania posłów zagranicznych. Nie znał, istotnie, nasz kandydat dość gruntownie stosunków krajowych. Ale, po pierwsze, sądziliśmy, że na stanowisko najwyższego reprezentanta Polski potrzebne są przede wszystkim znajomość stosunków międzynarodowych i takt w pośrednictwie między walczącymi ze sobą stronnictwami, powtóre zaś nie wątpię, że wybitna inteligencja naszego kandydata pozwoli mu wżyć się w nasze sprawy wewnętrzne, ściślej mówiąc, pogłębić swoją znajomość tych spraw w czasie jak najkrótszym. Istotną więc przyczyną naszego uporu było najgłębsze moje przeświadczenie, że jest to nie tylko najlepszy z kandydatów, ale jeden z najlepszych ludzi w Polsce“.

Sądzimy, że historia w całej pełni przyzna słuszość posłowi St. Thuguttowi.

Gdy Narutowicz dowiedział się o zamiarach klubu „Wyzwolenia“, poprostu przeraził się tą możliwością, która mu nigdy przez myśl nie przechodziła. Wierny przecież swemu poczuciu obowiązkowości i poważnemu

traktowaniu każdej sprawy, chciał swoją wewnętrzną decyzję skontrolować przez zasięgnięcie opinii Kom. Piłsudskiego. Ten jednak stanowczo odradzał mu przyjęcie tego stanowiska, jednocześnie zupełnie szczerze oświadczając, że jego kandydatem jest St. Wojciechowski, na którego szalę zwycięstwa rzucił wszystkie swoje stosunki i wpływy.

Narutowicz wobec tego oświadczył, że niebardzo wierzy, aby ta kandydatura miała szanse, ale że uczyni wszystko, aby zapewnić jej poparcie tych stronnictw, które mają zamiar głosować na niego, i że swoją kandydaturę stanowczo wycofa. Istotnie, gdy dn. 8 grudnia stawił się u Narutowicza Thugutt, aby prosić go w imieniu swego klubu o pozwolenie wystawienia jego kandydatury na Prezydenta, Narutowicz kategorycznie odmówił, przekładając ze swej strony konieczność, aby lewica wystawiła na to stanowisko jednego wspólnego kandydata, i zalecając ze swej strony St. Wojciechowskiego. Wszelkie perswazje Thugutta nie odniosły skutku, wobec czego zmuszony był wrócić do Sejmu, aby zakomunikować zebranemu klubowi „Wyzwolenia“ o odmownej decyzji kandydata.

Klub jednak nie chciał słyszeć o kandydaturze St. Wojciechowskiego i postanowił jeszcze raz prosić Narutowicza o kandydowanie. Thugutt po raz drugi udał się z decyzją klubu do Narutowicza, który jednak znowu odmówił. Dopiero na energiczne nalegania Thugutta, tłumaczącego, że „Wyzwolenie pod żadnym pozorem nie będzie głosowało na St. Wojciechowskiego, i w ten sposób może przejść kandydat prawicy, któ-

rym w tym momencie był Marszałek Trąpczyński, Narutowicz uległ, stawiając dwa warunki: aby na jego kandydaturę zgodził się Piłsudski i głosowała cała lewica, a więc i „Piast“.

Przyszedł wreszcie pamiętny dzień 9 grudnia 1922 roku. Stronnictwa lewicy nie potrafiły uzgodnić swego stanowiska na naradzie, która odbyła się tego dnia o godz. 9-ej rano. Prawica, sądząc z głosów jej prasy, była spokojna, że w ostatej chwili potrafi znaleźć wspólnego z „Piastem“ kandydata, gdyż wyczuwała wyraźnie, że to stronnictwo idzie w kierunku wytworzenia z nią większości w Sejmie. Piłsudski jeszcze zrana tego dnia ponownie radził Narutowiczowi nie kandydować; w ten sposób warunki Narutowicza nie zostały spełnione, i Thugutt nie powinien był stawiać jego kandydatury. Pomimo to jednak Thugutt zdecydował się tę kandydaturę wystawić i posłał zaufanego człowieka, aby zakomunikował o tem Narutowiczowi i jeszcze raz próbował go przekonać. Narutowicz był głęboko zdenerwowany i zmęczony.

— Odmówiłem wczoraj Thuguttowi. Nie mogę zgodzić się, nie mogę — przerwał odrazu ponowną propozycję.

— A co będzie, jeśli wbrew woli Pana Ministra kandydaturę jego „Wyzwolenie“ postawi, i zostanie Pan wybrany? — spytał wysłannik Thugutta.

— Ha, to trudno — brzmiała odpowiedź, — ale dajcie spokój, zostawcie mnie w spokoju.

Wysłannik Thugutta uchwycił się tego zdania, widząc w niem słabe zapewnienie, że jeśli zostanie wy-

brany, to wyboru nie odrzuci. Rozmowę tę zakomunikował Thuguttowi, który już zresztą oficjalnie kandydaturę Narutowicza zgłosił wobec stronnictw, sam wszakże nie wierząc zbyt w jej zwycięstwo, gdyż „myślałem — pisze w swoim wspomnieniu,— że przyśięci do muru „Piaśtowcy“ głosować raczej będą za Zamoyskim, niż za Narutowiczem“.

Tymczasem zwyciężył ten ostatni. Obóz prawicy, jak wiemy, podniósł niebywały krzyk, wmawiając w społeczeństwo, że Żydzi narzucili Polsce swego Prezydenta. Tymczasem nigdy cała demagogja i mijanie się z prawdą obozu Nar.-Demokratycznego w Polsce nie przejawiało się z taką wyrazistością, jak w danym wypadku.

Narutowicz bowiem zawdzięcza swój wybór jedynie i wyłącznie kłótni prawicy z „Piaśtem“. Gdyby istotnie prawicy chodziło o zasadę, aby Prezydent miał za sobą większość polską, Narutowicz na Prezydenta nie byłby wybrany. Faktycznie jednak chodziło prawicy, jak zawsze, tylko o egoistyczny interes partyjny. Witos do ostatniej chwili nie tracił nadziei, że prawica, widząc, że on nie poprze żadnej jej kandydatury, wysunie jego kandydaturę—w ten sposób istotnie dając dowód, że chodzi jej o zasadę polskiej większości. Z nadzieją na swój wybór zwracał się do prawicy, bo wiedział, że ze strony lewicy nie może być mowy o jego kandydaturze wobec wrogiego stanowiska „Wyzwolenia“. Jak dalece jednak Witos tego pragnął, świadczy fakt, który podaje w swem wspomnieniu Thugutt, że tuż przed rozpoczęciem posiedzenia Zgromadzenia Narodowego zaczął go Witos, pytając, czy

rzeczywiście wysuwa kandydaturę Wojciechowskiego, bo on, Witos, jej nie stawia.

Jak wiadomo, prawica nie ustąpiła Witosowi — wobec czego ten ostatni zgłosił kandydaturę Wojciechowskiego, prawica zaś wysunęła Zamoyskiego — w przekonaniu, że ostatecznie walka rozegra się między tymi dwoma kandydatami. Rozpoczęło się głosowanie. W pierwszym głosowaniu, jak wiadomo, na Narutowicza głosowało tylko „Wyzwolenie“, dopiero w drugim przyłączyły do tej kandydatury swe głosy mniejszości narodowe, zaś P. P. S. oddała swe głosy obok N. P. R. na Wojciechowskiego również dopiero w drugim głosowaniu. Trzecie wreszcie głosowanie dało ostateczny obraz układu sił: Zamoyski—228 kartek, Wojciechowski—150, Narutowicz—158, Baudouin de Courtenay—5, białych—3. Czwarte głosowanie miało rozstrzygnąć pomiędzy Wojciechowskim a Narutowiczem.

Od prawicy zależało, który z nich miał pozostać. Jeśliby prawicy istotnie chodziło o zwycięstwo zasady większości polskiej, to oddałaby swe głosy na Wojciechowskiego, aby w ten sposób uzyskał on większość głosów i został wybrany głosami wyłącznie stronnictw polskich; bowiem w czwartym głosowaniu na Wojciechowskiego głosowały tylko „Piast“, N. P. R. i P. P. S.—dodane więc do tego głosy prawicy dałyby istotnie Prezydenta, obranego nie tylko przytłaczającą większością głosów polskich, ale nawet wyłącznie polskich.

Tymczasem prawicy bynajmniej nie chodziło o triumf zasady, która w drodze precedensu mogłaby istotnie zaważyć na szali życia konstytucyjnego w Polsce.

Chodziło jej wyłącznie o swój partyjny interes zniewolenia „Piasta“ do głosowania na jej kandydata — albo na Narutowicza, a więc wspólnie z mniejszościami narodowymi. Dlatego prawica oddaje kilka głosów... na Narutowicza, aby zapewnić mu przewagę nad Wojciechowskim. Świadczą o tem cyfry czwartego głosowania: Zamoyski 224 (zamiast 228 z poprzedniego głosowania), Wojciechowski 146 (zamiast 150), Narutowicz 171 (zamiast 158), białych 4. Widzimy więc, że głosy odebrane Zamoyskiemu i Wojciechowskiemu dały znaczną przewagę Narutowiczowi nad drugim kandydatem lewicy — Wojciechowskim. Przyszło więc piąte i ostatnie głosowanie, gdzie „Piast“ swemi głosami rozstrzygnął na rzecz Narutowicza. I oto jeśli w czwartym głosowaniu od prawicy zależał wybór Wojciechowskiego w imię zasady większości polskiej, to w imię tej samej zasady „Piast“, gdy upadł jego kandydat, mógł głosować na Zamoyskiego, dając mu swemi głosami zwycięstwo.

Świadomie zairzymaliśmy się tak długo nad szczegółami głosowania, aby wykazać, ile perfidji i nieprawdy było w rzuceniu w masę przez N.-Demokrację i oddanych jej księży famy, że Narutowicz został Polsce narzucony przez mniejszości narodowe, a Żydów w szczególności. O narzuceniu mogłaby być mowa tylko wówczas, gdyby te ugrupowania, które wysunęły zasadę większości polskiej, nie mogły, pomimo szczerej chęci, tej zasady obronić, albo gdyby wybór Narutowicza był sprzeczny z Konstytucją. Jak widzimy i wiemy, ani jedno, ani drugie nie miało miejsca.

W każdym innem państwie, gdzie jest wyższy

poziom kultury, stronnictwa, które poniosły klęskę, pogodziłyby się ze swoją porażką i najwyżej skupiłyby całe swe rozgoryczenie na stronnictwie „Piaśt“, którego decyzja rozstrzygnęła walkę. Natomiast przed obranym Prezydentem schylonoby czoła, jako przed tym, który zgodnie z przepisami Konstytucji stał się wyrazicielem Majestatu i Suwerenności Rzeczypospolitej. Sam zaś fakt głosowania na Narutowicza mniejszości narodowych wykorzystanoby wobec zagranicy, aby stwierdzić, że mniejszości narodowe chcą brać czynny udział w życiu Państwa Polskiego i ponosić odpowiedzialność za jego losy.

Niestety, ku wstydowi Polski stało się inaczej! Odwieczne polskie warcholstwo, próbujące swej siły na Naczelniku Państwa, rozpętało się z niebywałą siłą na wieść, że Narutowicz został wybrany na Prezydenta. Jak ongi po każdej elekcji króla, która zamieniała się w dniu wstydu dla Polski, rozpoczynał się tumult tych, których kandydat przepadł — tak i teraz przegraną w Sejmie walkę przeniesiono natychmiast na ulicę.

Demonstracje rozpoczęły się jeszcze tego samego wieczoru. Jak dalece były one kierowane przez odpowiedzialne koła obozu prawicowego niech świadczy ich opis według relacji „Gazety Warszawskiej“:

„Na wieść, — czytamy w № 377 tego pisma — że Prezydentem ma zostać Narutowicz, zwolennik Belwederu, który uzyskał większość dzięki głosom Żydów, Niemców i innych mniejszości narodowych — z pierśi młodzieży wyrwał się jeden krzyk żywiołowy. Nie chcemy takiego Prezydenta! Nie znamy go! Precz

z Żydami! Okrzyk ten przeleciał przez ulice Warszawy i żywiotowo utworzył się wielki pochód, do którego przyłączyła się młodzież stojąca u wrót Sejmu. W potężnym pochodzie przeciągnięto przez Nowy Świat w Aleje Ujazdowskie, do mieszkania gen. Hallera“. Dalej następuje opis demonstracji i wiecu przed pałacem pp. Dziewulskich, z których gościnności korzystał gen. Haller, gdzie wygłoszono „gorące patriotyczne mowy“, przerywane okrzykami: „Precz z Żydami“, i gen. Haller w odpowiedzi tłumowi między innymi oświadczył, jeżeli wierzyć „Gazecie Warszawskiej“, że „w dniu dzisiejszym tę Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano“.

Następnie pochód udał się pod lokale redakcyj: „Gazety Warszawskiej“ i „2 grosze“. Tu do zebranych przemówił poseł Sadzewicz, którego słowa przytaczamy ściśle znowu według „Gazety Warszawskiej“: — „Zaślepienie lewicy i ludowców — mówił poseł Sadzewicz — sprawiło, że najwyższym przedstawicielem Polski ma być człowiek, który jeszcze dwa dni temu był obywatelem szwajcarskim i któremu nagwał, może już po wyborach na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, sfabrykowano obywatelstwo polskie. W roku 1912-tym Żydzi narzucili Warszawie niejakiego Jagiełłę, jako posła do Dumy rosyjskiej. Dziś posunęli się dalej — narzucili p. Narutowicza na Prezydenta“.

Poseł do Sejmu polskiego nie wiedział o tem, że Narutowicz z chwilą zostania ministrem i złożenia przysięgi na wierność Rzeczypospolitej tem samem stawał się jej obywatelem.

Nie orjentował się też poseł Sadzewicz, że rzucając w mały takie powiedzenie, kompromitował Państwo Polskie, stwierdzając, iż było w niem rzeczą możliwą, aby przez dwa lata ministrem polskim był człowiek, który nie był obywatelem polskim. W rzeczywistości tak, na szczęście, nie było, jednak kompromitująca Polskę fałszywa pogłoska została przez nią rzucona w tłum.

W tym samym numerze „Gazeta Warszawska“ wezwała „patriotyczną Warszawę“ do wzięcia udziału w manifestacji w Al. 3 Maja, zapowiadając ją na dzień następny, to znaczy w niedzielę 10 grudnia.

Stronnictwa bowiem prawicowe natychmiast po wyborze Prezydenta zdecydowały się wejść na drogę jawnego rokoszu — i za wszelką cenę nie dopuścić do zaprzysiężenia nowoobranego Prezydenta. Postanowiono więc wykorzystać niedzielę na zrewoltowanie i podniecenie stolicy.

A więc przedewszystkiem zaczęto od prasy. „Gazeta Warszawska“ napoczekaniu stworzyła nową teorię prawa konstytucyjnego, według której Konstytucja 17 Marca nie jest wyrazem woli narodu, oświadczyła bowiem, że za Narutowiczem stoi litera prawa, więc „naród uszanuje urząd najwyższy i w jego osobie, ale faktem jest i pozostanie, że prawo moralne i wola narodu polskiego nie stoi za nim“. Dziwnie jednak wygląda to „uszanowanie urzędu najwyższego“, bo oto w tym samym № 337 „Gazety Warszawskiej“, dn. 10.XII.22 czytamy następującą charakterystykę Prezydenta Rzeczypospolitej: — „W Polsce nikt nie zna p. Narutowicza,

a p. Narutowicz nie zna Polski. Z pochodzenia kresowiec z kowieńszczyzny, z rodziny litwomianów, od młodości mieszkał w Szwajcarii i tam naturalizowany, nie był znany nawet kolonji polskiej, skupiającej się w kraju Helwetów... Człowiek bogaty w rozmiarach wystarczających, aby nim się interesowała finansjera światowa, przeznaczając go do określonej w Polsce roli wraz z p. Jastrzębskim.

...Obaj są protegowanymi żydowskiej finansjery światowej.

...Ponieważ stosunków polskich nie zna i nawet nie umie dobrze mówić po polsku, więc tem bardziej obóz narodowy nietylko nie pomyślał o nim, jako o kandydacie, ale nawet go zwalczał.

Kto przeczytał poprzednie kartki tej pracy, sam już może ocenić, ile prawdy i słuszności było w tej notatce o najwyższym dostojniku Państwa.

W „Rzeczypospolitej“ z tego samego 10.XII St. Stroński zamieścił artykuł p. t.: „Ich Prezydent“, w którym wypomniał Narutowiczowi, nazywając go „politykiem nieborakiem“, jego artykuł w „Neue Züricher Zeitung“ i skończył następującą patetyczną apostrofą: — „Czy p. Gabryel Narutowicz nie ma poczucia niewysłowionej krzywdy wewnętrznej, jaką wyrządza narodowi polskiemu, przyjmując wybór tak dokonany z podeptaniem najszlachetniejszych zasad tego narodu, który walczył z pokolenia na pokolenie, aby sam, naprawdę sam o swych losach rozstrzygał, oraz czy nie ma poczucia ogromu krzywdy i szkody, jaką wyrządza mu nazewnątrz wobec jego Sprzymierzonych, których lżył

i z których szczył, narzucając się obecnie głosami żydowsko-niemiecko-ukraińskimi na przedstawiciela Państwa Polskiego wobec zagranicy? Wybór ten zdumiewająco bezmyślny, wyzywający, jętrzący, wytwarza stan rzeczy, z którym większość polska musi walczyć i na podstawie którego żadną miarą nie stanie do pracy państwowej, bo to byłoby tylko utrwaleniem rozstroju i zagładą podstawowych pojęć, którymi stoją narody". Tak pisał o Prezydencie Rzeczypospolitej — poseł i redaktor wielkiego dziennika, który mógł mieć niejednego bliskiego krewnego wśród posłów i senatorów żydowskich.

„Gazeta Poranna 2 grosze“ zamieściła artykuł ks. Lutosławskiego w № 338 p. t. „Po wyborze“, w którym ksiądz-polityk woła: — „Co się stało. Jak śmieli Żydzi narzucić Polsce swego Prezydenta? Jak mógł Witos rzucić głosy polskie na żydowskiego kandydata“.

W tym samym numerze tegoż pisma czytamy protest Wydziału Wykonawczego Zjednoczenia Polskich Stowarzyszeń przeciwko „ciężkiej zniewadze, wyrządzonej Narodowi Polskiemu, przez narzucenie na Prezydenta Rzeczypospolitej głosami obcych, wrogich Państwu, narodowości, człowieka o nieściśle określonej uczuciowo Ojczyźnie“.

Tak pisała prawicowa prasa stołeczna na drugi dzień po wyborze. Możliwe sądzić, że były to po prostu głosy zbyt podnieconych publicystów. Jednak nie. Oto tej samej niedzieli 10 grudnia 1922 roku w całej prasie opublikowano oświadczenie Komisji Parlamentarnej Chr. Związku Jedności Narodowej,

w którym również czytamy, że wybór Narutowicza był „ciężką zniewagą pokoleń, które o niepodległość walczyły“, i że „grupy Ch. Zw. Jed. Nar. nie mogą wziąć na się odpowiedzialności za bieg spraw państwowych, w takim stanie rzeczy głęboko niezdrowym, i odmówią wszelkiego poparcia rządowi powoływanym przez Prezydenta, narzuconego przez obce narodowości: Żydów, Niemców i Ukraińców. Stronnictwa Ch. Zw. Jed. Nar. podejmują stanowczą walkę o narodowy charakter państwa Polskiego, zagrożony tym wyborem“. Nieśmiertelny duch stolnika upickiego Sicińskiego wodził ręką autora tego oświadczenia, była to bowiem oficjalna zapowiedź bojkotu państwa i jego władz.

Pierwszym realnym skutkiem tego oświadczenia była decyzja tych stronnictw, by wstrzymać się od udziału w Zgromadzeniu Narodowym w czasie zaprzysiężenia.

Takie oświecenie wyboru Prezydenta, zrobione przez najliczniejszy w Sejmie blok stronnictw, w takim tonie i na takim poziomie kulturalnym utrzymane, otrzymali zrana ci mieszkańcy stolicy, którzy ufali stronnictwom prawicowym. Nic też dziwnego, że wiec, zwołany w Alei 3 Maja, zamienił się we wrogą demonstrację tłumu, który włóczył się po ulicach Warszawy, zaczepiając Żydów i robiąc awantury przed gmachem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W taki sposób część Warszawy święciła obiór pierwszego Prezydenta wskrzeszonej Rzeczypospolitej — początek wprowadzenia w życie Konstytucji 17 Marca, oraz zgodne nie tylko ze wszystkimi jej przepisami, ale co ważniejsze, i z jej

duchem dokonanie wyboru Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej.

I znów, aby zachować bezstronność, przytaczamy opis niedzielnych wypadków według relacji „Gazety Porannej 2 grosze“ z dn. 11 grudnia 1922 r.:

„Sobotni odruch zamienił się wczoraj w żywiołowy protest, który znalazł wyraz w wielotysięcznym zgromadzeniu w Alei 3-go Maja, gdzie przemawiali liczni mówcy z pośród młodzieży akademickiej oraz poseł prof. St. Grabski.

Następnie rozwinął się imponujący pochód, który ruszył przed dom gen. Hallera.

Tu przemówił pos. Iłski, poczem wyszedł na balkon gen. broni i poseł na Sejm Józef Haller, który zobrazował obecną sytuację, wytworzoną przez narzucenie Polsce Prezydenta głosami obcych i wrogich nam narodowości. Mówca nawoływał do walki z wrogami przez popieranie swoich, a więc unikanie Żydów, wyrażając wkońcu nadzieję, że o ile obecny odruch stolicy nie będzie słomianym ogniem — zwyciężymy.

Po odśpiewaniu „Roty“ manifestanci udali się przed Sejm, gdzie wznoszono wrogie okrzyki przeciw lewicy sejmowej i Witosowi.

Tu przemówił do zebranych ks. poseł Nowakowski. Przemówienie, pełne patriotyzmu, przyjęto burzą oklasków, poczem ruszono dalej, kierując się do hotelu Europejskiego, gdzie mieszkał pan Narutowicz (obecnie mieszka w Łazienkach).

Przed poselstwem włoskiem wznoszono okrzyki na cześć Mussoliniego i Włoch.

Po przybyciu przed hotel urządzono „kocią muzykę“, poczem nastąpiły przemówienia, przyczem między innymi zabierali głos poseł Szczepaniak z Pomorza i poseł Ilski.

Mówców darzono huraganem oklasków. Wznoszono nieustanne okrzyki przeciw Narutowiczowi, Witosowi i lewicy sejmowej.

Żywiołowe manifestacje ludności stolicy znalazły ostateczny wyraz w uchwałach wiecu w Tow. „Rozwój“.

Nieliczone tłumy, nie mogąc pomieścić się w lokalu Tow. i na schodach, zgromadziły się na ulicy, to też poszczególni mówcy przemawiali na sali z balkonu.

Kolejno głos zabierali: ks. poseł K. Lutosławski, Dymowski, ks. Wyrębowski, red. Wierczak i inni.

Mówców przyjmowano owacyjnie.

Pod koniec wiecu zebrani uchwalili następującą rezolucję:

Lud polski i katolicki, wstrząśnięty do głębi niesłychaną czelnością Żydów i prowadzonych przez nich w Zgromadzeniu Narodowym posłów niepolskich, którzy wbrew większości głosów polskich ośmielili się narzucić Polsce swego kandydata na prezydenta, żąda:

1) od p. Gabrjela Narutowicza, aby tej zniewagi narodowi wyrządzonej nie potwierdzał swoją zgodą — przysięgą, i godności, ofiarowanej mu przez obcych świętokradców, nie przyjmował;

2) żąda od posłów Piastowych, przez Witosa na haniebne szlaki zdrady narodowej sprowadzonych, aby po męsku uznali swój błąd i z całą stanowczością nawrócili ze zgubnej drogi zaprzaństwa narodowego;

3) żąda od posłów narodowych zdecydowanej i bezwzględnie solidarnej walki z bezczelnymi uroszczeniami Żydów aż do wyzwolenia Polski z tej haniebnej niewoli.

Nadto wybrano delegację, złożoną z 19 osób z pośród przedstawicieli wszystkich warstw społecznych, która udała się do Min. Spr. Zagranicznych, celem wręczenia uchwały p. Narutowiczowi, lecz policja nie dopuściła jej do gmachu. Nie pomogło też zwrócenie się do komisarza rządu.

Delegaci przybyli do redakcji naszego pisma i złożyli oryginał uchwały, prosząc o zamieszczenie, a to w nadziei, że tekst jej dojdzie p. Narutowicza“.

Następnie, już po wypadkach z dn. 11 grudnia, prokuratorja państwowa zażądała od Sejmu wydania posłów: Dymowskiego, K. Ilskiego, ks. Wyrębowskiego, gdyż ustaliła, że na wiecu w „Rozwoju“ nawoływali do tego, aby młodzież zajęła wyloty ulic, prowadzących do Sejmu, i nie dopuściła do gmachu posłów i senatorów, oraz zatrzymała powóz Prezydenta, gdy ten jechać będzie, aby złożyć przysięgę.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jednocześnie posłowie i senatorowie prawicowi uchwalili nie stawić się na Zgromadzenie Narodowe, to jasnym się staje, że zorganizowany był jawny zamach stanu. Zamach zmierzał do tego, by siłą nie dopuścić do odbycia Zgromadzenia Narodowego i złożenia przysięgi przez nowoobranego Prezydenta, a więc tem samym miał wprowadzić stan prawnego zamieszania, który w konsekwencji, gdyby te plany udały się, prowadził do

przekreślenia Konstytucji 17 Marca. Trzeba zauważyć, że według regulaminu Zgromadzenia Narodowego, przewodniczący w 15 minut po ustalonej godzinie dla rozpoczęcia Zgromadzenia musi je otworzyć. Gdyby 15 minut minęło, a Prezydent nie nadjechałby jeszcze, mogłaby prawica zakwestjonować legalność zaprzysiężenia.

Jak dalece cały ten krzyk o narzuceniu swego kandydata Polsce przez mniejszości narodowe, o zniewadze narodu, o zamachu na godność przez świętokradców — Żydów i t. p. był sztucznie robiony, stwierdza chociażby oświadczenie stronnictwa „Piast“, wydrukowane w porannych pismach już w niedzielę 10 grudnia. W oświadczeniu tem stronnictwo, którego nikt nie może posądzać o zaprzękanie się Żydom i mniejszościom narodowym, a które poprzedniego dnia wybierało marszałka Sejmu i Senatu wspólnie z prawicą, a w kilka miesięcy później tworzyło wspólny rząd — wyraźnie stwierdziło, że ono zdecydowało o wyborze Narutowicza, motywując to tem, że nie mogło głosować na Zamoyskiego, największego właściciela ziemskiego w Polsce.

Tymczasem widzieliśmy, że stronnictwa prawicowe — oczerniając osobę tylko co obranego Prezydenta, podając w wątpliwość jego polskość, robiąc z niego szarą, nikomu nieznaną osobistość, oraz przedstawiając ten wybór jako zniewagę narodu — usiłowały wyolbrzymić swą własną klęskę do rozmiarów jakiegoś straszego upokorzenia całego narodu.

Widzieliśmy również, że podburzaniem tłumu

i młodzieży, którzy istotnie mogli nie wiedzieć kim był Narutowicz w oczach całej Europy, rzucaniem kalumnij na człowieka, który wszystko robił, aby nie być wybranym na to wysokie stanowisko, kierowali wybitni posłowie z prawicy, jak: St. Grabski, J. Haller, ks. Lutosławski, A. Sadzewicz, K. Ilski, ks. Wyreńbowski, ks. Nowakowski, St. Stroński, T. Dymowski, którzy doskonale zarówno wiedzieli kim był Narutowicz i jaki był jego istotny stosunek do Polski przez całe życie, jak i to, że o wyborze Narutowicza zdecydowali „Piastowcy“!

Jakże tymczasem przyjął wiadomość o swym wyborze ten, którego imię w okamgnieniu, z chwilą gdy stało się własnością narodu, wyrazicielem jego honoru i godności, zaczęto włączyć po ulicach stolicy wśród wyzwisk, obelg i oszczerstw?

Sprzeczne uczucia musiały szarpać duszę tego skromnego i pięknego człowieka. On, który jechał do Polski z myślą odbycia swej powinności wojskowej — tak daleki od jakichkolwiek ambicyj politycznych — ma zostać Najwyższym Dostojnikiem umiłowanej Ojczyzny.

Gdy sekretarz jego osobisty A. Tarnowski po ostatniem głosowaniu zakomunikował mu telefonicznie, że został wybrany na Prezydenta, usłyszał łkanie Narutowicza i pełne skargi i żalu, słowa: — „Co wyście mi narobili, co wyście mi narobili“.

Trzeba było decydować się, bo lada chwila mieli przyjechać marszałkowie: Rataj i Trąmpczyński i prezydent ministrów Nowak, aby zakomunikować o wyborze i zapytać, czy przyjmuje zaszczytny urząd.

Zaprasza więc niezwłocznie kilku swych przyjaciół, aby naradzić się, jaką ma dać odpowiedź. Jeden z uczestników tej narady, prof. St. Kętrzyński, tak opisuje jej przebieg: — „Kiedy około godz. 7¹/₂ wiecz. przyszła wiadomość o rezultacie wyboru, ś. p. Narutowicz przeprowadził w mej obecności w zaufanem gronie rozmowę na temat nieprzyjęcia tej zaszczytnej godności. Pytał ze łzami w oczach, czy ma spełnić ten obowiązek sumienia obywatelskiego i przyjmując godność, przepisami Konstytucji mu nadaną. Po długiem wahaniu i walce wewnętrznej zdecydował się powiedzieć: „tak“, za co miał zapłacić życiem“.

Poznaliśmy już należycie prawą naturę Narutowicza i jego stosunek do Rzeczypospolitej, pełen niemal kornego posłuszeństwa do jej nakazów. Z chwilą gdy wybór został dokonany, pomimo że stało się to wbrew jego woli, jego osoba odchodziła na plan dalszy. W grę natomiast wchodziły zagadnienia zasadniczej wagi. A więc przede wszystkim jego wybór był zwycięstwem lewicy, tem większem, iż jednocześnie spowodował przesunięcie się do obozu lewicy chwiejnego a rozstrzygającego w Sejmie stronnictwa „Piast“— w ten sposób więc jak gdyby nakreślał dalsze drogi rozwoju stosunków politycznych w Polsce, a w każdym razie odsuwał widmo rządów reakcji. Nieprzyjęcie wyboru mogło rozwiązać ręce „Piastowi“, po zatem kompromitowałoby lewicę, że wybór zatrzymała na kandydacie, który sam stwierdziłby, nie przyjmując wyboru, że nie dorósł do tego zaszczytnego stanowiska. Wreszcie, zrzeczenie się byłoby przez pra-

więc napewno wytłumaczone jako aprobata przez Narutowicza jej — napoczekaniu wobec klęski wyborczej ukutej — teorii większości polskiej — gdy tymczasem, jak widzieliśmy, Narutowicz był gorącym zwolennikiem polityki tolerancji i zaufania w stosunku do mniejszości narodowych — i to, że jego kandydaturę poparły mniejszości narodowe, mogło być tylko zjawiskiem wysoce dodatniem w jego oczach, jako dowód, że na stanowisku Prezydenta będzie miał zaufanie nie tylko wszystkich polskich stronnictw ludowych, ale ogromnej większości wogóle obywateli Rzeczypospolitej, między którymi Konstytucja 17 Marca nie robi żadnych różnic.

A więc w ten sposób swoim zrzeczeniem się mógłby przyczynić się do stworzenia precedensu, sprzecznego z duchem Konstytucji 17 Marca. Wreszcie, gdy delegacja Zgromadzenia Narodowego jechała na Wierzbową do gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych — już agitatorowie endeccy rzucili w tłum żagiew tumultu. Zrzeczenie się więc mogło być zrozumiane jak strach przed ulicą, uleganie woli tłumy ulicznego, co równałoby się przekreśleniu powagi Zgromadzenia Narodowego, stwarzając na przyszłość wręcz już groźny precedens, że Prezydentem zostanie ten, za kim najgłośniej będzie krzyczała rozagitowana ulica.

Z tych wszystkich względów zrzeczenie się przez Narutowicza narzuconego mu mandatu byłoby aktem głębokiego egoizmu lub tchórzostwa, przykładaniem ręki do obracania w świstek papieru poczynającej wchodzić w życie Konstytucji 17 Marca.

Ale Narutowicz nie był ani egoistą, ani tchórzem, ani człowiekiem nie umiejącym patrzeć w przyszłość i nie rozumiejącym, jakie polityczne skutki miałyby jego zrzeczenie się. Polska demokracja godnego znalazła kandydata na stróża Konstytucji Rzeczypospolitej i godności narodu polskiego.

Dlatego też walka wewnętrzna w duszy Narutowicza była krótka — w imię interesu Rzeczypospolitej nie usunął się od tego ciężaru, którym go obarczono wbrew jego woli.

I gdy delegacja przyjechała—zastała go już skupionego i spokojnego, aczkolwiek przejętego powagą chwili. Na zapytanie, czy przyjmuje wybór, oświadczył, że wybór jest dla niego niespodzianką, tem większą, że gorąco prosił swych zwolenników, aby kandydaturę jego cofnęli, ale ulegając wyraźnej woli Zgromadzenia Narodowego, wybór przyjmuje. Zostało ułożone, że zaprzysiężenie odbędzie się w poniedziałek 11 grudnia, o godz. 11 rano.

Zmęczony pełnym tak wzniostych i silnych wrażeń i przeżyć dniem, Narutowicz pojechał wkrótce do Łazienek, gdzie mieszkał w jednym z domków pałacowych.

Przeniósł się tu z hotelu na dłuższy czas przedtem, wtedy gdy przyjechał do Warszawy na stałe syn jego Stanisław po ukończeniu szkoły średniej w Szwajcarii. Narutowicz wobec tego zlikwidował biuro, sprzedał prof. Rohnowi swój dom na Dolderze, meble, obrazy, bibliotekę, kolekcję broni kazał wysłać do Polski, synowi zaś polecił zabrać ze sobą ulubioną ro-

ślinę Matki, z ogrodu przez nią tak pielęgnowanego. Budował bowiem na Parkowej dom-willę, i chciał chociażby w części odtworzyć swój dom na Dolderze, gdzie upływały najlepsze i najszcześniejsze dni jego osobistego życia. Ostatnie więc węzły, wiążące jeszcze z przybraną Ojczyzną, zostały zerwane. Pozostała tam jedynie mogiła wiernej towarzyszki życia, szacunek i przyjaźń dzielnego narodu. Tu zaś, w stolicy Polski, dla której na schyłku życia zrujnował swoje ognisko domowe, rzucił pracę twórczą, która dała mu sławę, gdy jutrzejszy Prezydent Rzeczypospolitej wracał do domu do Łazienek, przejeżdżając Nowym-Światem i demonstrujący tłum poznał jego auto — posypały się uderzenia lasek w karetkę auta, goniły go obelgi i pogroźki.

W niedzielę, jak zwykle, Narutowicz pracował do 2-giej w Min. Spr. Zagr., gdzie między innymi przyjmował życzenia od swych kolegów-ministrów, wyższych urzędników swego resortu i korpusu dyplomatycznego. I znowu, gdy wracając do domu, przejeżdżał ulicami, tłumy dopuszczały się ekscesów, krzycząc: „Precz z Narutowiczem“, „Hańba mu“!

Zrozumiałem więc byłoby, gdyby zawrzał w jego sercu gniew i żal do tych, dla których dobra poświęcił się sprawom publicznym; gdyby zaprzysiągł walkę nieubłaganą tym, którzy przeciwko niemu — staremu profesorowi, podburzali młodzież polską, która obelgami, rzucanymi pod jego adresem, wystawiała sobie w oczach kulturalnej Europy najsmutniejsze świadectwo.

A tymczasem nie uczucie gniewu i nienawiści rozsadzało serce tego, który miał stać się za kilka dni Pierwszym Obywatelem Państwa, — lecz uczucie bezgranicznej miłości. Z wrodzoną bowiem sobie sumiennością zaczynał myśleć o tych nowych obowiązkach, które na niego włożono, o zasadach, któremi ma się kierować na tem nowem tak zaszczytnem, ale i tak odpowiedzialnem stanowisku.

Chce być ojcem narodu—wyrozuśniałym, dobrym, ale sprawiedliwym i bezstronnym wobec wszystkich swych dzieci.

W papierach pośmiertnych Narutowicza znaleziono szkic przemówienia, które chciał wygłosić jeszcze przed zaprzysiężeniem. Szkicował je wówczas, gdy coraz bardziej rozpalano w tłumach nienawiść ku niemu.

Szkic tego niewyголоszonogo przemówienia pozostanie w dziejach polskiej myśli politycznej jednym z najpiękniejszych dokumentów—niechże więc ten akt wiary pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej stanie się powszechną własnością i niech zapadnie głęboko w serca wszystkich tych, którzy życiu publicznemu chcą się poświęcić.

„Jestem wybrany przez większość Zgromadzenia Narodowego i uważam to za prawną uchwałę, obowiązującą mnie do reprezentowania całości Państwa Polskiego i pracy dla dobra całego narodu.

Dlatego też dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień oświadczam przed złożeniem przepisanej przez Konstytucję Rzeczypospolitej przysięgi, że nikt z tych, którzy głosowali na mnie, nie ma wobec mnie

żadnych szczególnych praw, ani z mej strony żadnych szczególnych zobowiązań.

Z obowiązku mego urzędu i z głębokiego wewnętrznego przekonania będę zachowywał bezstronność w stosunku do wszystkich bez wyjątku obywateli. Równymi więc będą dla mnie i równą miarą traktować będę tych co głosowali na mnie, jak i tych co głosowali inaczej. Nie chcę pierwszych uważać za wyłącznych moich przyjaciół, a drugich za moich przeciwników“.

Wzniósł ten akt wiary nie był wypowiedziany, ale pozostał testamentem dla przyszłych Prezydentów i pięknym świadectwem wobec przyszłych pokoleń dla tych, którzy wysunęli i obdarzyli Najwyższym Urzędem człowieka tej miary i tak pięknej duszy.

Nie mogły być bowiem te słowa wypowiedziane wobec wypadków w dn. 11 grudnia i zachowania się stronnictw prawicowych.

W tych warunkach owe słowa dobroci i wzniosłej bezstronności, ale jednocześnie pełne siły i powagi, byłyby zrozumiane jako zabieganie o pogodzenie się i przebłaganie rebeljantów — a więc byłyby aktem słabości i poniżenia. Pozostawało więc tylko dumne milczenie wobec szerczących rebelję, spokojne przechodzenie nad nimi do porządku dziennego, jak nad pigmejczykami, wypowiadającymi wojnę niewzruszonej i wielkiej potędze Majestatu Rzeczypospolitej.

Przyszedł wreszcie tak smutny w dziejach narodu polskiego dzień 11 grudnia, którego historję przyszłe pokolenia czytać będą ze wstydem i męką niewymowną.



VIII

ZAPRZYSIĘŻENIE I OBJĘCIE WŁADZY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Początkowo było ułożone, że w poniedziałek zrana Narutowicz pojedzie do Minist. Spraw Zagr., gdzie pożegna się ze swymi współpracownikami i stąd w towarzystwie premjera Nowaka, który po niego przyjedzie, uda się na Zgromadzenie Narodowe.

Tymczasem gorszące awantury, których widownią była Warszawa w niedzielę, spowodowały zmianę powyższego planu w ten sposób, że premier Nowak miał przyjechać po Narutowicza do jego mieszkania w Łazienkach i stąd, w asyście szwadronu szwoleżerów, mieli udać się razem do gmachu sejmowego Aljami Ujazdowskimi i ul. Piękną.

Narutowicz bardzo niechętnie zgodził się na tę zmianę, gdyż nie podzielał obaw swego otoczenia, nie mogąc dopuścić myśli o jakichkolwiek awanturach; poprostu, jako Europejczyk, nie rozumiał, o co chodzi jego przeciwnikom wobec faktu, że wybór jego został dokonany zgodnie z prawem.

Tymczasem zbliżała się godzina wyjazdu na Zgro-

madzenie Narodowe. Przyjechał szef Protokołu Dyplomatycznego Stefan Przeździecki, który na własne oczy widział obleganie dróg, wiodących do Sejmu. W otoczeniu Prezydenta począł się wytwarzać nastrój zdenerwowania. Czekano na przyjazd premiera Nowaka. I oto nagle szef kancelarji cywilnej Car otrzymuje z Prezydjum Rady Ministrów telefon, że premier Nowak nie przyjedzie. Na zapytanie: dlaczego — telefonujący wyższy urzędnik odpowiedzieć nie mógł. Nie spodziewane wycofanie się premiera Nowaka dawało dużo do myślenia.

Jednocześnie bowiem nadchodziły coraz to bardziej niepokojące wieści z miasta. Oto, okazało się, że wszystkie ulice, przylegające do Sejmu, są zapełnione wzburzonym tłumem, który sądząc, że przyjazd Prezydenta nastąpi od strony N.-Świātu, postanowił nie dopuścić go do Sejmu i w ten sposób uniemożliwić mu złożenie przysięgi. Jednocześnie przychodziły wiadomości o grasowaniu bojówek, mających swój sztab w lokalu „Rozwoju“, które znieważały posłów i senatorów z obozu lewicowego, oraz dopuszczały się szykan w stosunku do posłów obcych mocarstw, rewidując ich papiery. Wreszcie, zaczęły dochodzić echa strzałów na placu Trzech Krzyży — gdzie bojówki faszystowskie powitały ogniem z rewolwerów pochód robotniczy, spieszący z pomocą uwięzionym posłom: Limanowskiemu i Daszyńskiemu. Wszystkiemu temu biernie przyglądała się policja, a wyższe władze z ministrem Spraw Wewnętrznych okazywały całkowitą bezradność.

W tych warunkach zawiadomienie o wycofaniu się premjera Nowaka świadczyło niejako o tem, że ci, którzy depczą Konstytucję, biorą górę.

Nadomiar wszystkiego, pomimo że zbliżała się 12 godz. — nie zjawiał się szwadron szwoleżerów, którzy mieli stanowić asystę Prezydenta. Pojechał więc po nich Car, aby przyspieszyć ich przybycie.

Ze zdumieniem i goryczą przyjmował wszystkie te wiadomości Narutowicz. Widział wśród najbliższego otoczenia niepokój o swoją osobę, wiedział, że w mieście górę bierze zmowa i szaleje terror ulicy. Pomimo to nie zachwiał się na chwilę. Postanowił swój obowiązek spełnić do końca.

A tak łatwo było cofnąć się; dość było skorzystać z pretekstu, że premier Nowak nie przyjedzie, i oświadczyć, że bez niego, jako przedstawiciela rządu, nie uda się na Zgromadzenie Narodowe. A wówczas minęłoby 15 minut po 12-tej, przewodniczący Zgromadzenia, zgodnie z regulaminem, otworzy posiedzenie, stwierdzi nieobecność Prezydenta. Na ten moment czekał obóz rebeljantów — i on już ująłby w swe ręce dalszy bieg wypadków, co nie byłoby rzeczą trudną wobec zachowania się p. Nowaka oraz innych ministrów i wyższych urzędników, którzy potracili głowę lub zajęli wyraźnie wyczekujące stanowisko.

Ale Narutowicz daleki był od wchodzenia na drogę tchórzostwa lub rezygnacji. Gdy po kilkakrotnych nadaremnych rozmowach telefonicznych z Prezydum Rady Ministrów stwierdzono, że p. Nowak istotnie nie przyjedzie — Narutowicz zdecydował się

jechać sam. Jednak wobec protestu otoczenia Narutowicza ostatecznie stanęło na tem, że pojedzie z Nim p. Stefan Przeździecki, jako najbardziej nadający się do asysty ze względu na swe stanowisko. P. Przeździecki zachował się rycersko, z całą bowiem gotowością natychmiast zgodził się jechać z Prezydentem, pomimo że niedawno przejeżdżał ulicami Warszawy i widział wzburzony tłum.

Tymczasem otoczenie Prezydenta pod wrażeniem coraz to bardziej niepokojących wiadomości o sytuacji na ulicy zaczęło prosić go, aby zamiast Alejami Ujazdowskimi i Piękną, zgodził się pojechać Myśliwiecką i Górną wprost na Wiejską, gdyż ulice te były całkowicie wolne. Narutowicz kategorycznie odmówił, a gdy zaczęto nalegać, twierdząc, że może grozić niebezpieczeństwo jego życiu, wyjął z kieszeni rewolwer, który przez całe życie nosił przy sobie, i położył go na stole ze słowami: — „Niech zabijają. Sam się bronić nie będę, bo to nie wypada Prezydentowi Rzeczypospolitej, którego winno bronić państwo. Aby instynkt samozachowawczy nie zapanował w ostatniej chwili nad moją wolą — zostawiam tę broń, którą zwykle mam przy sobie“.

Wobec takiego stanowiska Narutowicza otoczenie jego uległo i wreszcie, gdy tylko nadjechali sprowadzeni przez p. Cara szwoleżerowie — Narutowicz w asyście p. Przeździeckiego pojechał na Zgromadzenie Narodowe wytkniętą poprzednio drogą, a więc Alejami Ujazdowskimi.

Niestety, istotnie Prezydentowi Rzeczypospoli-

tej, jadącemu ulicami stolicy Polski, groziło niebezpieczeństwo, gdyż te organy, którym państwo porucza pieczę nad bezpieczeństwem wszystkich swych obywateli, nie umiały obronić Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej od zniewag tłumu sztabaków, studentów i podnieconych przez tłum dewotek i histeryczek. Aby jednak nie posądzono nas o stronność, dajemy opis tych potwornych wypadków, które miały miejsce przy przejeździe Prezydenta, według relacji „Gazety Warszawskiej“ z dn. 11 grudnia 1922 r.

„O godz. 12-tej zjawił się od strony Belwederu — pisze „Gazeta Warszawska“ — szwadron ułanów. Manifestanci, zgromadzeni około ul. Pięknej, zastawili ulicę ławkami i zgromadzili się na środku ulicy. Wówczas szwadron policji konnej dokonał szarży na tłum, który się rozstał. Za policją wjechał galopem powóz, wiozący Prezydenta Narutowicza, za którym pospieszał nowy oddział policji konnej. Wśród tłumu rozlegają się okrzyki, sypią się grudki śniegu, z których kilka trafiło Prezydenta Rzeczypospolitej w twarz.

Manifestacja miała przebieg naogół spokojny“.

I oto wówczas, gdy młodzież akademicka w uczynego światowej sławy rzuca kamieniami i laskami, wita Prezydenta Rzeczypospolitej straszliwymi obelgami i przezwiskami, zagradza mu drogę barykadą — naczelny organ jednego z najliczniejszych stronnictw nazywa to wszystko „spokojną manifestacją“. A jak ta „spokojna manifestacja“ wyglądała w rzeczywistości, mamy świadectwo z ust samego Narutowicza. Oto co opowiadał o niej w kilka godzin później swej sio-

strzenicy Kodisównie, która jadła z nim obiad w Łazienkach.

„Przy obiedzie — pisze Kodisówna — zauważyłam guz na czole Wuja. Zdziwił się. „To kamieniem ktoś trafił, w cylindrze mam kilka dziur. Jeden chciał mnie w głowę kijem uderzyć. Na końcu była umocowana żelazna gałka. Myślałem: czy ty mnie tak spokojnie zabijesz. I zająłem mu w oczy — spuścił wzrok i łaskę“. Potem — opowiada dalej siostrzenica Narutowicza — Wuj dziwił się, czemu ludzie robią te awantury.

— Przeciw mnie osobiście nic mieć nie mogą. Nie zrobiłem im nic złego!

Opowiadał, jak szlachetnie znalazł się jadący z nim zamiast p. Nowaka, szef Protokołu p. Przędziecki, który, narażając siebie, starał się tłum uspokoić i zawstydzić“.

Takie było zachowanie się wobec Prezydenta Rzeczypospolitej tłum młodzieży — pchniętej do tego haniebnego kroku przez niesumiennych polityków z obozu prawicy.

Ale to dwudniowe podniecanie tłumów przy pomocy insynuacyj i oszczerstw, cyniczne eksploatowanie uczuć łatwowiernej młodzieży, nieprzytomna naganka w prasie, demoralizowanie władz państwowych i organów bezpieczeństwa, obrażanie przedstawicieli państw zagranicznych, znieważanie posłów, senatorów, wskrzeszenie najstraszliwszego upiora Polski Upadającej — zrywania Sejmów przez nieobecność na sali w czasie zaprzysiężenia, — zagradzanie barykadami drogi Prezydentowi, jadącemu spełnić przepisy Konstytucji —

słowem cały ten szeroko zakrojony plan poszedł na marne.

Gdyby nie niedołążne wykonanie, potworny ten plan przekreśliłyby Konstytucję 17 Marca; a tak pozostawił jedynie w jej dziejach, ku naszej hańbie, krwawą i ponurą plamę.

Dzięki jednak energii i zdecydowaniu p. Cara, kierującego programem zaprzysiężenia, oraz rycerskiemu zachowaniu się p. Stefana Przeździeckiego, powóz z Prezydentem w kilka minut po 12-ej już był w obrębie Sejmu.

Narutowicz, jak opisują świadkowie, był poprostu oszołomiony tem, co przeżył; nie mógł zrozumieć bierności władz i później jeszcze często powtarzał, że do końca życia (niestety już niedługiego) nie zapomni widoku policjantów w Alejach Ujazdowskich, którzy, wyprężeni jak struny, salutowali go, a jednocześnie jak gdyby nie widzieli tłumu, biegnącego z laskami i kamieniami za powozem Prezydenta.

— Panie Mecenasie, co mam robić— były pierwsze słowa Narutowicza do p. Cara, który oczekiwał go przed Sejmem. Na zapewnienie, że nie trzeba zwracać uwagi na wybryki ulicy, odpowiedział: •

— Tak, muszę przysięgać, nie mogę ustąpić przed ulicą, inaczej wstydzilibym się sam siebie.

W gabinecie marszałka Sejmu oczekiwał Narutowicza w gronie innych ministrów i dygnitarzy... premier Nowak.

Może kiedyś, w pamiętnikach swych, wytłumaczy swój postępek, i wtedy dopiero dowiemy się, co było

pobudką naczelnika rządu, premjera, który widział co się dzieje w mieście, miał obowiązek towarzyszyć Prezydentowi, a zawiadomił go, że przybyć nie może i... przybył do Sejmu, ale przybył sam, inną, bezpieczniejszą drogą, przybył cały i przez nikogo nie napastowany.

Zamach na Zgromadzenie Narodowe nie udał się.

Przysięga została przez Narutowicza złożona. Spokój, głęboka powaga i szczerść, z jaką wymawiał słowa przysięgi, porwały obecnych posłów i senatorów, którzy zgotowali Narutowiczowi serdeczną i gorącą owację.

Konstytucja została uratowana — Polska miała już zgodnie z prawem obraną i zaprzysiężoną Głowę Państwa. Chwiejni przestali chwiać się, spiskowcy, na wieść o strzałach na ulicy, przerazili się swego dzieła i zbrali na naradę, jak uspokoić wzburzony tłum, czując, że po tej nowej swej klęsce stają wobec opinii własnego narodu i obcych, jako krzykliwi, lecz nie-dołężni i śmieszni warcholi.

Minął paraliż, który obezwładnił ministrów i wyższych urzędników — powrót Prezydenta Narutowicza do Łazienek odbył się bez przeszkód, jedynie przy okrzykach i wyzwiskach usuniętych przez wojsko demonstrantów, gdyż pomimo nalegań Narutowicz nie zgodził się wracać w aucie, a pojechał znowu w otwartym powozie i tą samą drogą, którą przyjechał do Sejmu.

„Byłem natychmiast po zajęciach z wizytą u G. Narutowicza — pisze J. Piłsudski; — siedział w fotelu

głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. Wskazał mi rewolwer, leżący opodal, i powiedział: „Uprowadzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelałem bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić“. Była w tem gorycz głęboko zawiądnionego w swych uczuciach człowieka. Odrazu przypomniał tak częste rozmowy ze mną na temat mojej bezwzględności sądów. „Ma pan rację—mówi mi—to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku“.

O tak, nie umiał deptać po karku, a tem bardziej bić po pysku — ten człowiek, przesiąknięty radością, swobodą życia i szacunkiem dla Człowieka w Zachodniej Europie.

I oto pomimo całej goryczy i rozczarowania, pomimo iż nie taką okazała się ta Polska, do jakiej przez całe życie tęsknił, wrodzona dobroć prędko bierze w nim górę. Nietylko sam stara się zapomnieć o wypadkach 11 grudnia, ale łagodzi gniew i oburzenie innych.

Już tego samego dnia, gdy zaczął z nim na ten temat rozmowę major Polkowski, Narutowicz z wyrozumiałością i dobrocią starego profesora, który nie mógł wyrwać z serca miłości dla młodzieży, zauważył:

— Lepiej, że ja oberwałem, niż gdyby policja skrzywdziła którego z tych małych chłopców, biorących udział w tej łobuzerce ulicznej. Przecież oni nie winni. Bezmyślność tej burdy ulicznej bije każdego w oczy, gdyż przecież krzykami kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset smarkaczy nikt kierować się nie może. Sytuacja

jest dla mnie bardzo przykra, gdyż nie chodzi mi o moją osobę, nie mogę jednak dopuścić do poniżenia godności Rzeczypospolitej“.

Ale dla tej wyrozumiałości tem więcej mogło być miejsca w jego dobrym sercu, że ze wszystkich stron napływały dowody, iż nietylko ogromna większość społeczeństwa z oburzeniem potępiła demonstracje, ale zaczęli wypierać się wszelkiej solidarności z demonstrantami nawet i ci, którzy tłumy do ekscesów podniecali.

Gen. Haller, jako Prezes Obyw. Kom. Obrony Państwa, podpisał odezwę wzywającą do zaprzestania rozruchów i szanowania Konstytucji. Uczyniła to samo Chrześcijańska-Demokracja.

A jednocześnie szła fala protestów przeciwko zajęciom 11 grudnia ze wszystkich stron kraju. Potępili udział w nich młodzieży Rektory Szkół Akademickich Stolicy i Związek Bratnich Pomocy Młodzieży Akadem.

Jak zawsze w takich wypadkach, nastąpiła w społeczeństwie reakcja. Jeszcze wczoraj ogromnej większości nieznany bliżej, nowoobрани Prezydent — po tych głupich i zarazem okrutnych awanturach ulicznych, po tej nieudanej próbie wskrzeszenia potwornej tradycji zrywania Sejmów i wszczynania rokoszów — stał się bliskim społeczeństwu, które musiało ocenić i uszanować w nim godność i powagę jego zachowania się wobec terroru ulicy, musiało odczuć cały ogrom niezasłużonej krzywdy, wyrządzonej człowiekowi, który oddał się całkowicie Narodowi, zgłaszając się do służby obywatelskiej.

Jednocześnie z tą wciąż rosnącą falą uznania i moralnego poparcia wśród coraz to szerszych kół społeczeństwa w kraju przychodziły wiadomości i dowody, że zagranica przyjęła wybór Narutowicza z największym uznaniem.

Pierwszym dowodem tego uznania, a tak znamienym, była depesza do Narutowicza od Prezydenta Francji Milleranda, utrzymana w niezwykle serdecznym tonie, w której Millerand między innymi wręcz nazwał wybór Narutowicza „szczęśliwym wykonaniem Konstytucji, którą sobie Polska sama swobodnie nadała“.

Specjalną audjencję otrzymał u Prezydenta Narutowicza poseł włoski Tomassini, aby z polecenia Mussoliniego złożyć najszczerze życzenia z powodu wyboru, a tem samem odciąć się od tych, którzy podburzali tłum do demonstracji przeciwko Narutowiczowi, i manifestacji przed poselstwem włoskiem na cześć Mussoliniego. Poseł angielski w Warszawie Max Mueller, będąc chorym, na piśmie nadesłał życzenia swego rządu.

„Journal de Pologne“, tak blisko stojący poselstwa francuskiego w Warszawie, pisał na drugi dzień po zaprzysiężeniu:

„Powołanie p. Narutowicza na Prezydenta Rzeczypospolitej będzie więc powitane we Francji bardzo życzliwie. Nasi rodacy w wyborze tym będą widzieli poważną gwarancję wierności Polski dla przyjaźni z nami i jej pragnienie prowadzenia, równoległe z Francją, polityki pokoju w łączności z uszanowaniem zawartych umów“.

Placówki polskie nadsyłały raporty o głosach prasy zagranicznej, która wybór Prezydenta witała bardzo życzliwie, podkreślając przede wszystkim, że Narutowicz jest znany całej Europie, która go wysoko ceni i szanuje.

Posel Zamoyski, którego nazwiskiem tak szafowała N.-Demokracja, przysłał Narutowiczowi serdeczną depeszę z życzeniami, na którą Prezydent odpowiedział niemniej serdecznie, podkreślając, że „w całej pełni ocenia szlachetną intencję“ swego—dziwną ironją losu—przeciwnika na Zgromadzeniu Narodowym, ale jednocześnie i swego własnego kandydata na Prezydenta.

Tymczasem do małego domku w Łazienkach, gdzie Prezydent pozostawał jeszcze przez dwa dni po zaprzysiężeniu, zgłaszali się przyjaciele, koledzy, podwładni z Min. Spr. Zagr. i delegacje,—aby serdecznym słowem dodać mu otuchy i zatrzeć ciężkie wspomnienia z dnia 11 grudnia.

Narutowicz istotnie, wierny swym słowom, wymazał ze swej duszy wspomnienia tragicznych a tak krzywdzących go wypadków i z całą bezstronnością zaczął przygotowywać się do ciężkich swych obowiązków. A więc przede wszystkim wysuwało się zagadnienie nowego rządu, rząd Nowaka bowiem tak się skompromitował, że o pozostawieniu go nie mogło być mowy. Z drugiej strony—stosunki w Sejmie wykluczały możliwość stworzenia rządu parlamentarnego. Trzeba było więc narazie stworzyć znowu rząd pozaparlamentarny.

Na szefa takiego rządu przeznaczał Prezydent Narutowicz ministra Pracy p. Darowskiego, którego bliżej

poznał z Rady Ministrów. Ale jednocześnie dążył do tego, aby ten rząd był naprawdę bezpartyjny i skupiał fachowców. Na ministra Spraw Zagranicznych upatryzył posła M. Zamoyskiego i wysłał do niego depeszę z propozycją objęcia teki, jednocześnie posłał Dra Jackowskiego z Min. Spr. Zagr. do Gdańska, do Komisarza Generalnego Plucińskiego, którego również bardzo cenił, jako zdolnego i pracowitego działacza społecznego, chcąc nakłonić go również do wzięcia udziału w gabinecie Darowskiego. W ten sposób Narutowicz chciał stworzyć gabinet, którego skład musiałby uspokoić wzburzone namiętności polityczne. I trzeba przyznać, że gdyby udało mu się taki gabinet stworzyć — cel zostałby osiągnięty.

Jednocześnie z temi pracami Narutowicz de facto sprawował i nadal funkcje ministra Spraw Zagranicznych, przyjmując urzędników, dając im odpowiednie zlecenia, poza tem porządkując papiery i robiąc rachunki z funduszu dyplomatycznego—gdyż wierny swej skrupulatności, chciał wszystko zostawić swemu następcy w porządku.

Pozwolę sobie przytoczyć tu urywek ze wspomnienia p. Tytusa Zbyszewskiego, wyższego urzędnika w min. Spr. Zagr.—o pobycie u Prezydenta razem z sekretarzem osobistym Narutowicza p. A. Tarnowskim na drugi dzień po zaprzysiężeniu:

„Gdyśmy przyjechali — pisze p. Zbyszewski — Prezydent kończył wieczerzę, którą spożywał w towarzystwie syna i dwóch siostrzenic. Zameldowawszy się przez służącego, zostaliśmy zaraz przyjęci. Po zamie-

nieniu kilku słów powitalnych Prezydent poprosił syna i siostrzenice, by zaczekali w sąsiednim pokoju. Patrząc ze smutkiem za odchodzącymi, gdy drzwi już się zamykały za nimi, powiedział jak gdyby do siebie: „Te dzieci są moją jedyną pociechą, gdyby nie one, nie wartoby nawet żyć“. Następnie zaczął przeglądać i podpisywać papiery przedłożone mu przez sekretarza. Z całą dokładnością rozpatrywał poszczególne sprawy, a gdy skończył załatwianie spraw urzędowych, sekretarz wręczył mu cały plik listów, adresowanych na jego nazwisko, a zawierających różne anonimowe obelgi i pogroźki, ujęte w najordynarniejszą formę.

Były tam więc wezwania do złożenia władzy, były zapowiedzi popełnienia mordu rytualnego na Nim, zapowiedzi „marnej śmierci“ etc. Prezydent z całym spokojem przejrzał kolejno wszystkie te listy, nie okazując najmniejszego zdenerwowania, nie wypowiadając ani jednego słowa żalu, lub skargi.

Przeczytawszy listy, Prezydent wydał krótką dyspozycję oddania ich do kancelarii cywilnej. Człowiek ten nie myślał o jakichkolwiek zarządzeniach, mających na celu bezpieczeństwo Jego osoby. Wszelki lęk i egoizm były obcemi Jego szlachetnej duszy. My, natomiast, uważaliśmy za swój obowiązek radzić mu zachowanie należytych środków ostrożności tem bardziej, że na mieście obiegały już pogłoski o zamierzonym na Prezydenta zamachu. Podczas gdy Prezydent przeglądał jeszcze depeşe gratulacyjne, p. Tarnowski wyszedł niepostrzeżenie do drugiego pokoju, tam zaczął rozmowę z podoficerem — dowódcą straży honorowej;

złożonej z 4 żołnierzy, polecając im czuwać bacznie nad osobistym bezpieczeństwem Prezydenta, a w razie czego wszcząć alarm telefonicznie. Pomimo równoczesnego czytania depesz Prezydent usłyszał śnać, czy też domyślił się może, o co chodzi, bo zwrócił się do mnie ze słowami: „Panie Tytusie, niech Pan zawoła p. Tarnowskiego i poprosi go, aby nie straszył straży“. Wprawdzie poprosiłem p. Tarnowskiego do pokoju, ale sam wyraziłem przekonanie, że pewna ostrożność nie jest zbędna. Na to ś. p. Prezydent odpowiedział z wyrazem wielkiego spokoju i nieskończonej dobroci, głosem, w którym krył się żal i smutek głęboki: „Niech przyjdą, niech mnie zabiją, nie będę się bronił, chociaż mam broń. Jako Prezydentowi, nie wypada mi się bronić i ranić innych w swej obronie“.

Na tle tego osobistego niebezpieczeństwa, o którym wszyscy mówili i którego bali się bliscy mu ludzie, Narutowicz miał ciągle zatargi ze swoją najbliższą rodziną, która prosiła go, aby więcej dbał o swe bezpieczeństwo. Nie chciał słyszeć o żadnych ochronach i konwojach, i kategorycznie zabronił Darowskiemu otaczać swą osobę agentami tajnej policji.

— „Jestem Prezydentem i nie będę, jak szczur, chował się pod miotłę“ — odpowiadał na wszystkie perswazje.

Gdy zaraz po zaprzysiężeniu przyjechała do niego Żona Naczelnika Państwa i prosiła go, aby niezwłocznie przeniósł się do Belwederu, gdzie będzie całkowicie bezpieczny, serdecznie podziękował za troskliwość, ale stanowczo odmówił, oświadczając, że nie

ma prawa bać się i że ani na krok nie odstąpi od programu objęcia władzy oraz dopóki jej nie obejmie, w Belwederze nie zamieszka. Prosił go o to i Piłsudski — również odmówił.

Wówczas wbrew Jego woli Piłsudski kazał dać straż honorową przed domem, gdzie mieszkał, czemu Narutowicz nie mógł sprzeciwić się, bo to się należało jego stanowisku.

Jak wiadomo ze wspomnień J. Piłsudskiego, Narutowicz chciał początkowo, aby na wzór amerykański pomiędzy wyborem a objęciem władzy upłynął pewien okres czasu, przynajmniej miesiąc. Piłsudski kategorycznie na to się nie zgodził — i sprawa była w zawieszeniu.

Ale oto przyszyły wypadki dnia 11 grudnia. Narutowicz poczuł, jak straszliwym ciężarem jest godność Prezydenta w Polsce. Nie miał więc poprostu moralnej odwagi żądać od Piłsudskiego, aby przedłużał swe urzędowanie. Odgrywała napewno w tej zmianie decyzji dużą rolę również i myśl, aby nie posądzono go, że odkłada moment objęcia władzy ze strachu lub poczucia własnej niemocy.

„Ustał mi odrazu — pisze J. Piłsudski, opowiadając o swoim pobycie u Narutowicza zaraz po zaprzysiężeniu — przy ustalaniu terminów, które tak często odkładał. Dla Pana byłoby najlepiej wyjechać jak najprędzej — mówił mi, jakby na usprawiedliwienie. — Wytrzymał Pan cztery lata, nie sądziłem, że to tak ciężko. Ja nie wytrzymam dłużej jak rok“.

Istotnie, po wypadkach 11 grudnia w Narutowi-

czu rodzi się zdecydowana wola, aby jak najprędzej stać się istotnym Prezydentem, zmusić społeczeństwo do posłuchu i szacunku.

Dnia 14 grudnia nastąpiło więc przejęcie władzy, które odbyło się w ścisłym gronie najwyższych dygnitarzy państwa. Od dnia tego Narutowicz zamieszkał w Belwederze.

Zostawszy Prezydentem, pozostał wierny swemu głębokiemu szacunkowi i podziwowi dla Józefa Piłsudskiego. Dał temu wyraz w toaście swym na śniadaniu po przejęciu władzy, gdzie zaznaczywszy, że twardy obowiązek tej służby przyjął po ciężkiej walce ze sobą, zakończył toast następującem zdaniem:

— Nazwałś mnie, Panie Marszałku, pierwszym obywatelem Rzeczypospolitej — tytuł ten nadało mi prawo—pozwól, że w stosunku do Ciebie użyję tytułu, który Ci nada historia, wznosząc toast: Najzasłużeńszy Obywatel Rzeczypospolitej, który ją wskrzesił, zbudował i przed wrogiem obronił, Marszałek Józef Piłsudski niech żyje!

W tych prostych słowach pięknie odzwierciedla się szlachetna postać nowego Prezydenta: biła z nich godność Pierwszego Obywatela i rycerskość człowieka prawego, któremu obce są uczucia pychy i zarozumiałości.

Po skończeniu uroczystości, między ustępującym Naczelnikiem Państwa a Prezydentem wywiązała się długa sam na sam rozmowa. W czasie rozmowy Prezydent Narutowicz zwrócił się do Marszałka Piłsudskiego, aby wskazał mu najulubieńszy swój pokój,

gdyż chce zachować go dla historii w tym stanie, jaki był przy nim.

Marszałek Piłsudski wskazał pokój sypialny, jako ten, w którym spędził „najcięższe chwile i najcięższe noce“ w swoim życiu w czasie inwazji bolszewickiej. Prezydent Narutowicz poprosił Komendanta o pozostawienie w nim wszystkich swych prywatnych rzeczy — i dał rozkaz urządzenia dla siebie sypialnego pokoju w innej sali pałacu.

Komendant Piłsudski tego samego dnia opuścił Belweder z rodziną, i Prezydent Narutowicz został sam. Odbył jeszcze konferencję z szefem Kancelarii Cywilnej p. Carem, informując się o porządkach w Belwederze i wydając dyspozycje na dzień następny.

Istotnie, już od rana 15 grudnia zaczął Prezydent urzędowanie. Jak zawsze wstał wcześniej, przejrzał przyniesioną mu przez p. Cara korespondencję i już od godz. 10-tej zaczął udzielać audyencyj, przyjmując ministrów: Darowskiego i Makowskiego. Następnie wyjechał złożyć wizyty marszałkom Sejmu i Senatu: Ratajowi i Trąmpczyńskiemu oraz Marszałkowi Piłsudskiemu.

Przy pierwszym wyjeździe z Belwederu znowu wyłoniła się sprawa obrony w czasie pobytu na mieście. Prezydent z całą stanowczością kategorycznie zabronił przydzielania jakiegokolwiek ochrony, a tem bardziej zawiadamiania policji o wyjeździe na miasto, gdyż miał do niej po zejściach 11 grudnia wielki żal i nieufność za jej bierne zachowanie się w czasie przejazdu Alejami Ujazdowskiemi.

Wróciwszy z wizyt i spożywszy obiad, zaczął pracować nad odezwą do narodu, którą zamierzał w najbliższych dniach wydać. W papierach pośmiertnych pozostał szkic tej odezwy. Przytaczamy go jako ważny szczegół dla charakterystyki wytycznych, jakimi Narutowicz zamierzał kierować się na nowem, tak odpowiedzialnem stanowisku.

„Uchwalenie Konstytucji przez Sejm Ustawodawczy zostało ongiś powitane przez wszystkie stronnictwa, przez cały naród, z wielką i niekłamaną radością.

Gdy w ostatnich dniach ciała ustawodawcze uczyniły pierwszy krok wprowadzenia tej Konstytucji w życie realne, wywołało to w pewnej części społeczeństwa niepokój, który w stolicy państwa stał się powodem zamieszek, pociągając za sobą, niestety, ofiary. Żadne stronnictwo, ani żaden głos nie uważa pierwszego aktu Zgromadzenia Narodowego za nielegalny. Skoro prawo nie zostało złamane, nic nie usprawiedliwia wzburzenia umysłów obywateli.

Obywatele państwa polskiego osądzać mogą bieg wypadków z całym spokojem, gdyż na straży prawa stoją członkowie ciała ustawodawczych, którzy reprezentantami są waszej woli, którzy rządy przeze mnie powołane mają prawo sądzić i usuwać, i którzy władni są wprowadzać w czyn wasze zamierzenia i pragnienia. Innej drogi, prowadzącej do zmian, państwo praworządne nie posiada.

Złożyłem przed Zgromadzeniem Narodowem przysięgę, że będę stróżem prawa, które i twardem i nieubłaganem być musi, i ślubowałem, że dobro ogółu

mieć będę zawsze na pieczy. Przysięga ta zmusza mnie zwrócić się do Was z ostrzeżeniem i wezwaniem, byście zachowali rozwagę, spokój i równowagę umysłów, bez których w żadnym społeczeństwie dobra ogółu niema“.

Niebywały spokój, powaga i godność uderzają w odezwie. Niema w niej śladu nawet pierwiastka osobistego, nuty żalu lub wyrzutu—napisana jest tak, jak gdyby wypadki, o których w niej mowa, nie miały nic wspólnego z osobą Prezydenta, nie wyrządziły mu jako człowiekowi żadnej krzywdy. Niema również w tej odezwie patryotycznych, górnolotnych frazesów, tak łatwo trafiających do psychiki mas, niema nawet śladu tendencji do szukania jakiejś zgody i pojednania. Przeciwnie, odezwa jest surowa, karcąca za nieposzanowanie prawa i Majestatu Rzeczypospolitej — zaiste, jest głosem li—tylko Stróża Prawa, surowego, bezstronnego, nieugiętego, jak samo Prawo.

Następnie, o godz. 15.30 w wigilję dnia fatalnego, Prezydent Narutowicz bardzo chętnie zgodził się przyjąć P. Delagneau, redaktora „Journal de Pologne“, który prosił o wywiad.

Wywiad, który ukazał się w druku następnego dnia, już po śmierci Prezydenta, również należy przytoczyć w całości, ponieważ ilustruje zapatrywania Prezydenta na najbliższą sytuację polityczną.

„Nie szukałem władzy—mówił Prezydent.—Osobiście życzyłem zwycięstwa memu współzawodnikowi, dla którego mam wysokie poważanie. Ciężar Władzy Zwierzchniej jest wielki, a odpowiedzialność ogromna.

Początek mej władzy nie dał mi wielkiego wyobrażenia o satysfakcjach jakie mnie czekają, ale uważałem władzę, do której powołano mnie, za obowiązek wobec Ojczyzny, który podjąłem i który wypełnię do końca.

Rola Prezydenta Rzeczypospolitej, tak jak ja ją rozumiem, polega na doprowadzeniu do porozumienia, Prezydent musi być ponad partjami. Sytuacja polityczna Polski jest skomplikowana. Dwa wielkie obozy stoją naprzeciwko siebie w parlamencie z siłami niemal równymi, zarażone gorączką wyborczą, co utrudnia jasne patrzenie na rzeczy, zrozumienie konieczności wzajemnych ustępstw. Ostateczne utworzenie rządu w atmosferze walki, która panuje w Sejmie, wydaje się dziełem prawie niemożliwym.

Ale czas już skończyć z erą gabinetów pozaparlamentarnych. Trzeba aby Sejm wziął na siebie swoją część odpowiedzialności za przyszły rząd i aby grupy wezwane do utworzenia rządu popierały się solidarnie. Inaczej nie będzie ani stałości, ani bezpieczeństwa Państwa. Oczekuję pewnego uspokojenia się, nad którym będę pracował wśród działaczy politycznych różnych partji“.

Analizując treść projektowanej odezwy i powyższego wywiadu, widzimy wyraźnie w jakim kierunku zamierzał działać nowy Prezydent i jak pojmował swą rolę.

Chciał być Nauczycielem i Pedagogiem narodu, chciał uczyć go rozumieć i szanować ducha Konstytucji 17 Marca.

Po udzieleniu audjencji Kardynałowi Arc. A. Karkowskiemu rozpoczął Prezydent przyjęcia przewodców organizacyj politycznych na terenie sejmowym: Witos, Barlickiego, Thugutta, Wachowiaka, Głębińskiego, — aby w myśl swych założeń zbadać, czy jest grunt do utworzenia rządu parlamentarnego. Otóż z rozmów tych wynikało zupełnie wyraźnie, że takiego rządu stworzyć się nie uda. Pan Głębiński powracał z chorobliwym uporem do zasady większości polskiej, ale jednocześnie, jeśli wierzyć „Rzeczypospolitej“ (№ 343, 15.XII.22), wysunął zdumiewające oświadczenie, że „wraz z utworzeniem się większości stronnictw polskich, dającej oparcie Rządowi, w parze powinien iść wybór Prezydenta głosami większości polskiej“. Poseł Głębiński zaznaczył, że trzy grupy Ch. Zw. Jedn. Nar. nie kierują się osobistymi uprzedzeniami w stosunku do p. Narutowicza, ale głębokiem przekonaniem, że tylko na ścisłem przestrzeganiu zasady większości polskiej oprzeć można zdrową politykę, i wyraził nadzieję, że p. Prezydent Narutowicz ułatwi ze swej strony objęcie odpowiedzialności przez większość polską. Innemi słowy, wystąpił z żądaniem abdykacji, złamania przysięgi na wierność Konstytucji 17 Marca, wymagającej od Prezydenta, aby był jej Stróżem. Poseł Witos chciał rządu koalicyjnego, na który nie zgadzało się ani „Wyzwolenie“ ani P. P. S.

Trzeba więc było przedłużyć okres rządów pozaparlamentarnych. Ale Prezydent daleki był od rezygnacji—traktował to jako zjawisko przejściowe. Wierzył, że uda mu się odciągnąć od zdemoralizowanego, wyzutego z instynktu państwowego obozu N.-Demo-

kracji Chrześcijańską-Demokrację, która polityki gwałtów i awantur dn. 11 grudnia wyraźnie nie aprobowała.

Wspomina o tem poseł Thugutt, opisując swoje ostatnie widzenie się z Prezydentem Narutowiczem 15 grudnia w sprawie nowego rządu:— „Prezydent był jeszcze ciężko zmęczony nerwowo — pisze poseł Thugutt,— ale widać było, że niesłychana jego żywotność i niesłychany optymizm biorą już górę. Mówił dużo o swoich zamiarach, sięgających w daleką przyszłość. Liczył, że wcześniej czy później uda mu się przejednać swoich przeciwników. Na swoim wysokim stanowisku nie chciał być zwolennikiem niczyjego partyjnego programu, człowiekiem żadnego stronnictwa, także i tego, które go swoją propozycją na godność pierwszego w państwie urzędnika wyniosło. Myślał, że za kilka miesięcy uda mu się lewe skrzydło prawego obozu połączyć z lewicą i środkiem, ale równocześnie widział, że o tem mówić narazie jeszcze przedwcześnie. Prosił serdecznie, gorąco prosił, aby zapomnieć o jego krzywdzie, o zadanych mu zniewagach. Na odchodnym z uśmiechem na twarzy i smutną powagą w oczach dodał:

— Niech Panu Bóg nie pamięta tego ciężaru, któryście na me barki włożyli“.

Poseł Thugutt, wychodząc, mógł sobie w duchu na swe usprawiedliwienie z czystem sumieniem powiedzieć, że ten wielki, ale i zaszczytny ciężar włożył na odpowiednie barki. Nowy Prezydent w rozmowie poufnej z człowiekiem, którego inicjatywie i uporowi zawdzięczał swe stanowisko, z całą rycerską szczerością

oświadczył to, co chciał powiedzieć publicznie: „Nikt z tych, którzy głosowali na mnie, nie ma wobec mnie żadnych szczególnych praw, ani z mej strony żadnych szczególnych zobowiązań“.

I zapewne dla zadokumentowania tej swej niezależności nie zaprosił na konferencję przewodców klubów mniejszości narodowych.

Widząc niemożliwość utworzenia rządu parlamentarnego — Prezydent przyjął po tych naradach pp. Nowaka i Darowskiego i powierzył temu ostatniemu oficjalne formowanie gabinetu. Jak wielkie znaczenie przywiązywał do udziału M. Zamoyskiego w gabinecie, świadczy fakt, że polecił nawet obudzić się, jeśli odpowiedź przyjdzie w nocy. Przyjął również p. Wł. Grabskiego, któremu chciał powierzyć tekę ministra Skarbu. Takie były pierwsze kroki nowego Prezydenta. Świadczą one bezstronnie, że wybór był trafny — że na ten wysoki urząd wybrano człowieka odpowiedniego.

N.-Demokracja i jej satelici — wiedzieli o tych krokach, wiedzieli również o tem, jak życzliwie zagranica wogóle a nasi sprzymierzeńcy w szczególności przyjęli ten wybór.

Zdawałoby się, że pogodzą się ze swoją klęską, a przynajmniej ograniczą się do opozycji lojalnej i przyzwoitej, nie kompromitującej Polski, chociażby w imię tego, że według Konstytucji „Prezydent za czynności urzędowe nie jest odpowiedzialny, ani parlamentarnie, ani cywilnie“, a więc tem samem jest bezstronny wobec napaści na niego i krytyki jego działalności.

Kto został wybrany, czyjemi głosami, o wszystkim tem trzeba było zapomnieć wobec faktu, że został wybrany zgodnie z Konstytucją, a pamiętać o jednym,—że był to już tylko Prezydent Rzeczypospolitej, na którego Naród włożył obowiązek „godności imienia polskiego strzec niezachwianie“. A nakazać obcym szacunek dla Polski może jedynie Prezydent, szanowany przez swoich.

Tymczasem co widzimy? Oto obóz N.-Demokratyczny nie przestaje atakować Prezydenta Narutowicza nie tylko po zaprzysiężeniu, ale nawet po objęciu władzy. Jaka była i nadal ta naganka, świadczą o tem chociażby treść i ton prasy pravicowej już po zaprzysiężeniu.

Oto 13 grudnia, a więc już w dwa dni po zaprzysiężeniu, p. Bolesław Koskowski pisze o Prezydencie Narutowiczu artykuł w „Kurjerze Warszawskim“, w którym z całych sił usiłuje przekonać Europę, że Polska wybrała na Prezydenta człowieka pod każdym względem marnego, a więc, że „Narutowicza nie było wśród tych Polaków na obczyźnie, którzy zarobili sobie na dostojne imię w kraju“, bo „Opatrzność nie obdarzyła go gorącym temperamentem patriotycznym“.

Następnie usiłuje dowieść, że Narutowicz był złym ministrem Robót Publicznych i powołuje się na autorytet Stapińskiego, który napisał w swoim organie, że Narutowicz okazał się „niezdolny do rządzenia“ jako minister Robót Publ. Dalej p. B. Koskowski pisze wbrew prawdzie, że gabinet Ponikowskiego chciał się pozbyć Narutowicza, jako „nieużytecznego balastu,

i szukał tylko sposobności“. Jako o ministrze Spraw Zagr. pisze, że „był to jeden ciąg egzaminów z niezdolności, braku wszelkiej sensownej samodzielności“. i t. d.

Tak pisał senator Rzeczypospolitej o Jej Prezydencie. Najwidoczniej zapomniał o tem, co pisał ten sam „Kurjer Warszawski“ 27.VI.21 r., nazywając Narutowicza „wybitnym uczonym, który odda wyjątkowo cenne usługi państwowości polskiej“ i t. d.

„Rzeczpospolita“ z dn. 13.XII.22 r. zaznacza, „że wybór jest nawskroś prawny“, że „w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej wyraża się Majestat Państwa i dlatego wszystko, co jego powagę obniża, zasługuje bezwzględnie na potępienie, gdyż bezwzględnie obniża powagę Państwa“ — ale jednocześnie czyni uwagę, że „co innego formalna większość w Zgromadzeniu Narodowem, a co innego fakt, że stolica państwa jest miastem polkiem i po polsku czuje i myśli, że obok majestatu Państwa istnieje majestat Narodu i źle jest, gdy oba te majestaty nie są złączone w jednej osobie“. Następnie dodaje w charakterze konkluzji, że „ogół polski musiał odczuć narzucenie większości polskiej Prezydenta Rzeczypospolitej przez obce narodowości w połączeniu z mniejszością polską jako *niebezpieczeństwo* i jako *poniżenie*“.¹⁾

Ale Narutowicz nie zrzeka się władzy, więc „Rzeczpospolita“ przechodzi już do gróźb i wskazywania palcem na nowego Prezydenta, jako jedyne źródło ciężkiego stanu kraju. W artykule p. t. „Zawada“

¹⁾ Podkreślenia moje. T. H.

z dn. 14.XII.22 r. p. Stroński wprost pisze: — „P. Narutowicz osobą swoją zawalił drogę ku naprawie gospodarczo-skarbowej w państwie, która już-już przeświecała przed oczyma wśród otchłani rozstroju... Zawada jest skuteczna. Pierzchły widoki uzdrowienia gospodarczo-skarbowego i wzmocnienia stanowiska zagranicą. Zamiast tego wynurza się po staremu p. Piłsudski. Naj bude jak buwało. To znaczy ta zawada“.

Jeszcze gorzej zachowywała się prasa ściśle narodowo-demokratyczna.

„Gazeta Poranna 2 grosze“ z dn. 13 grudnia 22 r. z nienawiścią wołała: — „Komunikują nam, iż jakieś ptasie mózgi urzędnicze biedzą się nad ceremonjałem „objęcia władzy“ przez Prezydenta Narutowicza. Ma to być połączone z jakimiś festynami publicznymi, paradami ulicznymi i t. d.

Stanowczo i poważnie przestrzegamy tych specjalistów od protokółów uroczystych przed dalszem prowokowaniem uczuć ludności polskiej Warszawy. Ludność polska tej prowokacji nie zniesie, i jak zamiast strumieni krwi, które widzieliśmy na ulicach stolicy onegdaj, popłyną krwi tej rzeki, odpowiedzialność za to spadnie na puste, niestety, ale *żywe dotychczas*,¹⁾ głowy rozmaitych protokółantów i innych specjalistów od uroczystości i festynów publicznych“.

Zaiste, prawdziwy „głód krwi“ zionie z tych słów, napisanych w polskim, niestety, piśmie z powodu tego, że Polska ma uroczyście święcić objęcie władzy

¹⁾ Podkreślenia moje. T. H.

przez Pierwszego Prezydenta. Jawna groźba śmierci pod adresem „pustych, ale żywych jeszcze głów“ urzędników z Belwederu.

A oto oficjalny organ N.-Demokracji „Gazeta Warszawska“ dn. 15.XII, a więc na drugi dzień po objęciu władzy przez Prezydenta, w artykule p. t. „Zapora“ pisze takie dwuznaczne i tajemnicze słowa: — „Zapora jest włożona między prawicę a „Piasta“. Ludowcy wystąpili wprawdzie z inicjatywą w sprawie rządu koalicyjnego w znaczeniu koalicji stronnictw polskich, na której zwężenie by się pewnie zgodzili, ale fakt pozostanie faktem t. z., że istnieje *zapora, która przeskoczona być nie może.*¹⁾ A fakt drugi, to ten, że jeżeli z powodu zapory wspomnianej większość polska centro-prawicowa nie utworzy się, nie będzie w Sejmie żadnej większości polskiej a losy Państwa będą zależały od szantażu Żydów, Niemców i Ukraińców“.

Dalej „Gazeta Warszawska“ biada nad losem gabinetu, który bez jej udziału powoła do życia Prezydent: — „Co uczyni premier i co zdoła sklecony przezeń ewentualnie gabinet? Chyba, że pójdzie w usługi do Żydów, Niemców i Ukraińców... Wszystko to z powodu zapory w postaci prezydentury z łaski obcych, wrogich państwu elementów“.

Tak biada „Gazeta Warszawska“: wszystko jeszcze dałoby się odrobić, gdyby nie ta zapora, ta zapora! Przeskoczyć jej nie można — a więc...

¹⁾ Podkreślenia moje. T. H.

Niechże każdy wysnuje z tych słów wniosek, jaki mu się nasuwa...

Jeszcze straszniejsze były głosy prowincjonalnej prasy narodowo-demokratycznej.

„Słowo Polskie“ we Lwowie dn. 14 grudnia, a więc w dniu, gdy Prezydent obejmował władzę, pisało: — „Lepiej byłoby mieć na czele Rzeczypospolitej „pana z panów“, który tutaj, w Polsce posiada swój majątek, aniżeli człowieka, który majątek swój trzyma we frankach szwajcarskich i nie myśli go przenieść do Polski i który może każdej chwili spakować manatki, wsiąść do expressu międzynarodowego i znaleźć się znowu nad jeziorem zuryskiem, nad którym spędził 30 lat swego żywota“.

„Słowo Pomorskie“ z dn. 12 grudnia 22 r. w artykule „Prezydent nie — polski“ stwierdza, że „Pan Narutowicz nie został Prezydentem narodu polskiego“ i podaje wogóle w wątpliwość jego polskość. Im drobniejsze było piśmko reakcyjne, tem potworniejsze umieszczało artykuły o nowym Prezydencie.

Nic też dziwnego, że ton prasy reakcyjnej, tak, niestety, w Polsce rozpowszechnionej, podniecał umysły ciemnych, sfanatyzowanych mas, które czytając te słowa, dyktowane zaciekłością partyjną, wierzyły na serjo, że Polska okryła się hańbą, że istotnie ster władzy przeszedł w ręce mniejszości narodowych i t. d.

To też pomimo zaprzysiężenia i objęcia władzy szły z prowincji depesze do Prezydenta od różnych „Rozwojów“, „Kół Polek“, „Chrześcijańskich Kupców“

i t. p. z żądaniem zrzeczenia się Prezydentury, skwapliwie drukowane przez prasę pravicową.

Jak oddziaływała ta nieprzebiegająca w środkach agitacja na moralnie zdegenerowane jednostki, świadczy niezliczona ilość listów anonimowych, nadal nadsyłanych do Belwederu. Były to listy pełne ordynarnych obelg, karczemnych wyzwisk. Coraz więcej też było gróźb śmierci. W jednym liście przysłano prośbę z dopiskiem: — „Niech służy na zdrowie“; była to, jak się okazało, strychnina.

Prezydent wszystkie te anonimy przyjmował spokojnie, jedynie uśmiechając się smutnie. Jeden go tylko głęboko wzburzył, mianowicie ten, w którym grozono, że jeśli nie zrzecnie się stanowiska, zamordują mu syna.

— Co za niczemność! — zawołał, odrzucając ten list ze wstrętem.

Nic też dziwnego, że cała ta, jak widzieliśmy, na szeroką skalę zakrojona i intensywnie prowadzona agitacja wytwarzała coraz bardziej duszną i niespokojną atmosferę. W Belwederze otrzymywano pozatem listy życzliwe, które uprzedzały, że szykuje się zamach; jakiś doktor ze Lwowa wręcz wymieniał datę 16 grudnia.

Jak dalece ten niepokój udzielił się nawet sferom rządowym, świadczy fakt, że gdy Prezydent Narutowicz 15-go grudnia wieczorem przyjął p. Nowaka i wspomniał mu, że wybiera się jutro do Zachęty, p. Nowak zaczął gorąco go prosić, aby nie jechał, bo w mieście jest pełne ponurych pogłosek.

Tymczasem wszystkie te przestrogi odnosiły wręcz odmienny skutek.

— Jestem Prezydentem i nie będę siedział jak mysz pod miotłą — wciąż powtarzał Narutowicz.

Jakoż dążył do możliwie szybkiego zetknięcia się ze społeczeństwem, przełamania tej nieznośnej atmosfery. Dlatego też projektował w jedną z najbliższych niedziel odprawienie z powodu objęcia władzy mszy w Łazienkach z udziałem korpusu dyplomatycznego, władz rządowych i przedstawicieli społeczeństwa. Poza-tem chciał, aby Kardynał Kakowski odprawił na Nowy Rok uroczystą mszę w Katedrze, po której odbyłoby się wielkie przyjęcie na Zamku, dokąd Narutowicz pragnął się udać w otwartym powozie.

Zaproszenie na otwarcie Zachęty szło po linii jego życzeń, pomimo więc próśb otoczenia zdecydował się do Zachęty pojechać. Nie chciał jednak słyszeć o żadnej straży przybocznej.

— Nie mogę jeździć ze strażą, jak generał-gubernator rosyjski — ale jak Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, albo niech mnie zabiją.

W takich warunkach i w takiej atmosferze rozpoczął urzędowanie Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

IX

16 GRUDNIA 1922 R.

Przyszedeł tragiczny dzień 16 grudnia 1922 r., dzień, który w historii Polski po wieki zostanie dnieniem hańby i wstydu, świadectwem, jak dalece obecne pokolenie jest zatrute trucizną niewoli i nie umie należycie i godnie korzystać z wolności, która stała się wreszcie udziałem narodu polskiego.

Pomimo że w Belwederze panował nastrój niepokoju o życie Prezydenta, pomimo że sam Prezydent miał przeczucie, iż śmierć się zbliża ku niemu, i jak mówił swym najbliższym, myśli tylko o tem, aby z godnością paść na posterunku, na który wyznaczono go wbrew jego woli — nikt jednak nie przeczuwał tego tragicznego dnia, że śmierć już stoi u drzwi Belwederu.

Według planu, ułożonego przez Kancelarję Cywilną, dzień ten przewidywał o godz. 11.15 wizytę u ks. Kardynała Kakowskiego, o 12-ej otwarciu Salonu w Zachęcie; 12.30 przyjęcie D-ra Jackowskiego, w celu wysłuchania jego relacji o rozmowie z Kom. Gene-

ralnym Plucińskim; 13.30 przyjęcie Kapituły Orła Białego.

Wieczór widocznie miał być poświęcony rozmowom z ministrami tworzącego się gabinetu, bo na liście audjencji widnieje własnoręczny dopisek Prezydenta: „Salonka dla Komendanta na wtorek wieczór do Wilna. Jedna z jego pociągu. Pomówić z Marynowskim“. Widać z tego dopisku, z jaką troską i życzliwością biegła wciąż myśl Narutowicza do wczorajszego gospodarza Belwederu.

Przed audjencjami p. Car zreferował Prezydentowi między innymi sprawami i prośbę o ulaskawienie skanego na śmierć Ukraińca z Galicji Wschodniej. Prezydent przychylił się do tej prośby, robiąc jednocześnie uwagę, że rad jest, iż może rozpocząć urzędowanie od aktu łaski.

Przed samym wyjazdem do Arcybiskupa Kakowskiego przyszedł do Belwederu b. premier Leopold Skulski, wierny towarzysz Narutowicza w wyprawach myśliwskich, z którym wspólnie dzierżawili rejon w puszczy Kozienickiej; Skulski zapytywał, czy Prezydent pojedzie jutro t. z. 17-go na polowanie, które zamówili jeszcze w tym czasie, gdy Narutowiczowi nie przechodziła nawet przez głowę myśl, że zamieszka w Belwederze.

Prezydentowi bardzo uśmiechał się wyjazd — po pierwsze chciał odpocząć po wszystkich ciężkich przejściach, a po drugie pragnął, aby przyjaciele myśliwi, z zarządcą lasów państw. p. Ed. Mickiewiczem na czele, wśród których zawsze czuł się tak dobrze,

którzy tyle serca i życzliwości mu okazywali, nie pomyśleli, że wzgardził nimi. Tak tłumaczył się, zdradzając chęć wyjazdu na polowanie. Odgrywało pewną rolę w tem pragnieniu również i życzenie, aby możliwie jak najszybciej zetknąć się ze społeczeństwem. Stało na tem, że ostateczna decyzja zapadnie wieczorem, zależnie od stanu sprawy tworzenia gabinetu.

Obojętność Narutowicza na grożące mu niebezpieczeństwo nie płynęła bynajmniej z niedoceniań jego możliwości. Świadczą o tem słowa jego do p. Skulskiego, gdy już siadał do automobilu: „Pamiętaj pan, panie Leopoldzie, w razie nieszczęścia zaopiekuj się mojami dziećmi“. Były to słowa nawiązujące do rozmowy, odbytej przed wyjazdem do Arcyb. Kąkowskiego ze Skulskim, w której Narutowicz zwierzył się mu, że ma przecucie bliskiej śmierci, i prosił go, aby gdy to nastąpi, zaopiekował się jego dziećmi. Na podstawie tej rozmowy Skulski został głównym opiekunem dzieci Narutowicza.

Prezydent pojechał autem w towarzystwie mec. Cara. Kazał jechać ze zwykłą szybkością i ciekawie rozglądał się po ulicach. Wyraźnie zadowolony był, gdy widział, że ludzie, poznawszy po sztandarze, że to automobil Prezydenta, i zobaczywszy go, kłaniali się uprzejmie i życzliwie. Zwrócił mu na to uwagę p. Car.

U Kardynała Kąkowskiego zabawił Prezydent pół godziny, pozostając z nim sam na sam. W powrotnej drodze, jadąc do Zachęty, był w dobrym humorze. Mówił, że jest bardzo zadowolony z rozmowy z Kardynałem.

— No cóż, mecenasie, puści mnie pan na polowanie? — spytał wreszcie żartobliwie p. Cara. Ten również w żartobliwej formie odpowiedział: — Na dwa dni, jak chce p. Skulski, niema mowy, ale na niedzielę, to da się jakoś zrobić.

Automobil stanął przed Zachętą. W westibulu oczekiwali Dostojnika zaproszeni goście z premierem Nowakiem i korpusem dyplomatycznym na czele. Prezes Komitetu Kozłowski powitał Prezydenta, który w towarzystwie premjera Nowaka i artysty-malarza Okonia wszedł na górę i zaczął oglądać obrazy. W pewnym momencie podszedł do niego poseł angielski Max Mueller, aby wyrazić żal, że z powodu choroby nie mógł być na zaprzysiężeniu i że, korzystając ze sposobności, składa gratulacje.

— „Raczej kondolencje“ — odpowiedział żartobliwie Prezydent.

Były to ostatnie jego słowa. W tej chwili rozległy się trzy głucho, jeden po drugim, wystrzały — i Prezydent bez słowa skargi osunął się na ziemię, aby za sekundę zakończyć życie.

Oszalała furja nienawiści, chłostana tysiącem biczów przez zaślepionych i głuchych na godność i dobrą sławę narodu fanatyków, zatruwająca atmosferę życia narodowego przez tyle lat, a sięgająca swego zenitu w ciągu tragicznych dni grudniowych 1922 r. — znalazła wreszcie ujście. Padł piorun z tej chmury posępnej, złowrogo nad ziemią polską zwisającej, powstałej z zatrutych oparów nienawiści, oszczerstw i nikczemności.

„W Sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych—
mówił w dwa tygodnie później Prokurator Rudnicki—
konał na podłodze na wyciągniętym skądś dywaniku
Prezydent Rzeczypospolitej, najwyższy przedstawiciel
trzydziestomiljonowego narodu... Nie było przy nim
nikogo z jego bliskich. Nie miał tego spokoju śmierci,
jaki bywa udziałem najniższego nawet obywatela pań-
stwa. Martwiącą głowę obce podtrzymywały ręce.
I nie było nic bardziej żalosego, bardziej wzruszają-
cego, jak widok przedstawiciela państwa, państwa
odrodzonego tak niedawno, dźwigającego się w górę
tak niesłychanie szybko, konającego w obcym otocze-
niu, w tak strasznych poprostu warunkach. Widok ten
wzbudzał nie gniew, nie oburzenie, nie chęć zemsty,
ale ogromną żaloseć. Albowiem przede wszystkim po-
czucie żaloseci przejmowało każdego z nas patrzącego
na ten tragiczny moment, na powoli rosnący na pier-
siach zmarłego krwawy order, w którego konturach
można było odczytać słowa „Pro Patria“.

* * *

Taką smutną śmiercią zmarł pierwszy Prezydent
odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Dzieje narodów znają dużo wypadków morderstwa
osób panujących, lub stojących na czele państw, ale
rzadko kiedy zdarzało się tak bezmyślne, okrutne
i wstrętne morderstwo, jak w danym wypadku.

Czyn Niewiadomskiego był sprzeczny nietylko
z tradycjami państwowemi narodu polskiego, ale i z jego
psychologją. Chcemy powiedzieć, że w czynie Nie-

wiadomskiego nie było nic istotnie polskiego. Naród polski przy wszystkich swoich wadach ma jedną wielką zaletę — lubi otwartą, szczerą, rycerską walkę, ma wstręt do skrytobójstwa. Przypomnijmy chociażby zamach Jaroszyńskiego, zwykłego rzemieślnika warszawskiego, na wielkiego księcia Konstantego; Jaroszyński dopiero przy trzecim widzeniu się z wielkim księciem plan swój wykonał, pierwszy raz bowiem była obok Konstantego jego żona w poważnym stanie, drugi raz znalazł się koło Konstantego w Katedrze, nie chciał więc w Domu Bożym sprawiedliwości ludzkiej wymierzać. A tu malarz polski w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych, a więc w gmachu, gdzie sam był jednym z gospodarzy, wita skrytobójczą kulą Dostojnego Gościa, który przybył na zaproszenie przedstawiciela artystów p. Okonia.

„Gość w dom — Bóg w dom“ — mówi stare polskie przysłowie. Niewiadomski skorzystał z tego, iż nikt nie przypuszczał, by w przybytku sztuki artysta polski ważył się na potworne morderstwo. Na ten swój plan osnuł. Nie mając odwagi spojrzeć w oczy swej ofierze, podkraść się, jak istotny skrytobójca, i stojąc obok Okonia, jedną ręką wskazywał Prezydentowi obraz, drugą wprost do jego ciała przyciskał rewolwer, by strzał nie chybił.

Tak mordowano ongiś na dworach książąt włoskich, z uśmiechem serdecznym podając gościowi kielich z zatrutem winem.

Ale co smutniejsze, iż nie ma się tej nawet ulgi moralnej, aby móc powiedzieć, że Niewiadomski

był odosobnionym wyjątkiem. Niestety, dziś imię ludzi tej psychiki i tego światopoglądu, co Niewiadomski — legion. Należał on do tej samej kategorii przestępców, do której zaliczyć trzeba tych, co wysyłali do Prezydenta Narutowicza anonimowe groźby z zapowiedzią morderstwa, proszki z trucizną, lub chodzili po domach, jak to się działo w Poznaniu, i zbierali składki na „sprzątnięcie tego Żyda“.

Z tej dusznej atmosfery, którą wytworzyła agitacja, pełna, jak widzieliśmy, oszczerstw i nienawiści, musiał uderzyć piorun, a to już rzecz wtórna, jakby się ten piorun nazywał. Jeżeli był ktoś, kto mówił, że niema nadziei na odrodzenie gospodarcze Polski, że idą czasy, gdy Polską będą rządili Niemcy, Żydzi i Ukraińcy, a to wszystko i wyłącznie z racji istnienia „zapory“, której nie da się przeskoczyć, — to musiał się znaleźć ktoś inny, kto powiedział sobie: jeśli nie można przeskoczyć, to trzeba usunąć, i ja będę tym, który to uczyni, ale nie pozwolę, aby Polską rządziły mniejszości narodowe.

I trzeba stwierdzić, że o tem, co zrobił Niewiadomski, myślały setki, a może i tysiące ludzi, biorących za dobrą monetę artykuły prasy pravicowej. W imię źle pojętego interesu państwa z procesu Niewiadomskiego uczyniono proces jednostki. Historia wykaże, czy Niewiadomski miał współników, czy nie. Ale można być pewnym, że sąd historii na ławie oskarżonych o zabójstwo Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej posadzi obok Niewiadomskiego i tych wszystkich, którzy przy pomocy oszczerstw, insynuacyj

i podrywania autorytetu Zgromadzenia Narodowego i wybranego przez nie legalnie, zgodnie z prawem Prezydenta, byli moralnymi sprawcami tego mordu, wytwarzając odpowiednią atmosferę dla straszego czynu Niewiadomskiego.

A zresztą odpowiedzialność moralną za morderstwo wzięli na siebie ci, co zsolidaryzowali się z mordercą i gloryfikowali Niewiadomskiego, który na procesie zaprezentował się jedynie jako biedna ofiara, przesycona nienawiścią, którą ziała prasa prawicowa. Morderca nawet nie mógł dobrze umotywić swego czynu, mówiąc tylko, że Narutowicz był dla niego symbolem sytuacji politycznej, symbolem hańby, którą strzały jego starty z czoła żywej Polski. Uczynił to natomiast jego obrońca mec. Kijeński, który wyraźnie scharakteryzował ówczesną sytuację polityczną:

„Zalewa nas wprost fala wrogiej obczyzny. Dotychczas ona handlowała, targowała, dziś się już pcha nawet do rządów i zaczyna nas chłonać. Z tą wciąż rosnącą falą rośnie i obawa w sercach naszych, że ta fala może nas całkiem pochłonać. Widział to nietylko Niewiadomski, widzą to miliony Polaków. Ta rzecz niezbyt była przez p. prokuratora zauważona. Tymczasem w rzeczy tej tkwi ta tragiczna konsekwencja, z jaką zdążył Niewiadomski do swego czynu. Widział pohańbienie Polski w tem, że większość głosów polskich była za innym kandydatem, a mniejszość głosów ściśle polskich była za ś. p. Narutowiczem. (Tu następuje ściśle wyliczenie przebiegu głosowania w Zgr. Nar.) Wybór odbył się zgodnie z prawem. O, tak!

Ale jakież to niebывałe zjawisko w życiu narodów. Niewiadomski w całej istocie swej był wstrząśnięty tem, że te głosy obce, jak on mówi, głosy wrogów Państwa, spowodowały wybór człowieka polskiej mniejszości. Powiedział sobie: dość tego. Organizm nawet najtęższy dłużej męki takich rozmaitych operacji nie wytrzyma i może paść. A jak padnie to co? I oto geneza czynu. Nie było takiego czynu w Polsce, ale też Polska nie była nigdy w takich wyjątkowych warunkach, w jakich ją widział Niewiadomski. Polska nigdy tak nie była przez obcość chłonięta. Niewiadomski widział, że my na każdym polu jesteśmy wykołejeni, z siodła wysadzani. I oto tragedia czynu jego i tragedia jego głęboko kochającego, bolejącego serca. W ten sposób należy patrzeć na czyn jego. Nie jest to czyn zbrodniarza, lecz czyn człowieka oszalałego z bólu“.

Tak mówił mecenas Kijeński, wybitny działacz obozu N.-Demokratycznego.

Widzimy, że obrona posługiwała się temi samemi argumentami politycznemi, któremi operowała i prasa prawicowa przed morderstwem. Prasa prawicowa temi argumentami „ból serca“ Niewiadomskiego doprowadziła „do szału“ i temi samemi argumentami obrońca z tego samego obozu czyn jego usprawiedliwiał. A gdyby istotnie czyn Niewiadomskiego był odosobniony, czy możliwą byłaby ta psychoza jego gloryfikacji, która przeszła jak zaraza duchowa poprzez całą Polskę?

Gloryfikacja Niewiadomskiego jest zrozumiała,

jeśli weźmiemy pod uwagę, że czczono w nim człowieka, który zdobył się na zrealizowanie w czynie tego, o czym myślały setki i tysiące, czytając artykuły o „zawadzie“ i „zaporze“; były to artykuły ludzi, uważanych przez nich za swych przewodców duchowych, które również doprowadzały ich serca, naprawdę kochające Polskę, do szaleńczego bólu i rozpaczki, jednak nie umieli, jak Niewiadomski, zdobyć się na tragiczną konsekwencję, którą w nim tak słusznie i z taką dumą podkreślił adwokat Kijeński.

A fakt, że przez kilka pierwszych dni pisma prawnicowe wypierały się Niewiadomskiego, świadczy tylko, jak dalece czuły się odpowiedzialne za jego czyn i jak bardzo obawiały się zemsty.

A groźba zemsty i odwetu istotnie wisiała w powietrzu. W chwili, gdy konał Prezydent Rzeczypospolitej w Zachęcie, stutysięczny tłum zebrał się, aby pochować robotnika Kałuszyńskiego, który padł z ręki ideowego współtowarzysza Niewiadomskiego.

I oto z błyskawiczną szybkością biegła straszna wieść o morderstwie w Zachęcie poprzez niezliczone szeregi tego tłumy. Jedno słowo wystarczyłoby, aby tłum runął do miasta pełen gniewu i zemsty.

A jednak to słowo nie padło. Dlaczego? Bo ci, którzy mogli dać rozkaz, nie mogli przewidzieć, gdzie i kiedy skończyłaby się ta wojna domowa. A jednocześnie każdy z tego olbrzymiego tłumy widział przed swymi oczyma męczeńską postać zamordowanego Prezydenta, który — wierny sobie — jak gdyby wołał do nich i błagał, aby nie zaczęli w imię jego wojny

domowej, której kres niewiadomo dokąd zaprowadziłby Polskę.

Między społeczeństwem a Prezydentem Narutowiczem w ciągu tego tygodnia zadzierzgnęła się nieuchwytna nić wzajemnego zrozumienia i społeczeństwo czuło, że gdyby Prezydent mógł jeszcze przemówić przed śmiercią, to byłyby to słowa przebaczenia, prośby poniechania wszelkiego odwetu i życzenia, aby spokój i cisza zapanowały nad umęczoną, poważnioną Polską. Społeczeństwo kornie schyliło czoła przed tą wolą, i dlatego stutysięczny tłum w spokoju i skupieniu szedł za trumną Kałuszyńskiego.

Prezydentowi Narutowiczowi Niewiadomski swoim strasznym czynem oddał w rzeczywistości wielką przysługę, gdyż spełnił najgorętsze jego pragnienie — zdołania należnego sobie, jako Prezydentowi, szacunku i autorytetu w narodzie.

Długoby Prezydent Narutowicz musiał o to walczyć, aby i prawicowy obóz złożył oręż swej, niegodnej wolnego narodu walki przy pomocy oszczerstw i prób bojkotu, dużo musiałyby znieść tych czy innych szykan i wybryków, nim dopiąłby swego.

Trzy kule Niewiadomskiego zmieniły wszystko odrazu. Cały naród bowiem uświadomił sobie wówczas, że zamordowano Prezydenta Rzeczypospolitej w osobie, która na tem stanowisku godnie Polskę reprezentowała.

Marzył Prezydent Narutowicz o tej chwili, gdy w całym przepychu i powadze, na jakie stać Rzeczypospolitą, zetknie się na Zamku z narodem, z przedstawicielami wszystkich jego warstw, urzędów i władz,

gdy wszyscy bez wyjątku schylą z szacunkiem czoła przed nim, jako Stróżem Majestatu Narodu, i człowiekiem, który godnie ten zaszczytny obowiązek spełnia.

Przyszła wreszcie upragniona dla Niego chwila. 19 grudnia wyruszył z Belwederu kondukt żałobny, aby spełnić życzenie serdeczne Prezydenta — spotkania się z całym społeczeństwem i przyjęcia od niego hołdu na Zamku. O, jakże ten pochód na Zamek swą świetnością, powagą i rozmiarem przeszedł najśmielsze oczekiwania Prezydenta, marzącego o pojednaniu z całym narodem, ze wszystkimi jego warstwami i sferami.

A więc szło na czele ukochane przez niego wojsko polskie wszystkich rodzajów broni, niesiono następnie nieprzeliczone ilości wieńców z których niejeden wycisnąłby mu łzy rozczulenia, gdyby mógł przeczytać napisy na szarfach; a dalej znowu szły liczne szeregi duchowieństwa białego i zakonnego z Arcybiskupem-Kardynałem Kakowskim na czele, a tuż za Nim, Prezydentem Rzeczypospolitej, szli: Rząd, Sejm i Senat, przedstawiciele narodów całego świata, Rada Miejska stolicy, niezliczone delegacje z całej Polski, wreszcie olbrzymie tłumy robotników z czerwonymi sztandarami, dalej włościąństwo z całej Polski, mieszczanie ze sztandarami cechowymi, oraz towarzystwa i organizacje społeczne stolicy.

A wśród tych, którzy szli za Prezydentem na Zamek, obecnością swą świadcząc o swym szacunku dla Niego, jako dla człowieka i hołdzie dla Prezydenta, byli: Haller, Stroński, Sadzewicz, Dymowski

i tylu, tylu innych, którzy jeszcze kilka dni temu wątpili o jego polskości i patriotyzmie.

Trudno o większe i szybsze zwycięstwo moralne, którego wyrazem był widok tych wrogów, zdawałoby się, nieprzejednanych, idących za trumną Prezydenta. Zaprawdę, ten kondukt żałobny przeistoczył się w triumfalny pochód zwycięzcy, za którego rydwanem idą wodzowie wrogów, przykuci do niego najsilniejszymi łańcuchami, jakie zna człowiek, a których imię jest — Sumienie!

I tak szedł ten pochód wśród szpalerów salującego wojska, przy biciu dzwonów, przy dźwięku żałobnych akordów muzyki orkiestr, zdążając coraz bliżej i bliżej ku Zamkowi.

Nieprzeliczone masy stały z obnażonemi głowami, patrząc na hołd oddawany przez cały naród Prezydentowi Rzeczypospolitej, i głośny płacz rozlegał się wśród tych tłumów — iluż to płakało nad własną swą niedolą i łatwowiernością, z jaką wierzyli, że Ten, któremu cała Polska dziś oddawała hołd, był jeszcze wczoraj jej wrogiem i hańbą; ilu płakało nad swem pokoleniem, któremu aż trzeba było kul mordercy, aby nauczyło się należycie szanować swego Prezydenta.

A śnieg padał wielkimi płatami, jakby chciał okryć i uspokoić poważnioną, dyszącą nienawiścią i gniewem, nieszczęsną ziemię polską, zakryć białym kobiercem czerwone plamy krwi niewinnej.

I oto przy salwach armatnich spoczęło ciało pierwszego Prezydenta na Zamku i szły nieprzeliczone tłumy, aby złożyć Mu ostatni hołd, lub prosić o prze-

baczenie za zniewagi, za listy anonimowe, za szkalo-
wanie czci. I rosły na trumnie z godziny na godzinę
góry kwiatów i zieleni—świadcstwa żalu i skruchy.

Tak się spełniło marzenie Prezydenta Narutowi-
cza — aby stać się prawdziwym Prezydentem.

Pogrzeb—ta fala żalu i skruchy, która wstrząsnęła
narodem—był nagrodą za wszystkie krzywdy i znie-
wagi; takiego pogrzebu winien pragnąć każdy Polak.

Ale smutne to świadectwo dla współczesnego po-
kolenia Polski, że tylko w obliczu Majestatu Śmierci
zdobyło się na należyty szacunek dla swego Pre-
zydenta, wybranego według praw, przez sam naród
swobodnie ustanowionych.



ZAKOŃCZENIE

Takiem było życie i śmierć Prezydenta Gabrijela Narutowicza. Życie — pięknego człowieka, wzorowego obywatela, gorącego patrioty; śmierć — męczennika za Prawo i Godność Narodu.

Czytelnik, który przeczytał tę książkę, przekonał się, że w życiu Narutowicza nie było ani jednej stronicy, której On sam, lub my Polacy musielibyśmy się wstydzić. Przeciwnie, było to życie, które może służyć za przykład.

Całe życie Narutowicza, cała krótką, lecz tak owocną i wyężoną działalność w rządzie polskim świadczy, że jako człowiek godzien był zająć wysokie stanowisko Prezydenta.

Był człowiekiem nieskazitelnie czystym pod każdym względem — a to winno być pierwszym warunkiem moralnego prawa sięgania po ten najwyższy urząd w Polsce.

Czy był odpowiedni na to stanowisko jako działacz społeczny?

Gdy piszę te słowa — zbadalem już krok za krokiem całe życie Gabrjela Narutowicza — i głęboko jestem przeświadczony, iż wybór i pod tym względem był bardzo trafny. Człowiek ten nietylko znał całą Europę, ale co ważniejsze, że i cała Europa również go znała i szanowała. Trudno więc było o lepszego reprezentanta Polski wobec obcych.

Mylnym również i bardzo powierzchownym jest zarzut, że nie znał Polski i ludzi w niej. Mam odwagę twierdzić, że znał ją lepiej, aniżeli wielu innych dygnitarzy państwowych. Nie zapominajmy, że przez dwa lata bez przerwy był ministrem w 5 gabinetach, że był jednym z najstarszych ministrów w Polsce, że reprezentował w Radzie Ministrów pierwiastek ciągłości pracy, że stale będąc w rządzie, doskonale orjentował się w całokształcie naszego życia państwowego i gospodarczego, że będąc ministrem dwóch resortów, poznał setki i tysiące urzędników, że wreszcie należał do tych kilku ministrów, którzy automobilem zwiedzili całą Polskę i poznali potrzeby poszczególnych miejscowości i dzielnic. Zapominamy o tem, że mieliśmy i mamy do dziś wśród ministrów ludzi, którzy całe życie spędzili w głębi Rosji lub w Wiedniu, a w najlepszym wypadku dobrze orjentują się w potrzebach jednej tylko dzielnicy. Gabrjel Narutowicz właśnie nie miał tej dzielnicowości; przeciwnie, na stanowisku ministra Robót Publicznych umiał jednakową troską otaczać zniszczone miejscowości wszystkich dzielnic i obejmować miłosnym wzrokiem całość potrzeb Rzeczypospolitej.

Ale ponad tem wszystkim górował osobisty urok,

który Narutowicz wywierał na ludzi swoim rozumem, taktem i wyrozumiałością.

Widzieliśmy, że na stanowisku Prezydenta chciał być Nauczycielem Prawa — chciał nauczyć Naród szanować prawa przez siebie samego ustanowione z własnej nieprzymuszonej woli.

I nie ulega wątpliwości, że swem bezstronnem i taktownem zachowaniem się, świecąc własnym przykładem, wiele zdziałałby pod tym względem.

Wreszcie zachowanie się Narutowicza na stanowisku Prezydenta od chwili wyboru aż do chwili śmierci miało w sobie tyle godności i powagi, że było już rzeczą jasną, iż Naród w godne ręce złożył reprezentację Majestatu Rzeczypospolitej.

Wszystko to razem świadczy, że wybór był nadzwyczaj trafny, i że Naród poniósł wielką stratę, iż szaleńczy czyn Niewiadomskiego nie dał Prezydentowi Narutowiczowi wypełni ujawnić się na tem nowem stanowisku.

Zostaje jeszcze najważniejsza strona — polityczna. Czy wybór Narutowicza był omyłką polityczną, czy okrył on hańbą imię Polski? — jak twierdzili sprawcy wytworzenia atmosfery, która musiała skończyć się katastrofą 16 grudnia.

Na szczęście, historia szybko wydała w tej sprawie wyrok, stwierdzający, że obóz prawicowy nie miał racji.

Z naszego punktu widzenia w interesie państwa leży, aby na osobę, upatrzoną przez te czy inne stronnictwa polskie, padały głosy i mniejszości narodo-

wych, aby w ten sposób Prezydent był naprawdę wyrazicielem całego ogółu państwa polskiego.

Pogląd ten jest zgodny zresztą z duchem Konstytucji 17 Marca, która daje jednakowe prawa wszystkim obywatelom Polski.

Tymczasem obóz prawicowy ukuł teorię większości polskiej i pod tem hasłem rozpoczął jawny rokosz wobec obranego nie według jego życzeń Prezydenta. Naród polski łatwo poddaje się masowej psychozie, bliskim więc był zarażenia się tą teorią pod wrażeniem agitacji obozu prawicy.

Nieśmiertelną zasługą Prezydenta Narutowicza wobec narodu było, że miał odwagę przeciwstawić się tej psychozie. Historia ujawni kiedyś w pełni nadludzkie zabiegi zakulisowe obozu prawicowego w dn. 10 grudnia, które podjęto, aby przekonać i ubłagać Narutowicza, by wyboru nie przyjął. I gdyby Narutowicz istotnie wówczas uległ, teoria prawicy zatriumfowałaby i Konstytucja 17 Marca przestałaby istnieć.

Ale Gabrjel Narutowicz rozumiał swą pracę jako służbę wojskową. Wybór przyjął jako wyznaczenie na pierwszy, najdalej wysunięty posterunek, skąd ma bronić dostępu do szanów Konstytucji 17 Marca. Stanął na tym posterunku i nie pozwolił się z niego usunąć ani groźbami, ani prośbami. Trwał, pomimo iż coraz więcej ludzi uciekało z posterunków, coraz liczniejsze szeregi ogarniała zwątpienie, coraz większy zastęp gotów był oddać oręż wrogowi.

A on trwał na posterunku, jak przystało na żołnierza. Przyszedł wódz przeciwników Głabiński —

jeszcze raz zażądać, aby ustąpił im z drogi, bo stał się zawadą i zaporą, której nie można przeskoczyć, ani ominąć. Odmówił temu bezprawnemu żądaniu i pozostał na stanowisku. Aż padł śmiercią żołnierską, o której zawsze marzył.

I oto co widzimy?

Zawada usunięta z drogi. Nowe wybory. Zgromadzenie Narodowe temi samemi głosami, co Narutowicza, wybrało na Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

Zdawałoby się, że teraz dopiero rozpęta się burza—jeżeli bowiem obóz prawicowy miał rację, to było to okrycie Polski nową hańbą, tem zuchwalszą, że robioną z całą już premedytacją. Zdawałoby się, że teraz właśnie podniesie się jawny rokosz przeciwko takiemu „pohańbieniu Polski“. Tymczasem zarówno polityczny obóz prawicowy, jak i najszersze koła zwolenników tego obozu z milczącą zgodą przyjęli wybór — nie padło ani jedno słowo protestu. Teorja większości polskiej przy wyborze Prezydenta skonała niesławnie, bo nie wytrzymała próby życia, okazała się kolosem na glinianych nogach, który rozsypał się od echa wystrzałów Niewiadomskiego.

W decyzji Narutowicza przyjęcia wyborcu tkwigo historyczna zasługa wobec narodu.

Historja obdarzy go kiedyś szacownym mianem Strażnika Konstytucji 17 Marca, gdyż decyzją swą uratował Konstytucję, a swą śmiercią męczeńską utrwalił w narodzie jej zasady.

Ale Gabrjel Narutowicz ma inną jeszcze zasługę

wobec przyszłych pokoleń narodu polskiego — oto nauczył obecne pokolenie szanować Prezydenta, który jest wyrazicielem Majestatu narodu i państwa. Gdyby otoczył się licznymi strażami, obawiał się wychylić poza mury Belwederu, unikał wszelkiej styczności ze społeczeństwem — zapewne żyłby do dziś, ale nie miałby, ani szacunku, ani autorytetu. Przeciwnie, idąc zupełnie bezbronnym i niestrzeżonym na spotkanie niebezpieczeństwa, chciał być prawdziwym Prezydentem, chciał być wolnym wśród wolnych obywateli, chciał, aby jego życie chroniło samo społeczeństwo nie przez przydzielanie mu agentów policyjnych, ale przez wytworzenie atmosfery duchowej, w której czyn Niewiadomskiego byłby niepodobieństwem.

Widzieliśmy, że było inaczej, że prasa, ten istotny głos opinii, szarpała dobre imię Prezydenta, i szczyła przeciwko Niemu społeczeństwo. A że uchodziło to bezkarnie, że społeczeństwo nie reagowało należycie na podrywanie autorytetu Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej — zostało straszliwie ukarane, gdyż czyn Niewiadomskiego okrył hańbą po wieki obecne pokolenie polskie w oczach całego świata cywilizowanego i w oczach przyszłych pokoleń naszego narodu.

Za cenę śmierci zdobył dopiero Narutowicz należny Mu jako Prezydentowi i człowiekowi szacunek.

Jeżeli obecny Prezydent ma inną już moralną atmosferę, która będzie udziałem i jego następców — jest to zasługą Gabryela Narutowicza. Jego krew męczyńska otworzyła oczy najbardziej zaślepionym,

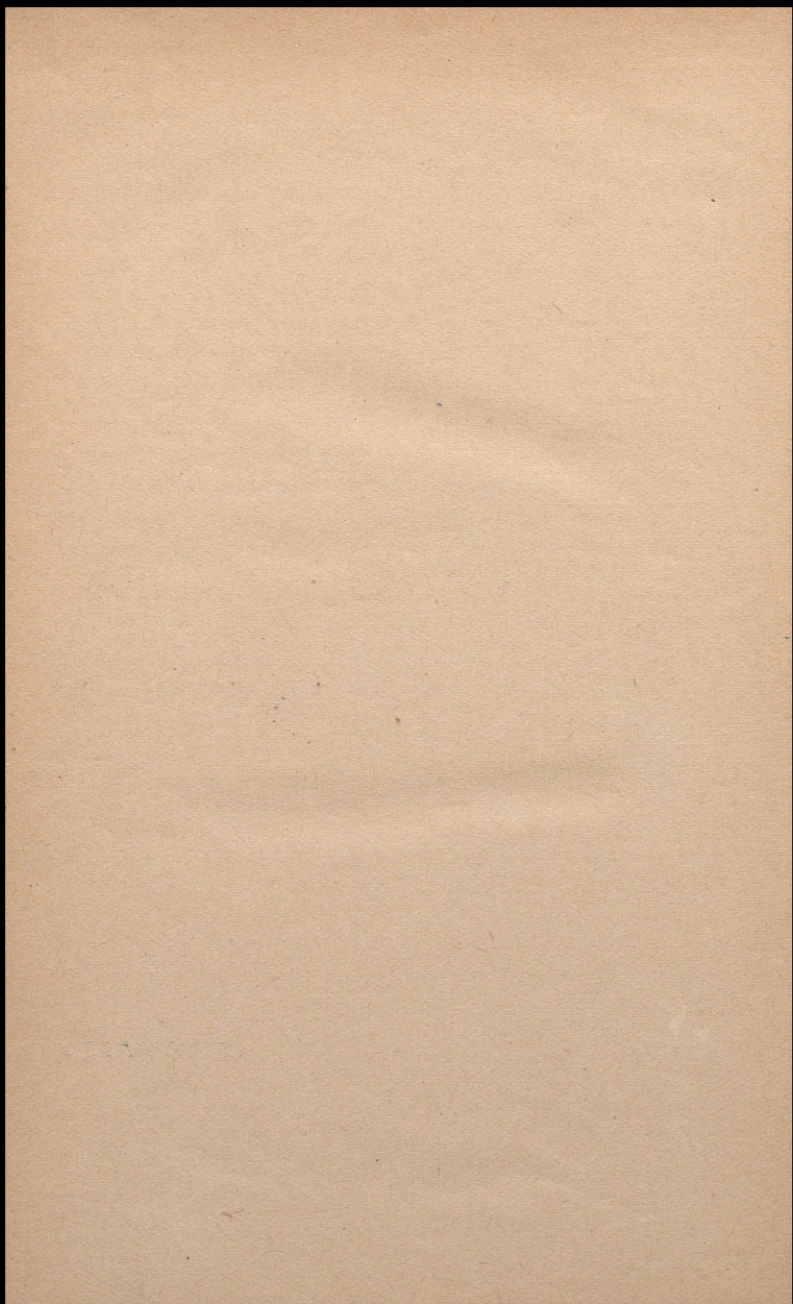
którzy zrozumieli poniewczasie, że ten, kto nie szanuje godności Prezydenta, poniewiera Majestatem Narodu.

Minął rok, a już tylko ogólny wstręt wzbudzały nieśmiałe próby czczenia rocznicy stracenia Niewiadomskiego. Już obecne nawet pokolenie usłyszało surowy wyrok historii nad sprawcą tej hańby. Natomiast im dalej, tem światlejszą staje się postać Gabryjela Narutowicza, i coraz to większy żal ogarnia szerokie koła społeczeństwa.

Pamięć Gabryjela Narutowicza, pierwszego Prezydenta, nigdy nie zaginie w Polsce. Żyć będzie zawsze w świadomości narodu wspomnienie Tego, Kto w walce ostatnich cieni ponurej Nocy niewoli ze Światem rodzącego się słonecznego i radosnego dnia wolnego życia, w walce Anarchji i Nienawiści z Prawem i Demokracją rzucił na szalę swe życie, czyste i piękne, i krwią swą męczeńską przechylił tę szalę na stronę Demokracji i lepszego Jutra Rzeczypospolitej.



PRZYPISY



Pisząc biografię Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, opierałem się przedewszystkiem na wspomnieniach, nadesłanych do Księgi Pamiątkowej o Prezydencie Narutowiczu, którą ma zamiar wydać Komitet uczczenia Jego pamięci; pozałem korzystałem z informacji, osobiście udzielanych mi przez rodzinę Prezydenta i bliskich Mu ludzi, wreszcie z papierów i dokumentów pozostałych po Nim, których otrzymanie zawdzięczam uprzejmości p. Stanisława Narutowicza—syna Prezydenta.

Materiały do opracowania poszczególnych rozdziałów niniejszej książki czerpałem z następujących źródeł:

Rozdział I. Dzieciństwo. Lata szkolne. Studja akademickie. Informacje udzielone przez p. Annę Gieźewską — siostrę Prez. Narutowicza — starszą od niego blisko o 20 lat, a więc doskonale pamiętającą jego lata dziecińne i szkolne; inż. St. Rechniewskiego — kolegę szkolnego Prezydenta z gimnazjum w Libawie; p. Kodisową — koleżankę z czasów akademickich w Zurychu i siostrę żony Prezydenta — p. Ewy Narutowiczowej; Al. Dębskiego i Ign. Daszyńskiego — kolegów z Zurychu; wreszcie — dane z archiwum rodzinnego: świadectwa szkolne, prace dyplomowe i dyplom.

Rozdział II. Działalność inżynierska i profesorska na Politechnice w Zurychu. Podstawę tego rozdziału stanowią łaskawie nadesłane wyczerpujące informacje współnika Biura Inżynierskiego Narutowicza w Zurychu inż. Iselina, z którym całą rodzinę Prez. Narutowicza łączyły bliskie, przyjazne stosunki.

Rozdział III. Działalność społeczna i polityczna podczas wojny.

Poza wspomnieniami, na które powołuję się w tym rozdziale, cenne informacje otrzymałem od pp.: M. Sokolnickiego, d-ra Moraczewskiej, d-ra Stefanowskiego, mec. A. Osuchowskiego, prof. Sz. Askenazego, Al. Dębskiego i M. Downarowicza, którzy w tym okresie stykali się z G. Narutowiczem w Szwajcarii.

Rozdział IV. Powrót do kraju. Dokumenty i listy z archiwum rodzinnego oraz informacje udzielone przez p. Kodisową i p. St. Narutowicza.

Rozdział V. Minister Robót Publicznych. Za podstawę do tego rozdziału posłużył № 1 pisma „Roboty Publiczne” z r. 1922, zawierający obszerne sprawozdanie z działalności Min. Rob. Publ. za 1921 rok, sprawozdania stenograficzne z posiedzeń Sejmu Ustawodawczego w 1920/1921 r., wspomnienie wiceministra Rybczyńskiego, informacje Dyr. Dep. inż. M. Wł. Nestorowicza, p. G. Karskiego, pośta A. Hausnera i red. W. Giełżyńskiego.

Rozdział VI. Działalność polityczna i dyplomatyczna. Poza wspomnieniami wymienionymi w tym rozdziale—informacje udzielone przez pp.: M. Downarowicza, jednego z organizatorów Unji Dem. Nar., W. Giełżyńskiego, który z Narutowiczem jeździł do Wilna, A. Tarnowskiego, sekretarza osobistego Narutowicza w Min. Spr. Zagr., p. Wszelakiego, sekretarza Narutowicza w Genui oraz J. Łukasiewicza, który towarzyszył Narutowiczowi w podróży do Rewla, a następnie był członkiem Konferencji Rozbrojeniowej w Moskwie.

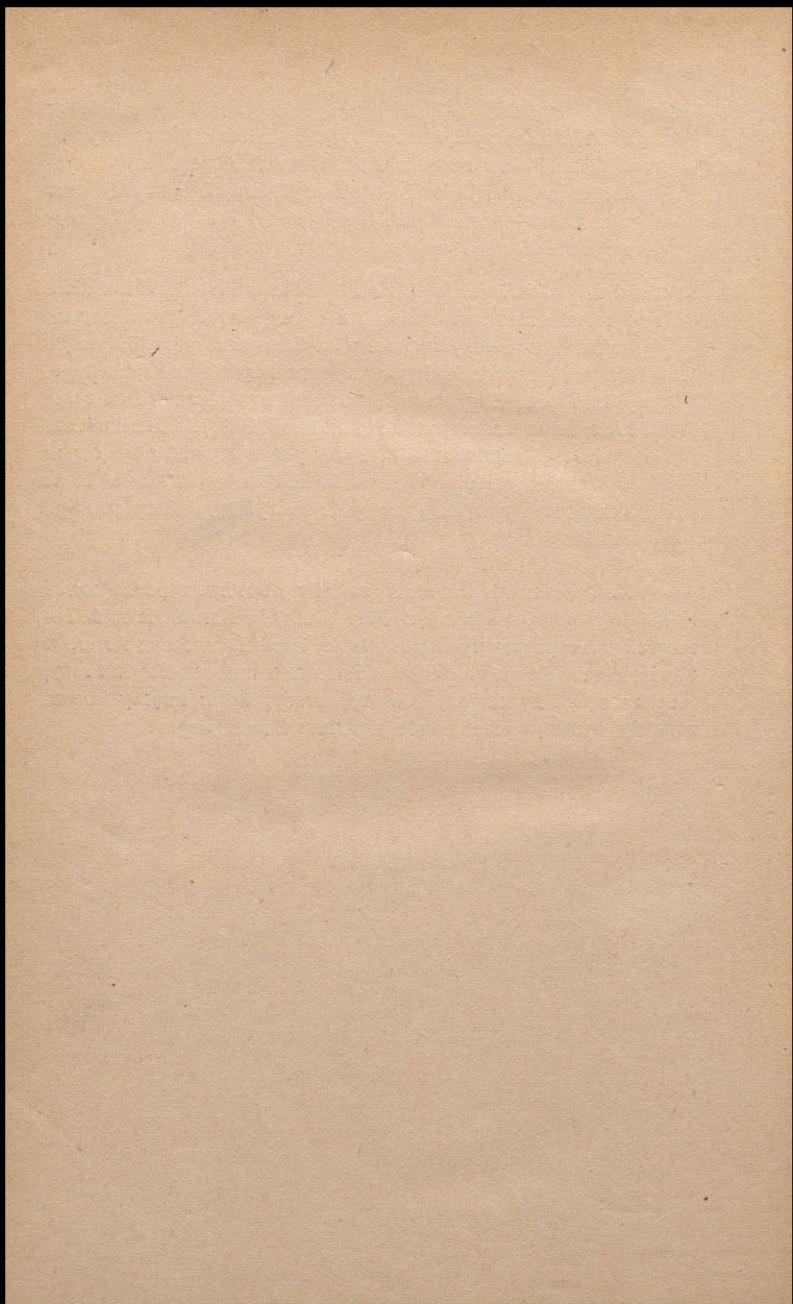
Rozdział VII. Zgromadzenie Narodowe. Poza wspomnieniami i pismami codziennymi, wymienionymi w rozdziale, otrzymałem informacje od pośta St. Thugutta, A. Tarnowskiego, p. Kodisówny—siostrzenicy Narutowicza i p. Giełżewskiej. Projekt niewygotowanego oświadczenia przed zaprzysiężeniem znalazłem w papierach Prezydenta Narutowicza.

Rozdział VIII. Zaprzysiężenie i objęcie władzy. Poza wspomnieniami i pismami codziennymi, wymienionymi w tym rozdziale, informacje osób wyszczególnionych powyżej oraz mec. Cara — szefa Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej.

Rozdział IX. 16 Grudnia 1922 r. Treść niniejszego rozdziału oparłem przede wszystkim na szczegółowych informacjach, łaskawie udzielonych przez mec. Cara. Szczegóły, dotyczące procesu Niewiadomskiego, wziętem z książki mec. Kijeńskiego, p. t. „Proces Eligjusza Niewiadomskiego o zamach na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabrjela Narutowicza w dniu 16 grudnia 1922 r., odbyty w Sądzie okręgowym w Warszawie dnia 30 grudnia 1922 r.” Warszawa 1923. Skład główny w księgarni p. f.: Perzyński, Niklewicz i Sp., str. 96.

Na zakończenie uważam za miły obowiązek podziękować Komitetowi uczczenia pamięci Prez. Gabrjela Narutowicza, że zaszczyił mnie propozycją napisania tej książki, oraz pp.: Arturowi Śliwińskiemu i Leonowi Wasilewskiemu za cenne wskazówki i rady, oraz zachętę i życzliwość dla mej pracy, które między innymi znalazły wyraz w przedmowie p. Artura Śliwińskiego.





SPIS ROZDZIAŁÓW

	<i>Str.</i>
PRZEDMOWA	IX
OD AUTORA	1
ROZDZIAŁ I. Dzieciństwo. Lata szkolne. Studja akademickie	6
ROZDZIAŁ II. Działalność inżynierska i profesorska na Politechnice w Zurychu	32
ROZDZIAŁ III. Działalność społeczna i polityczna podczas wojny	54
ROZDZIAŁ IV. Powrót do kraju	71
ROZDZIAŁ V. Minister Robót Publicznych	89
ROZDZIAŁ VI. Działalność polityczna i dyplomatyczna	106
ROZDZIAŁ VII. Zgromadzenie Narodowe i wybór na Prezydenta	138
ROZDZIAŁ VIII. Zaprzysiężenie i objęcie władzy Prezydenta Rzeczyposp.	165
ROZDZIAŁ IX. 16 grudnia 1922 r.	196
ZAKOŃCZENIE	210
PRZYPISY	219







Woj. D. Kult. Kraków

7X 52



Biblioteka

10187/1

Naukowa